

Bente Pedersen

Roza Znad Fiordów

*Akcja powieści toczy się na północnych krańcach Skandynawii, nad brzegami Oceanu Lodowatego, w dolinie rzeki Alta. Jest to region Norwegii zwany Finnmark, zamieszkany pierwotnie przez Lapończyków, półkoczowniczych pasterzy reniferów. W czasach nowóżytnych osiedlali się tu chłopi i rybacy norwescy, a także Finowie i Szwedzi. W trudnych warunkach arktycznych, gdzie przez część roku trwa noc polarna, śniegi i mrozy, a latem, w okresie dnia polarnego, słońce świeci przez całą dobę, rozwijały się obok siebie odmienne kultury, języki, religie. Przybysze z różnych stron współpracowali ze sobą, ale często zwalczali się, okazywali innym pogardę, widzieli w sobie nawzajem obcych. Różnice przetrwały do naszych dni.

Czuję na skórze powiew łagodnego, lipcowego wiatru. Powinna się pewnie okryć, ale w końcu jest na to za późno. Odczuwam ten wiatr niemal jak pocieszenie. Delikatniej nikt mnie przedtem nie dotykał. Ciepły, aksamitny oddech łagodzi ból, jaki mi zadały jego twarde dłonie. Tłumi pamięć ciężkiego ciała Jensa. Jak mogłam być taka głupia? On jest najpiękniejszy w całym okręgu Aka*. Nie widziałam jeszcze takiego szczerego uśmiechu. Białego i szerokiego. Jens ma mocne szczęki. Czoło wysokie, nos prosty i wąski. A grzywę żółtą niczym masło. Nie znam nikogo, kto by miał takie włosy jak on. Jak masło, jak ziarno i zarazem jak len. Jak blask słońca. Od razu poznasz, że pochodzi z południa, że jego ród wywodzi się z Trondelag. Boże, jaki on jest urodziwy! I mimo wszystko mam wierzyć, że ta sprawa ze mną to na poważnie? Słońce grzeje. Ciepło jest dłonią na moich włosach. Jest matką. Jakbym matki nie miała dość w domu! Mojej matki o oczach rybitwy. Popatrz na moje ubranie i jej oczy powiedzą to, czego usta nigdy by nie wymówiły. Nie sądzę, by ona, moja matka, wyrzekła kiedykolwiek jakieś nieprzyzwoite słowo. Ale mnie urodziła, gdy miała czternaście lat. Dlatego nie może powiedzieć, że ściągam wstyd na rodzinę. Pierwszym razem tak powiedziała. A wtedy ja popatrzyłam jej w oczy i odparłam, że ona w swoim czasie też rozkładała kolana, chociaż nie była mężatką. I matka odwróciła wzrok. Ona się tego wstydzi. Sama nigdy o tym nie mówi. Ale przecież ja umiem liczyć. W każdym razie do czternastu. Miała trzynaście lat, gdy pozwoliła mojemu ojcu zrobić sobie dziecko. Ja mam szesnaście. I chcę mieć dziecko mojego ukochanego. Unoszę kolana i nadal leżę. Wiem, jak trzeba postępować. Wystarczająco często słuchałam dorosłych kobiet. Chcę go w sobie zatrzymać. Chcę wierzyć, że mogę urodzić jego synka albo córeczkę. Wydałabym na świat dziecko bardzo ładne. On myślał, że był pierwszy, ten Jens o błękitnych oczach. Cieszyłabym się, mając dziecko o takich oczach jak on. O lnianożłocistych włosach, o dobrym, silnym, mocnym podbródku. On nigdy by tego malca nie nazwał swoim, ale to bez znaczenia. Ja bym i tak wiedziała, że jest jego. I wszyscy by to widzieli.

„Roza, mówiliby. Roza, jakie ty masz piękne dziecko!”

Leżę w ciepłe lipcowego dnia i jestem sama. Nikt tu nigdy nie przychodzi. Niski las rośnie gęsto. Gąsienice objadają liście tak, że zostają z nich tylko strzępy. On myślał, że jest pierwszy. Ponieważ jestem brzydka. Nie prosiłam, żeby taka być. Byłam ładna aż do dwunastego roku życia, ale Jens przybył do K.fj ord dopiero dwa lata temu. On nie wie tego, co ludzie przeważnie wiedzą, nie wie, że byłam najpiękniejszą dziewczyną w dystrykcie. Bo o takich sprawach wszyscy milczą.

On może się tylko ze mnie śmiać i mówić, że jestem szpetna. Ale moje ciało obściskał. Wziął je jak swoje.

To ojciec mnie oszpecił. Byłam taka śliczna, że ludzie przybywali z daleka, żeby mnie zobaczyć. Pogłoski o urodzivej dziewczynie, która mieszka w głębi Kfjorden, rozchodziły się daleko. O tej, która ma włosy ogniście rude i oczy lodowato niebieskie, cerę jak krew z mlekiem i dołeczek na jednym policzku. Ludzie mówili, że będę w tym dołeczku zbierać pocałunki.

Tamten mężczyzna był Anglikiem i przybył tutaj, by odwiedzić Crowe’a z kopalni. Bóg jeden wie, co Powiedział, bo nikt go nie rozumiał. Ale uśmiechał się tak, że wiedziałam, iż podoba mu się to, co widzi. Nawet dwunastoletnia kobieta wie takie rzeczy.

Mój ojciec pracuje w kopalni. Górnicy chichotali za jego plecami. Gadali, że powinien się bardzo starać, by trzymać chłopów z daleka od swojej pięknej córki. Powtarzali, że wielcy panowie rozbierają ją oczami. Śmiali się, że niedługo będzie mógł porzucić robotę kopalni, bo jego córka z łatwością zarobi na chleb dla całej rodziny. Ma wszystko, co do tego potrzebne. A jak podrośnie, to będzie miała jeszcze więcej. Kpili, że nasienie mojego ojca jest na wagę złota. A złoto wciąż się wyżej ceni niż miedź. I tłumili śmiechy. Mój

1.

ojciec nie mógł znieść, żeby się ktoś z niego śmiał. Zrobił dziecko najładniejszej dziewczynie w okręgu Alta, kiedy skończyła ledwie trzynaście lat. Był to czyn, którym się nie przechwalał, ale często ze śmiechem opowiadał, że jednym machnięciem ręki przegonił ośmiu innych konkurentów, Nanna bowiem chciała tylko jego. Moja matka była piękna. Ojciec mój, Samuel, miał silne pięści i potrafił się śmiać. Miał błysk w oczach i gęsty zarost, który rzadko golił. Ja nigdy nie pojęłam, jak matka mogła zrezygnować ze wszystkich innych konkurentów. Przecież musiał wśród nich być ktoś, z kim żyłoby jej się lepiej niż z moim ojcem. Ona jednak została z nim. Urodziła mnie i dziesięciu synów. Sześciu przeżyło. Moi bracia też są bardzo urodziwi. Żadne z nas nie jest podobne do ojca. Ale ojciec najbardziej wziął sobie do serca to, że ja byłam taka piękna. Syn Anglika powiedział do mnie coś niezrozumiałego, kiedy stałam przy studni i czerpałam wodę do prania. Mrugnął do mnie i wyglądał okropnie głupio, jakiś taki wystrojony w ubranie przeznaczone bardziej dla kobiet. Ale oni tam w The House są inni. Może mu nawet odpowiedziałam uśmiechem. Było to cztery lata temu. Nie wszystko już pamiętam tak dokładnie. I nie wszystko chciałabym pamiętać. Ten cudzoziemiec mnie onieśmielał, ale przybył stamtąd, z The House, więc nie mogłam być niegrzeczna. Być może się do niego uśmiechnęłam. On też już tego nie pamięta. To mój ojciec zgotował mi takie życie.

Kiedy zobaczył, że ten Anglik się do mnie uśmiecha, zaprowadził mnie do piekarni.

Wypędził stamtąd matkę. Wznosił się nade mną niczym wielka, naga góra. Pięści ojca były ogromne. Jak łopaty. Jedną ręką złapał oba moje nadgarstki. Związał je na plecach. Dru

gą

Schwycił mnie za kark i przycisnął moją twarz do rozpalonego piekarskiego kamienia.

Wrzeszczałam tak, że pomieszczenie stało się jednym krzykiem, wypełnionym gorącą parą. I zapachem pszennego chleba.

Ten zapach mnie dławił. Dopiero później zdałam sobie z tego sprawę. Trzymał mnie dopóty, dopóki mój policzek całkiem nie przywarł do kamienia, na którym matka piekła podpłomyki. Wtedy mnie puścił. Na czarnym, pokrytym sadzą kamieniu została cienka jak papier skóra. Ogień i para.

On złapał wielki saganek, w którym matka grzała wodę do prania, i wylał mi wrzątek na ramię i bark. Jego uśmiech nie dotarł do oczu, ale był w nich jakiś triumf, kiedy w końcu wpuścił matkę do środka.

- Nasza Roza nie będzie już zbierać pocałunków w dołeczku - powiedział i wyszedł w chłodny, wczesnozimowy dzień. Wciąż jeszcze słyszę skrzyp jego podeszew na śniegu. Matka padła przede mną na kolana i zasłoniła rękami swoje piękne policzki.

- O mój Boże, Samuel, coś ty zrobił! - krzyczała.

Krzyczała tak, że chciałam ją uspokajać. Ale nie byłam w stanie się ruszyć.

Moja piękna matka o czarnych włosach i błyszczących oczach, które nadal sprawiają, że mężczyźni na jej widok łagodnieją. Nawet teraz zaczynają tokować w jej obecności, choć jest Nanną Samuelową, od dawna zamężną kobietą. Mój ojciec zawsze był z tego powodu i dumny, i zazdrosny.

— Okaleczyłeś dziecko, Samuelu! — Zerwała się z miejsca i poleciała za nim. Ja leżałam na kamiennej

2.

podłodze i przyciskałam do niej poparzony policzek, udało mi się go trochę ostudzić.

Tego wieczora ojciec miał na twarzy ślady jej paznokci. Ale jego rany się zabiły i nawet śladu nie zostało pod jasnozłocistym zarostem. Jeszcze tej samej nocy matka pozwoliła mu się obejmować. Słyszałam jej śmiech za falującą zasłoną, która dzieliła ich od nas, dzieci, w alkierzu. Śmiech przypominający szum strumienia, przywodzący na myśl migotliwe promienie słońca. Lekka błękitna tkanina, zawieszona między nimi a nami, falowała raz po raz. Słyszałam skrzywienie łóżka a ja stawałam się taka, jaką mnie teraz ludzie widzą. Ale byłam piękna. Urodziłam się, by być piękną kobietą.

W roku 1826 Roza miała cztery lata. Było już na świecie dwóch jej braci, ale to Roza była księżniczką w ich ciasnej chacie z drewnianych bali, składającej się z jednej izby i alkierza, położonej w głębi Kfjordboten.

Ojciec dziewczynki posiadał kilka owiec, którymi opiekowała się Nanna. Nie porzucił przecież rodzinnego ÓyertorneA i nie przybył tutaj, by hodować owce. Przyjechał na wybrzeże, by się odżywić morskimi rybami, stać się bogatym człowiekiem i znaleźć dla siebie kawałek ziemi na tyle duży, by go nie mógł obejść w ciągu jednej doby. Ale niestety, ów kawałek ziemi, jaki udało mu się zdobyć, był bardzo mały. Wichry i w ogóle pogoda nie sprzyjały tej krainie. Zboże nie zawsze zdążyło dojrzeć, a na ryby w morzu rzadko można było liczyć. Tylko jęczmień płonny, zwany tutaj alta, jakoś sobie radził w ciągu dziewięćdziesięciu dni wegetacji, dojrzewał i żółty nadawał się do zbierania. Samuel nie traktował go jak zboża On pochodził z krainy dużo większych pól i przeklinał swój los najmłodszego syna

Samuel pływał dla innych i zarabiał na handlu rosyjską mąką. To stanowiło jego główny dochód. Nie wiodło mu się gorzej niż jego znajomym, ale był człowiekiem przewidującym i wiedział, że nigdy nie będzie bogatszy niż jego sąsiedzi.

Miał dwadzieścia pięć lat, kiedy na targu w Bossekop pozdzierał sobie skórę z rąk w bójkę i został sam z uśmiechem Nanny, najładniejszej dziewczyny, jaka w owym czasie deptała śnieg w Alcia Pochodziła z pobliskich wysp. Jej ojciec zajmował się połowami, handlował też z Rosją, ale nic wielkiego. Byli to ludzie pracowici, córka miała trzynaście lat i bardzo szybko dojrzała. Ośmiu załotników trzymała na dystans, jego jednak dopuściła do siebie. Wielki podbój Samuela z Oyertorne przyniósł owoce.

Ranghild Indianne musiała wyjść za mąż, ale śmiała się radośnie, kiedy poślubiano ją barczystemu przybyszowi z Tornedalen. Nanna wysoko nosiła głowę i zadzierała nosa, choć wszyscy wiedzieli, że spodziewa się dziecka. Pozwalała, by jej mała dłoń tonęła wielkiej ręce Samuela, i dumna była z domu, który jej ofiarował, choć to tylko dwie ciasne izby między łączonymi na węgiel balami, pod dachem z torfu.

Kiedy najstarsze dziecko przyszło na świat późnym latem 1822 roku, wierzbowka stała w pełnym rozkwicie pod ścianami nowego domu. Podkreślała swoją życiową siłę, jak tylko mogła. I Samuel dotykał delikatnie policzka dziecka, będącego owocem miłości. Małeństwo miało skórę jak jedwab, rude włosy otaczały gęsto śliczną, małą główkę. Ale były czerwone; jak ogień, nie jak wierzbowka. On jednak miał wrażenie, że dostrzega w córce tę samą życiową siłę, która tkwiła w kwiatach.

— Ona jest piękna — mówiła Nanna i uśmiechała się. Dostrzegała rysy swojego rodu w małej twarzy,

3.

jeszcze nieznaną, ale już tak bardzo drogiej. - Ona jest piękna jak kwiat, Samuelu!

— W takim razie wdała się w matkę — rzekł, bo nadal był do niepamięci zakochany w Nannie, której okrągłe policzki płonęły. Jego Nanna. Czternaście lat i matka. - Twoja matka też musiała być piękna - dodał, bo ogarnęło go przekonanie, że to piękno, którego mogą dotykać jego wielkie dłonie, nie pochodzi od niego. - Wciąż jest piękna - zakończył.

Matka Nanny była ze trzy lub cztery lata starsza od niego, nie chciał urazić żony. I Samuel myślał o kwiatach pod oknem domu. Pogłaskał dziecko po policzku. Córeczka spała jak aniołek, pulchna, rumiana, a ciemnofioletkowe oczy noworodka były ukryte pod powiekami.

- Wiesz, Nanno, u nas te kwiaty, które mamy za oknem, nazywają rallarrosa — kolejarские róże*. Myślę, że to by mogło być imię dla naszego dziecka - Roza, bo ona jest jak kwiatek. No i tak ją nazwali: Roza Samuelsdatter. Roza córka Samuela.

Nie mogę tu dłużej leżeć. Muszę wracać do domu. Czekają na mnie obowiązki. A co tam, niech ona zobaczy, co ma zobaczyć, moja matka. I niech wie.

Kopalnia w KMj ord rodziła się w wielkich bólach. Na początku prace polegały głównie na zbieraniu kawałków rudy. Z tego jednak nie było pieniędzy, potrzebny był kapitał i więcej robotników. Ci, których właściciele mogli znaleźć w okolicach Alty, nie wykazywali chęci do pracy we wnętrzu góry. Choć ludzie żyli biednie, woleli trzymać się tego, co znajome: łodzi i swoich małych gospodarstw. Tylko niektórzy gotowi byli spróbować czegoś tak niepewnego i nieznanego, jak praca w kopalni.

W pierwszych latach więc Crowe i Woodward przemierzali Szwecję i Norwegię w poszukiwaniu zdolnych górników. Jeździli nawet do Anglii i sprowadzali do Finnmarku ludzi aż z Kornwalii. Trwało to wszystko długo, przyjęli grupę z Reros, przybywali też górnicy ze Szwecji, z okolic Fałun. Mieszkańcy Alty, którzy niejedno widzieli, gadali, że nigdy jeszcze nie spotkali mężczyzn, którzy mogą aż tyle wypić, ale pracować ci Szwedzi też umieją, co prawda, to prawda!

Przybyły rodziny z Tornedalen i Trysil, z Gudbrandsdalen, Roros i Trondhjem. I mnóstwo samotnych mężczyzn ze wszystkich stron, nawet z Rosji. Małe KMjord z garstką starych domostw rozrastało się wraz z kopalnią. W roku 1833 mieszkało tu kilkaset osób, z których ponad sto pracowało w kopalni, reszta wykonywała jakieś inne usługi, też dla kopalni użyteczne. Rzadko tylko ojciec rodziny zarabiał. Matka i starsze dzieci zwykle również miały zajęcie. Wciąż było sporo pieniędzy do zarobienia.

Zawartość miedzi w rudzie nie okazała się aż tak duża, jak pierwsze, optymistyczne obliczenia wskazywały, ale wydobyć się opłacało, i to bardzo. Bogaciły się osady nad fiordem, w Mattisdalen, i dalej w stronę rzeki Alta. Różne społeczności żyły jednak każda sobie, rzadko się mieszały. Niechęć tkwiła w wielu...

Rzadko kiedy młodzi pobierali się z kimś spoza własnej grupy, Nanna i Samuel należeli do wyjątków, zresztą na wybrzeżu zdarzało się to częściej. Morze to szlak, który wiąże ze sobą różne miejsca. Ojciec Nanny nie uważał, że zięć z obcych stron to coś nadzwyczajnego. Wystarczało mu, by dobrze traktował jego córkę, a przecież Samuel dosłownie nosił ją na rękach. I chociaż w dzieciństwie wydeptywał ścieżki na obcej ziemi, to teraz był bardziej Norwegiem niż wielu miejscowych. Norweskiego wprawdzie nigdy dobrze nie opanował, ale starał się. Nanna nigdy go nie poprawiała, zresztą nikt inny też nie. Dzieciom nie wolno było nawet słowa powiedzieć po fińsku, bo wtedy w robocie był szeroki, skórzany pas ojca. A jeśli ojciec uznał, że kara powinna być szczególnie surowa, bił mosiężną sprzączką. W drewnianym domu Samuela dorastała bardzo posłuszna gromadka.

Przynajmniej na pozór.

Unikał innych Tornedalczyków, którzy osiedlili się ledwie rzut kamieniem od niego. Miejsce dostało nazwę Kreta. Samuel nie miał tam żadnych znajomych. I pilnował, żeby jego dzieci też nie miały. Nanna robiła, co Samuel kazał.

Roza dorastała wśród norweskich słów, przeważnie jednak nie głosy, lecz cisza panowała w Samuelsborg. Taką bowiem nazwę jej ojciec nadał swojemu kawałkowi ziemi. Wymawiał ją z jakimś jakby szyderczym uśmiechem, ale Roza zawsze uważała, że jej dom jest równie wyjątkowy jak królewski zamek z baśni. Przychodzili do nich tylko ludzie, których jej ojciec życzył sobie widzieć w swoich progach. Ci, których zapraszał. Najczęściej w Samuelsborg zjawiali się obcy, przejezdni, odwiedzali ich tylko raz. Z takimi ojciec Rozy mógł się śmiać. A śmiech miał dudniący jak huk wodospadu na wiosnę, gdy puszczają lody. Dobrze było słyszeć ten śmiech, Roza nieustannie za tym tęskniła.

4.

Była jeszcze dzieckiem, kiedy pojęła, że Samuel nie czuje się wolny ani w domu, ani w Alcie. Może nawet w Norwegii. Nosił w sobie wielką tęsknotę i dla niej podejmował w swoim życiu podróże. To ona przywiodła go nad tę odnogę fiordu. Do kawałka ziemi żywicielki, do strumienia, za którym mogły podążać myśli, i do ciemnozielonego pasma lasu na horyzoncie, który pozwalał utrzymać w ryzach nawet najbardziej trudną do wypowiedzenia tęsknotę. Ale kopalnia okazała się wyzwaniem, którego nie mógł podołać. Nikt nie może wygrać z górą — Pole ziemniaczane zarasta chwastami, a ty się włóczysz nie wiadomo gdzie - burczał Samuel na Rozę. - Nie będzie jedzenia dla kogoś, kto ani razu nie schyli grzbietu nad ziemią. Córka nie odpowiadała. Nie ma sensu mu odpowiadać.

- A Eyen mówi, że uprawianie ziemniaków jest głupie — oznajmił jeden z młodszych braci Rozy, Hans. - Eyen mówi, że lepiej oplaca się zboże.

- Eyen gada, co mu ślina na język przyniesie - uciał Samuel, który widocznie słuchał rozmowy dzieci. - Rodzina Eyena sprowadziła się tutaj w zimie. Może się oczywiście zdarzyć, że Eyen dobrze wyjdzie na zbożu, ale on nie wie, jakie tutaj bywają lata. My też w pierwszym okresie sialiśmy zboże. Ale ono w tych stronach dojrzewa tylko raz na pięć lat, toteż uznałem, że uprawa zboża się nie oplaca. Ziemniaki natomiast mogą utrzymać ludzi przy życiu, choćby nie wiem jak podejrzliwie traktowali je nowo przybyli. Ziemniaki wymagają tak niewiele. A wyżywienie zapewniają. Dlatego chwasty trzeba wyrwać! - zakończył Samuel stanowczo. Ojciec zwykle mówił niewiele, ale wszyscy go słuchali. - W jadłodajni potrzebują pomocnicy - dodał, Nie patrzył na Rozę, ale wiadomo było, że zwraca się do niej. - Roza zacznie tam pracować od jutra. Poradzi sobie, jest już dorosła. Zresztą to dobre zajęcie. Wszyscy wiedzą, że Roza jest moją córką. Nie będzie ci tam źle.

— A zapłata? — spytała Nanna.

— Piętnaście talarów rocznie — odparł ojciec, wyraźnie zadowolony. - To tyle pieniędzy, że nie stać mnie, by Roza została w domu. Służące zarabiają o wiele mniej.

Roza skinęła głową. Piętnaście talarów to bardzo dużo pieniędzy. Jej o rok młodszy brat Ole służy za parobka u gospodarza w Alteidet i zarabia trzydzieści talarów na rok. Dostaje poza

tym od gospodarza ubranie, ale Roza w kuchni nie będzie chyba bardzo niszczyć odzienia. Może dadzą jakiś fartuch? Ojciec w kopalni dostaje sto talarów rocznie, bo od kiedy przybyło tu z Tornedalen wielu chętnych do pracy, płace bardzo spadły. Nagle okazało się, że praca nie jest już tyle warta co dawniej.

- Pieniądze nie będą twoje - oznajmił Samuel córce. — Utrzymanie kosztuje i nie mogę się zgodzić, żebyś za siebie w jakiś sposób nie płaciła.

Nanna przestała mówić, że przecież Roza niedługo wyjdzie za mąż. Chyba nikt już w to nie wierzył.

Teraz Nanna odszukała wzrok córki:

- Byłoby bardzo źle, Rozo, gdybyś zmarnowała taką możliwość.

Samuel roześmiał się hałaśliwie. Kiedy Roza przymknęła oczy, mogła sobie wyobrazić, że to huk wodospadu, niemal czuła na twarzy rozpryskujące się kropelki, jakby naprawdę stała w pobliżu staczających się mas wody. A on się śmiał, bo nie słyszał ostrzegawczych słów Nanny. Nanna i Roza często tak ze sobą rozmawiały - bez słów. Albowiem w Samuelsborg słowa głośno wypowiedziane ważyły wiele. - Nie, podawać do stołów nie będziesz! - kucharka wyrażała się bez ogródek, mierzyła Rozę od stóp do głów i z powrotem, w końcu wbiła wzrok w pergaminową, sinoczerwoną skórę na jej lewym policzku.

A Roza, która już przedtem widywała takie obrzydzenie w spojrzeniach ludzi, z uporem wysoko uniosła podbródek. Chustkę związała z tyłu, na karku, nic nie chroniło jej przed oczami tamtej. Włosy musiała dokładnie schować, twarz pozostała bezlitośnie naga.

- Jesteś za bardzo szpetna, żeby podawać do stołu. Jedzenie stawałoby ludziom w gardle, a górnikom trzeba pokarmu. Ale jeśli umiesz gotować, to znajdzie się dla ciebie robotą.

- Umieję gotować - zapewniła Roza. Jej oczy nie powinny umykać przed spojrzeniami innych, cokolwiek by tamte wyrażały. - Nikomu nie będę odbierać apetytu — dodała stanowczym głosem, patrząc na starszą kucharkę niemal wyzywająco. - Wskażcie mi robotę. Dali jej fartuch i wyznaczyli pracę.

Jadłodajnia została otwarta z myślą o samotnych górnikach. Tak więc ci, którzy sami nie chcą gotować, nie muszą się obywać tylko suchym prowiantem. Tutaj mogą zjeść porządny obiad. Każdego dnia gotowano ogromne gary zupy i kaszy, nieco mniej solonego mięsa. Podawano też chleb ze świeżym mięsem. Dziewczyny kuchenne gotowały zupę, mięso, piekły chleb w piekarni, szykowały kanapki, kawę i herbatę.

Pracowały we trzy pod nadzorem kucharki, kobiety szorstkiej i władczej, która sprawiała wrażenie, jakby nigdy nawet nie próbowała tego, co sama gotuje. Pomocnice były w wieku Rozy. Pochodząca z Tornedalen Liisa, Finka, mówiła niewiele, pewnie dlatego, że słabo знаła norweski. Była to osoba pulchna, rumiana,

a kiedy chodziła, zdawało się, że płynie nad Ziemią. Mężczyźni ją lubili, pogwizdywali za nią i składali jej propozycje tak nieprzyzwoite, że czasami kucharka wychodziła do jadalni i głośno mówiła, co sądzi o takim zachowaniu. Druga pomocnica przybyła z rzeki Alta i miała na imię Amanda. Jej okrągłą twarz otaczała chmura brązowych włosów, które na czas pracy zaplatała w gruby warkocz, sięgający jej do bioder i podskakujący na plecach niczym bicz, kiedy chodziła. Poruszała się znacznie wolniej niż Liisa i mężczyźni też lubili ją dużo mniej. Wzrok Amandy mówił jednak, iż życzyłyby sobie, żeby było inaczej.

Rozę trzymano w cieniu. Żeby nie odbierała robotnikom apetytu.

Kopalnia miedzi Kfjord zajmowała rozległy teren. Rozciągała się na zachodnim brzegu środkowej części tego fiordu. Storgruya, czyli wielka kopalnia, znajdowała się na wysokiej górze ponad cyplem Strmsnes. Od szczytu góry w dół prowadził szyb w głąb ziemi, do sztolni. Rudę kruszyło się ręcznie w sztolniach, wynosiło na górę, a stamtąd drewnianymi rynkami zsypywało po zboczu góry na dół do czterech ogromnych młynów, które pracowały dniem i nocą, napędzane wodą z wodospadu. Kruszywo wychodzące z tych młynów pakowano na wozy i wieziono do pieców hutniczych.

Urządzenia do kruszenia rudy ulokowano nad samym brzegiem fiordu, ponieważ stąd było najbliżej do Storgruya, dającej większą część pozyskiwanego urobku. Tysiące jardów dalej w głąb fiordu, na zboczu innej góry, znajdowała się kopalnia Mitchell i stąd wiała się wąska droga, wiodąca do głównego szlaku Kopalni. Naprzeciwko kopalni Mitchell była jeszcze jedna kopalnia - Woodfall.

5.

Od Storgruya nad brzegiem fiordu poprowadzono linię kolejową długości mniej więcej dwóch tysięcy jardów do miejsca, gdzie najłatwiej było zbudować port dla przeładunku rudy na statki.

Mniej więcej w połowie drogi między Strommen, stanowiącym zewnętrzną granicę Kopalni, jak nazwano osadę i zakład, a zakończeniem wąskiego fiordu, znajdował się Gabrierneset, Przylądek Gabriela. Tam właśnie wyznaczono działkę pod przyszłą budowę kościoła. Na Gabrierneset znajdowały się też dawne wyrobiska, pozostałe po poszukiwaczach rudy prawdopodobnie z osiemnastego wieku. I tam właśnie, gdzie roztaczał się rozległy widok rozległy widok na fiord, rozłożył się The House, siedziba dyrektora kopalni.

Był to prawdziwy angielski dwór, bardzo okazały, dwupiętrowy, z czerwonym dachem i dwoma dodatkowymi bocznymi skrzydłami. Ku wejściu z wysokimi kolumnami wiodła niewielka aleja kończąca się przy zadbanym podjeździe. Otaczający dom ogród był wierną kopią angielskiego parku. Zywopłoty starannie przycinane, a alejki parkowe posypane białym żwirem.

W The House znajdowało się wiele pokoi i wielkich sal, w których ściany obito aksamitnymi tapetami, sztukaterie zdobiły sufity, a wszystkie drzwi miały mosiężne okucia i klucze wielkie niczym męska dłoń. Największym pomieszczeniem była sala balowa. W sypialniach łóżka miały piękne baldachimy, w każdej znajdował się też prawdziwy angielski kominek. Rozległy hali był większy niż nawet największe domy w osadzie nad fiordem. Z hałki kręte schody wiodły na górę, do znajdujących się tam licznych pokoi. Połączana poręcz oślepiąca odwiedzających The House ludzi. Mówili, że piękniejszego domu nie ma w całym Finnmarku. I przypuszczalnie mieli rację. Nad krańcami fiordu, od południowej strony, w osadzie, którą ludzie nazwali Kreta, mieszkali Kyenowie, zwani też niekiedy Finami, czyli przybysze z Tornedalen, fińsko-szwedzkiej doliny nad rzeką Torne, rozciągającej się od Zatoki Botnickiej do wybrzeży Oceanu Lodowatego. Żyło ich w kopalni blisko czterysta osób,

ponieważ na północy drzewo jest bardzo drogie, domy były niewielkie. Fundamenty budowano często z tłuczonego kamienia, ściany z bali, a dachy kryto torfem. Dachówki nie miały tu zastosowania, w tej części świata bowiem zimy bywają gwałtowne.

Zorganizowana przez Anglików Kopalnia została wyposażona we wszystko, co ludziom niezbędne, miała nawet ochronkę dla najmniejszych dzieci. Była szkoła, jadłodajnia i kram ze wszelkimi towarami, jakich ludzie mogli tu potrzebować. A ponadto różnego rodzaju warsztaty, kuźnia, stolarnia, cegielnia, warsztaty szkutnicze, młyn, piekarnia, browar, a nawet tłoczarnia tranu. W osadzie niedaleko Storgruya zbudowano mieszkania dla górników — domki dla rodzin i baraki dla samotnych.

Norwescy robotnicy mieszkali na północny zachód od fiordu, wszystko to, co obejmowano mianem Kopalni, znajdowało się właśnie pomiędzy osadą Norwegów i Kretą.

Dni pracy Rozy były bardzo długie. Tak to zwykle bywa z pracą w kuchni. Górnicy późno kończyli szychte i nie wszyscy od razu przychodzili na kolację. Samotni mężczyźni lubią spotykać się z innymi, jadłodajnia była do tego miejscem najbardziej odpowiednim. Picia alkoholu tu zakazano. Inaczej w sklepie, gdzie sprzedawano i piwo, i mocniejsze trunki. Rozę zwykle ojciec zabierał do domu, a jeśli on nie

mógł, przychodzili po nią młodszy bracia. Normalnie, kiedy byli trzeźwi, górnicy zachowywali się jak ludzie. Gapili się na nią. Ale milczeli. Wiedzieli, że jest córką Samuela. I znali jego spokojną siłę. Codziennie widzieli, jak kopie rudę w Storgruya.

Przez całe dnię Roza nosiła chustkę zawiązaną do tyłu, ale gdy tylko zdjęła z siebie kuchenny fartuch, układała ją tak, by osłonić twarz, naciągała mocno na czoło, a supeł pod brodą był twardy i mocny. Wyglądała jak ktoś, kto idzie pod wiatr i musi się chronić przed niepogodą. Nawet w piękne lipcowe noce wiązała tę chustkę jak na sztorm. W ten sposób kryła się przed spojrzzeniami, które mogły smagać boleśniej niż grad.

Kucharka uznała, że najlepiej będzie schować Rozę piekarni. Gdy tylko spostrzegła, że dziewczyna ma znakomitą rękę do wypieków, wsunęła jej do kieszeni fartucha klucz do piekarni i oznajmiła: „Od dziś to ty, Roza, odpowiadasz za pieczenie chleba!”

W kuchni ktoś mógł Rozę zobaczyć, ale do piekarni górnicy nie zaglądali nigdy. Tym sposobem kucharka oszczędziła im widoku Rozy córki Samuela.

Naprawdę nie wiem, co się we mnie dzieje, ale czasami robię rzeczy, dla których sama nie znajduję wytłumaczenia. Robię coś bez namysłu i najwyraźniej bez sensu. Ale w końcu wynika z tego coś dobrego, mimo wszystko.

Moja babka potrafi tamować krew. Mama chciała jechać do niej na wyspę, kiedy moja twarz została okaleczona. Dzień przedtem zapakowała nasze rzeczy. Gniew wykrzywił jej usta, a oczy były czarne jak węgiel. Chciała mnie zawieźć na wyspę, żeby babcia odmówiła zaklęcia nad moim policzkiem. Ale ja byłam półprzytomna, a ojciec rozpakował z powrotem tobołki, więc mama musiała odmawiać nade mną modlitwy sama. Modliła się długo. Pamiętam, że klęczała i czoło opierała na złożonych dłoniach. Moja matka ma piękne, delikatne dłonie. Ja też mam takie. Urosłam i przestałam wierzyć w siłę modlitwy.

Babka jednak posiada moc. Jej oczy widzą na wskroś. Bywa, że ojciec mówi, iż ja mam więcej z babci Lei niż z mamy. Może i ja w to wierzę.

Nie idę do domu. Błądzą innymi drogami. Z dala od osady. Mijam młyny i domy Norwegów. Wspinam się na górę obok drewnianych rynien należących do Storgruya. Nikogo tu nie widać, a ja biegnę szybko. Wieczór jest ciepły. Cały lipiec był ciepły, najstarsi ludzie takiego nie pamiętają. W powietrzu pełno północnych, maleńkich komarów, ale ja się nimi nie przejmuję. Mnie one nie gryzą. Widocznie nie mam słodkiej krwi...

Nad fiordem zbocze jest strome, ale można się na nie wspiąć nawet w miejscach, gdzie brak ścieżek. Ścieżek to ja nie lubię. Najlepiej jest chodzić samotnie. Gorąco mi w chustce. Bez obaw ściągam ją z głowy. Przecież tutaj jestem tylko ja i niebo, i jeszcze te małe ptaszki, które nie dały się wypłoszyć hałasom z Kopalni. Wszędzie po krzakach pełno młodych i gniazd z jajkami. Setki gardziołek otaczają mnie śpiewem. Niebo jest niczym sklepienie potężnej katedry. Bardzo bym chciała mieć skrzydła i unieść się w powietrze. Dobrze jest czuć powietrze na skórze. Ciepły wietrzyk. Letnia bryza. Moja twarz nie znosi zimna, ale latem rozkoszuję się wiatrem bardziej niż zwierzęta młodą, soczystą trawą. Chcę wejść jeszcze wyżej, ale nagle spostrzegam jego.

6.

Siedzi we wrzosach, zmrużone oczy kieruje na Kopalnię, więc musiał mnie zauważyć już dawno.

Moje dłonie mimo woli unoszą się do szyi, ale przypominam sobie, że nie mam chustki. Ręce opadają pod jego wzrokiem. Chustką podwiązałam suknię, która przeszkadzała mi we wspinaczce. Rumienię się, ale światło wieczoru od dawna ma czerwony ton, więc on niczego nie zauważa. Przynajmniej udaje, że nie zauważa. To ładnie z jego strony.

Zanim sukienka zasłoni przyzwoicie moje kostki, przypominam sobie, że porządne dziewczyny nie pokazują nóg w obecności mężczyzn. Tylko że trudno jest się wspiąć po górach, kiedy spódnica płącze się między nogami, musiałam ją unieść nad kolana.

Ten mężczyzna tutaj jest Lapończykiem.

— Znajdzie się miejsce również dla ciebie — powiada śpiewnym głosem, bardziej melodyjnym, niż kiedy ojciec mówi po norwesku.

Nie wkładam chustki na głowę, przynajmniej mam czym zająć ręce. Spojrzenia obcych mnie krępują. Tylko ci, których znam, budzą we mnie upór i bunt. Siadam więc obok, zwrócona ku niemu zdrową, dobrą stroną twarzy. Zawsze tak robię.

Wygiąda sympatycznie. Początkowo spodziewałam się zapachu ogniska, reniferowej skóry, solonego, suchego mięsa i dymu. Taki zapach otaczał Lapończyków, których widziałam na targu w Bossekop, i tych, którzy latem pędzili swoje renifery nad morze, a jesienią wracali z nimi w tundrę.

Ale jego otacza zapach Kopalni. I siarki. Ma na sobie sukienne spodnie i koszulę z grubego płótna. Mocno spran prawie szarą, z prostą taśmą przy szyi i mankietach. Zamiast pasa nosi sznur, na nogach ma lapońskie buty, kumagi, z rzemykami wiązanymi wysoko na łydkach. Głowa goła, brązowoczarna czupryna sterczy na wszystkie strony. Pod prostymi brwiami kryją się najbardziej niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziałam, jak niezapominajki nad potokiem, leciutko skośne. Twarz niemal kwadratowa z małym, spłaszczonym nosem. Usta proste, uśmiechają się teraz szeroko. Poclbródek ma silny, choć sam jest drobnej budowy i niewiele wyższy ode mnie. A ja jestem podobna do rodziny matki, gdzie wszyscy są niskiego wzrostu. Nie górują nad otoczeniem jak ojciec.

On przygiąda mi się co najmniej tak samo uważnie.

- Ja cię już widziałem.

- No, mnie się nie zapomina.

Nie uśmiecha się na moje słowa. W oczach ma wciąż tę błękitną powagę. Wieczne słońce nie rzuca wydłużonych cieni na jego twarz.

- Ty jesteś Roza - mówi po prostu. Spojrzeniem błądzi gdzieś obok Kopalni. Ponad fiordem i dalej nad górami po drugiej stronie. I jeszcze dalej. Ma takie samo spojrzenie jak mój ojciec, kiedy siedzi na schodach. Spojrzenie, w którym nie ma wolności.

- Wiedziałas, że to pewna lapońska dziewczyna znalazła miedź w Storgruya? - pyta.

Słyszałam rozmaite historie. Lubię słuchać i gromadzić historie w pamięci. Przywłaszczając je sobie. Nie umiem odmówić, kiedy ktoś chce mi opowiedzieć historię.

— Działo się to dziesięć lat temu - mówi nieznajomy. — Było późne lato tysiąc osiemset dwudziestego szóstego roku. Maret Aslaksdatter, bo tak się nazywała, chodziła po tutejszych górach. Może miała coś do przemyślenia. Może przyszła tu z takiego powodu jak ty czy ja. W każdym razie patrzyła uważnie, gdzie stawia stopy. I nagle zdziwiła się. Znalazła się w miejscu, w którym kamienie miały inną barwę. Zaczęła się im przyglądać. Nie rozmawiała o tym z nikim, tylko z Pederem, za którego zamierzała wyjść za mąż. On pojął, o co chodzi, i zawiadomił Anglików. W rok później Maret sprzedała swoje znalezisko angielskiemu panu. Dyrektorowi. Dostała za to pięćdziesiąt miar rosyjskiej mąki.

— Maret Aslaksdatter...

Nieznajomy wstał, słowa zawisły w powietrzu. Naprawdę pięknie opowiada.

Historię lapońskiej dziewczyny słyszałam już przedtem, ale nigdy nie opowiedziano jej w ten sposób. Chciałam go prosić o jeszcze jedną opowieść, ale on zbiegł już w dół po zboczu.

Nawyki do chodzenia po górach, ma zwinne ciało, widzę, jak znika między zabudowaniami w Kopalni. Więc pewnie mieszka w baraku. Wydobywa miedź.

Rozdział II

Nieznajomy miał na imię Tomas i wychował się na rozległych przestrzeniach tundry. Był najmłodszym

z braci, a północne zimy surowo obeszły się z ojcem i wujami. Między najstarszym bratem i nim urodziło się pięć sióstr. Ale dziewczęta można wydać za mąż. Tomas wiedział, że ojciec zatroszczyłby się o wszystkie dzieci, no ale teraz ojca zastąpił najstarszy brat. On zaś, Tomas, był najmłodszy, wybrał więc kopalnię. Ale nie tak jak się wybiera, mając więcej możliwości. Po prostu Tomas skończył dziewiętnaście lat i lepiej, żeby mógł jakoś rodzinie pomagać, niż żeby siedział w domu i był jeszcze jedną gębą którą trzeba wykarmić.

Baraki stały jeden tuż przy drugim, słoczone, Tomas miał pryczę i stółek oraz mały stolik przytwierdzony do ściany pod kwadratowym okienkiem. Wpadało przez nie trochę światła. Piec też był niewielki, opał Tomas musiał zdobywać sam. Ale nie skarżył się na ciasnotę. Inni górnicy mieszkali w barakach po kilku, on przynajmniej mógł cieszyć się samotnością. Tomas bardzo tęsknił za rodziną. Mógłby mieć więcej miejsca, gdyby zbudował sobie w pobliżu lapońską jurte, ale on dokonał wyboru. Barak jest tego wyboru częścią. Bardzo chciał zobaczyć Rozę, chociaż słyszał, że inni się z niej wyśmiewają. Na ogół ordynarnie, górnicy siedzieli po kolacji i kpili z dziewczyny o zeszpeconej twarzy. On przeważnie słuchał. Tamci równie chętnie jak z Rozy śmiali się także z niego. Roza była pierwszą osobą, o której Tomas usłyszał, kiedy przybył do Kopalni. Ledwo zdążył się ogarnąć, co trwało kilka minut, już powiedziano mu o „dziewczynie, która ma pół twarzy”. Wzbudziło to jego ciekawość. Pierwszego wieczora w jadalni wyciał szyję, ale na próżno. Między jedzącymi uwijała się Finka Liisa o bystrych oczach, z uśmiechem w kącikach ust. Później poznał też Amandę, która chętnie rozmawiała z wszystkimi. Jej włosy, długie niczym wieczność, budziły w męskich głowach fantazje. Ale Tomasa Amanda nie dostrzegła, jej oczy szukały rosyłych chłopaków o jasno-blond włosach, tych, którzy przybyli z południowych dolin. A on jest Lapończykiem.

Nie szkodzi, w nim też Amanda tęsknot nie budziła. Ciekawiła go Roza, a kiedy ją koncu zobaczył po drodze do piekarni, stwierdził, że wcale nie jest taka brzydka, jak wszyscy by chcieli. Po tym, co gadali, wyobraził ją sobie jako córkę potwora z tundry, w którego wierzą Lapończycy, urodzoną pod ciemną gwiazdą. Potem widywał ją jeszcze przelotnie i dopiero dzisiaj mógł z nią zamienić parę słów. Wzruszyło go to, że siedziała przy nim tak ufnie. Ze nie zasłoniła twarzy. Ze słuchała. Zrozumiał, że jeśli ktoś chce się do niej zbliżyć, to nie może być nachalny. I dlatego odszedł nieoczekiwanie, zanim Roza zdążyła stracić zainteresowanie.

Teraz Roza wie o nim tak mało, że będzie o nim myśleć. Tomas uważał, że Roza potrzebuje przyjaciela. On także potrzebował. W jakiś sposób oboje różnili się od innych. Było dość takich, którzy nie przestają mówić o Rozie, a być może ona potrzebuje kogoś, kto chciałby mówić do niej. Jak do człowieka. Jej twarz miała kształt serca, Roza siedziała zwrócona ku niemu swoją piękną stroną. Tomas zauważył, że zawsze stara się mieć ludzi z prawej. Z właściwej, dobrej strony, gdzie skóra jest gładka. I był pewien, że tam ta skóra jest delikatna, niczym puch. Nie zamierzał jednak jej dotykać. Płomiennie rude włosy, kiedy wspinała się w górę, poruszały się swobodniej niż nurt w fiordzie. W ciągu roboczego dnia te włosy były starannie upięte i schowane pod chustką. Wtedy twarz dziewczyny robiła się taka mała. Teraz opadały swobodnie nad dobrą stroną. Błogosławioną. To była Roza jak z obrazka, taka, jaka została stworzona. Należało na nią patrzeć od prawej strony i najlepiej stojąc pół kroku za nią. Wtedy patrzącemu biedakowi zapierało dech.

Drugi policzek był nierówny i pokryty bliznami. Rysy niewyraźne jak mglisty dzień pod jesień. Od nasady włosów aż do brody pokryty napiętą, cienką, sinoczerwoną skórą. Prawie przezroczystą. Zyłki pod nią widoczne. Brak połowy brwi. Powieka zeszywniała, nie porusza się jak trzeba. Część górnej wargi podniesiona, utraciła ten doskonały łuk, jakim ciągle pyszni się dobra strona. Lewy kącik ust jakby zastygł.

pogardliwym grymasie. Tomas nie mógł pojąć, jakim sposobem ktoś mógł się tak oparzyć. Jakby zasnęła z twarzą przytkniętą do ogniska. Ale przecież tak się nie robi. Nikt nie potrafił powiedzieć, co się stało. Wszyscy próbowali zgadywać. Bywali w swoich spekulacjach okrutni. Zdarzało się, że ktoś rzucił za nią: „A gdzie ty sobie ugotowała tę swoją gębę...?”

Wtedy ona tylko jeszcze bardziej prostowała plecy.

Ojca nikt nie pytał, a Wielki Samuel nie rozmawiał o swojej rodzinie. On w ogóle mało co mówił. Tomas o tym wiedział. Pracował w grupie kierowanej przez Wielkiego Samuela.

Roza była niewysoka, drobna i delikatna, choć kiedy się wspinała, widać było, ile siły drzemie w tym ciele. Tomas miał dość czasu, żeby mu się przyjrzeć, a było ono piękne. Tomas oczekiwał czegoś o wiele gorszego, twarzy tak zeszpeconej, że budzi obrzydzenie. Tymczasem Roza napelniała go smutkiem, odczuwał wobec niej raczej bezradność niż współczucie. To też, ale akurat to uczucie nie robiło jej krzywdy i Roza przekonała go, że naprawdę jest kimś więcej niż pozbawioną wszelkiej waności istot jak większość tutejszych ludzi sądzi.

Roza umiała słuchać. Tomas od razu wyczuwał, czy ludzie słuchają naprawdę, czy tylko udają. On sam często dawał się oczarować opowieściom. I tym, których słuchał, i tym, które sam opowiadał. Wiedział, że Roza ze swoimi dwiema połówkami twarzy też ulega historiom, podobnie jak on. I wyczuwał, że Roza ma swoją historię, że sama jest historią. To budziło w nim ciekawość. Ta dziewczyna jest niczym sosnowa szyszka, która się jeszcze nie otworzyła do słońca.

I to nieprawda, co górnicy gadali w jadłodajni, że jest szpetna, ale że chłop, który się do niej zbliży, nie usłyszy „nie”. Nikt co prawda nie wiedział, kto dokładnie już u niej coś wskórał, ale wszyscy gadali, że takich jest wielu Tomas zastanawiał się, czy ona sama wie, co o niej mówią.

Był zmęczony. Wspinaczka w górę to jak dążenie do nieba Nigdy nie czuł się od niego dale; niz na do le, w kopalni. Sciany go dławiły, sztolnie zamykały się wokół jego ciała. Górnicy nosili białe kurtki, żeby się nawzajem widzieć, ale w ciemnościach na niewiele się to zdawało. Tomas bywał sam w tundrze w bezksiężycowe grudniowe noce, kiedy wszystkie strachy deptały mu po piętach. Nigdy jednak nie chodził w takich nieprzeniknionych ciemnościach jak we wnętrzu Storgruya. Często myślał o tym, co by to było, gdyby skały się zawaliły. Pragnął się stąd wydostać, ale nie widział przed sobą zbyt wielu możliwości. Rolnikiem nie był i nie chciał się wiązać Z Ziemią ani budować na całe życie domu z bali. Na morze się nie nadawał, wszy scy zresztą chcą doświadczonych marynarzy. I silnych.

7.

Roza lubiła pracę w piekarni. A jej pszenne bułki wzbudziły zachwyt w The House.

Wypiekała je tak, jak to robiła na Boże Narodzenie matka, a przed nią babka Lea i jeszcze wcześniej prababka. Okazały się pyszne, więc Koza piekła je dla rodziny Anglika.

W piekarni było tak ciepło, że pot spływał jej po plecach i po piersiach, zalewał oczy. Nagle poczuła chłód. Ktoś wszedł do środka, Roza odwróciła się gwałtownie, nawet nie pomyślała, że dobry policzek ma być od strony drzwi. Wytrzeszczała oczy, bo z powodu tego gorąca nie widziała wyraźnie. Poczuła woń siarki, jaka towarzyszy wybuchom w kopalni. Dostrzegła szarobiałą, kopalnianą kurtkę. Ojciec wieszał taką co wieczór na gwoździu przy drzwiach. Nanna prała ją dwa razy na tydzień, ale nigdy nie była naprawdę biała. W najlepszym razie szara.

- Twój ojciec leży na dole w kopalni - powiedział głos, który poprzedniego wieczora słyszała po raz pierwszy.

Wyciągnęła rękę z ciasta. Otarła czoło. Przerwała słone strużki, spływające jej do oczu.

Odzyskała wzrok na tyle, by go widzieć: ochronne ubranie tego niewysokiego robotnika

kopalni, Lapończyka, nie było tak zszarzałe jak ubranie jej ojca. Musiał niedługo pracować w kopalni. Brudny pył pokrywał mu twarz i szyję. Włosy były sztywne od potu i kurzu.

— Zwietrzałe skały - wyjaśnił.

Słyszę, co on mówi. Że mój ojciec leży w kopalni. To są słowa. Mój ojciec leży w kopalni, a on mówi, że góra była zwietrzała.

Ciasto lepi mi się do palców. Zaciskam dłonie, aż mi się całkiem skleją od tego ciasta. Ono się rozpada. Tak jak zimne masło, kiedy je mieszam z mąką. Zwietrzała góra też się rozpada.

- Przygotowywaliśmy wybuchy - powiada Lapończyk Ja słyszałam strzały. Tutaj ciągle słychać. Kiedy skończą wiercenie, odpalają. Oni nie wynoszą urobku ze sztolni, tylko odpalają ładunki.

- Sciana zawałiła się za wcześnie. Samuel był akurat w tym miejscu.

Mój ojciec jest górą. On nie może zostać zraniony przez górę. Kamienie nie kaleczą mojego ojca. Proch go nie kaleczy. On sam jest górą. On, Wielki Samuel. Jest górą z Oyertorne, gdzie płaskie poia rozciągają się szeroko. Ale on powędrował ku morzu.

- On jest ranny, Koza. Przysypały go kamienie. Teraz ludzie próbują go stamtąd wydostać. Ojciec wzywa ciebie. Ludzie uznali, że najlepiej, żebym ja po ciebie poszedł.

Może sam się ofiarował, że pójdzie? A może nie. Jest taki drobny i mały, że najlepiej mógł się przysłużyć

ten sposób... Mój ojciec leży pod kamieniami.

— On jest przytomny, został przysypany od piersi w dół..

Widzę niepokój w jego wzroku.- Prosił, żebym przyszła? - pytam.

Dlaczego tak trudno jest ukryć zdumienie? Czy on widzi, że ja się cieszę?

Nagle chwyta mnie za ramię i wyprowadza na dwór. Jest lipiec i ciepło. Zostawiam za sobą otwarte drzwi. Ale przecież nie mogę odejść od tych otwartych drzwi, wyrwam mu się. On biegnie za mną i chwyta mnie obiema rękami. Słyszę jego oddech.

— Nie wiem, co tam teraz jest — wyznaje. — Zniesiesz to? Ze względu na niego? On jest twoim ojcem.

Opieram czoło o drzwi. Są gładkie i chłodne. I zamknięte. Nie mogłam wypuścić ciepła z piekarni. Nastawiłam ciasto, żeby wyrosło. To ma być pszenny chleb dla dyrektora.

Mój ojciec leży pod zwietrzałymi skałami i prosi, żebym do niego przyszła.

Pozwalam, żeby lapoński chłopiec mną kierował. Jego ręce są delikatne. Cały pachnie siarką i prochem.

— Roza, jesteś silniejsza, niż ci się wydaje.

Zwraca się do mnie po imieniu, ten, którego imienia ja nie znam. Rozmawia ze mną, jakbyśmy się dobrze znali.

- Może zdołasz uspokoić ojca, gdy my będziemy próbowali go wydobyć. Oni się boją, żeby nie posypało się więcej obluzowanych kamieni.

- Czy tylko on? - pytam. Odpowiada skinieniem.

— I prosił, żebym ja przyszła?

Potwierdza. Stoi przede mną poważny, boi się. O mojego ojca, ale też i o mnie, widzę to. Jakie to niezwykle.

- Pójdiesz?

Byłaby to zła córka, która nie przychodzi, kiedy ojciec ją wzywa.

- Moja matka nie może tam iść - mówię. - Chyba nie posyłałście po nią?

On potrząsa głową. Pewnie o tym nie pomyślał. Jestem mu za to wdzięczna. Mama nie ma prawa pracować w kopalni. Wielki Samuel mówi „nie”. Synowie Wielkiego Samuela i jego córka mogą pracować na pieniądze, ale nie jego żona. To Samuel jest mężczyzną i powinien żywić rodzinę.

- Matka by tego nie zniosła - mówię.

To prawda. Babcia Lea powiada, że mama nigdy się nauczy tamowania krwi. Ona na widok krwi mdleje. Chwiała się na nogach, kiedy ojciec wypalił mi swój znak na twarzy, ale to był pierwszy raz, kiedy nie straciła przytomności na widok żywego ciała.

W sztolni było czarno. Tomas trzymał Rozę za rękę i mimo ciemności nie spuszczał z niej czujnego wzroku. Jakby była roczną jałówką renifera, która w każdej chwili może się spłoszyć i umknąć. Stropy wisiały nisko; choć oboje byli niewysokiego wzrostu, musieli iść z pochylonymi głowami. W niektórych miejscach trzeba się było zginać w pół lub nawet czołgać. Starzy górnicy żartowali, że początkowo wybierali rudę ze sztolni na leżąco. Po ścianach nieustannie spływała woda, lodowata woda stała w sztolniach, górnicy wciąż mieli przemoczone nogi, brodzili w niej po kostki, czasem nawet po kolana. W przesyconym siarką powietrzu nic nie było widać.

- Czy my schodzimy w dół? - Roza pytała szeptem, ale głos niósł daleko. Tomas słyszał już górników.

— Wydobywaliście miedź z nowej żyły - starał się wytłumaczyć.

Roza oddychała ciężko, ale ręka w jego dłoni nie drżała. Z podziwem myślał, jak dobrze ona to wszystko przyjmuje. A bał się, że będzie musiał walczyć z jej strachem, większym niż jego własny.

Woń prochu i głosy górników przybierały na sile. Słysząc też było uderzenia kilofów i łopat. Tomas puścił dłoń Rozy. Jej fartuch był bielszy niż kurtki górników. Była niczym Anioł Pański, który nieoczekiwanie zstąpił do tej czarnej góry.

Pracujący zastygli w bezruchu, dłonie zamarły, nim pojęli, kim jest ta istota. Cisza trwa ledwie chwilę, po czym ręce znowu zaczynają się poruszać. Ludzie pracują dalej jak w transie. Już na nią nie patrzą. Myśleli, że to anioł, teraz rozczarowanie ciąży im bardziej niż nieznośny zaduch wokół.

- Roza? - świszczący, zniekształcony bólem głos odbił się od ścian sztolni.

Roza przystanęła. Potrzebowała sporo czasu, by odnaleźć wzrokiem mężczyznę pod skałą.

- Roza? - żaden z robotników nigdy nie słyszał, żeby on tak mówił, prosząco, jakby z zachwytem. - Moja Roza?

Dziewczyna opadła na kolana. Woda nie była tu wysoka, ale leżącemu Wielkiemu Samuelowi sięgała do uszu. Tylko górna część jego ciała wolna była od kamieni. Krzywił wargi w bolesnym grymasie, zęby bieleły w ciemnościach. Oddech miał urywany, świszczący. W tej niszy, w której leżał, było okropnie ciasno, Roza mogła dotknąć tylko jego głowy. Musiał się bardzo starać, żeby ją zobaczyć, pochyliła się więc, przysunęła twarz do jego twarzy.

— Stało się nieszczęście — wysyczał przez spierzchnięte wargi. - Nanna nie może mnie tu zobaczyć.

8.

Roza potrząsnęła głową. Jej dłonie leżały na jego policzku. Podpełzła jeszcze bliżej, tak że udało jej się ułożyć sobie jego głowę na okrytych kuchennym fartuchem kolanach. Wielki Samuel odetchnął z ulgą.

Dopiero teraz przymknął oczy, ale przytomności nie stracił. Wciąż walczył z bólem i z ciemnością, która rozrastała się w jego wnętrzu. Podstępna ciemność kusiła, by jej uległ i zapomniał o wszystkim.

— Zostań przy mnie, Roza - wyszeptał.

Skinęła głową, choć przecież nie mógł tego widzieć. Klęczała w tej mokrej, zimnej sztolni, gładziła jego pozlepiane włosy, policzki, brodę. Była taka spokojna, że Tomas patrzył na nią z jeszcze większym szacunkiem.

On mnie potrzebuje. Mój ojciec, Wielki Samuel, potrzebuje mnie. Czyż mam się nie cieszyć? Samuel ani na chwilę nie tracił przytomności, jego oczy znowu szklily się w mroku, którego nawet drogie lampy z Rosji nie były w stanie rozproszyć. Ratownicy chcieli, żeby choć na

moment te oczy zamknął, łatwiej by im było odrzucać kamienie z jego zmiażdżonego ciała, gdyby nieustannie na nich nie patrzył.

Roza wciąż siedziała nieporuszona, głaskała ojca i przemawiała do niego. Trudno było rozróżnić słowa, ale przyciszony głos nie milkł. Roza przywoływała wspomnienia z dzieciństwa. Wybierała te najlepsze.

Ojciec też zdawał się jej nie słyszeć. Przyjął jej oddanie i przestał ją dostrzegać. Ludzie, którzy gołymi rękami zbierali kamienie, woleli, żeby jej tu nie było, ale Roza obiecała zostać do końca, więc siedziała nieporuszona. Całkiem zdrętwiała, była przemoczona do pasa. Już dawno przestała odczuwać zarówno chłód, jak i wilgoć. Zaczynała wierzyć, że uda się ojca uwolnić. Roza potrząsnęła głową. Jej dłonie leżały na jego policzku. Podpełzła jeszcze bliżej, tak że udało jej się ułożyć sobie jego głowę na okrytych kuchennym fartuchem kolanach. Wielki Samuel odetchnął z ulgą.

Dopiero teraz przymknął oczy, ale przytomności nie stracił. Wciąż walczył z bólem i z ciemnością, która rozrastała się w jego wnętrzu. Podstępna ciemność kusila, by jej uległ i zapomniał o wszystkim.

— Zostań przy mnie, Roza - wyszeptał.

Skinęła głową, choć przecież nie mógł tego widzieć. Klęczała w tej mokrej, zimnej sztolni, gładziła jego pozlepiane włosy, policzki, brodę. Była taka spokojna, że Tomas patrzył na nią z jeszcze większym szacunkiem.

On mnie potrzebuje. Mój ojciec, Wielki Samuel, potrzebuje mnie. Czyż mam się nie cieszyć? Samuel ani na chwilę nie tracił przytomności, jego oczy znowu szklily się w mroku, którego nawet drogie lampy z Rosji nie były w stanie rozproszyć. Ratownicy chcieli, żeby choć na moment te oczy zamknął, łatwiej by im było odrzucać kamienie z jego zmiażdżonego ciała, gdyby nieustannie na nich nie patrzył.

Roza wciąż siedziała nieporuszona, głaskała ojca i przemawiała do niego. Trudno było rozróżnić słowa, ale przyciszony głos nie milkł. Roza przywoływała wspomnienia z dzieciństwa. Wybierała te najlepsze.

Ojciec też zdawał się jej nie słyszeć. Przyjął jej oddanie i przestał ją dostrzegać. Ludzie, którzy gołymi rękami zbierali kamienie, woleli, żeby jej tu nie było, ale Roza obiecała zostać do końca, więc siedziała nieporuszona. Całkiem zdrętwiała, była przemoczona do pasa. Już dawno przestała odczuwać zarówno chłód, jak i wilgoć. Zaczynała wierzyć, że uda się ojca uwolnić spod zawału. On wciąż oddychał, chociaż dygotał coraz bardziej. Ona również drżała.

- Nie jest ci zimno? - spytał Tomas i ukucnął przy niej. Pracował ciężko, jak wszyscy. Teraz nie oczekiwał odpowiedzi, pogłaskał tylko Rosę po policzku. Bardzo delikatnie.

- Uratujemy go - obiecał. Potem odszedł, zniknął w mroku niczym cień.

Myślał o tym, że Roza ma połowę twarzy. Ludzie tak właśnie o niej mówią. Jego zdaniem jednak nie mają racji. Ona ma przynajmniej dwie twarze!

Samuel zaczął jęczeć. Klął głośno, po fińsku, tak jak się to robi w Tornedalen. Tomas też mówił po fińsku i rozumiał słowa. Nie pojmował natomiast uczuć tego olbrzyma przysypanego masą kamieni. Samuel nie przeklinał losu ani góry, ani nawet tych, którzy tak wolno usuwali kamienie. On złorzeczył Rozie, tej nie nadającej się do niczego córce, której dał życie... To- mas podziwiał ją jeszcze bardziej za to, że zdawała się nie zauważać zachowania ojca. Podziwiał, jaką dzielną istotą się okazała. Nie porzuciła ojca. Cierpliwie znosiła jego obraźliwe słowa. Z jej twarzy niczego nie można było wyczytać. Była oddaną córką.

Na zewnątrz trwał pogodny dzień. Wielki Samuel leżał na prześcieradle pożyczonym w barakach, bo tylko w ten sposób można go było wynieść ze sztolni. Roza spoglądała spłoszona na ciało ojca i widziała to, co wszyscy. Krew przesiąkła przez spodnie i szarobiała roboczą bluzę. Rdzawe plamy kończyły się wysoko na piersiach. Nogi pod zniszczonymi,

zakrwawionymi spodniami miały dziwny kształt. Dlatego trzeba go było wynosić na prześcieradle.

Tam, w kopalni, wstawiała z ziemi w tym samym rytmie, w jakim zbierano Samuela.

Wyprostowała się,

jakby nie trwała pół dnia w niewygodnej pozycji, ścierpięta i przemoczona. Nie opuszczała ojca ani na chwilę, szła przy nim, gdy go wynosili. Na dworze czekał na nich tłum ludzi.

Samuel mrużył oczy. Musiał bardzo cierpieć, ból wykrzywił mu twarz, ale on przyjmował to z jakimś upiornym uśmiechem, który nawet u najodporniejszych wywoływał gęsią skórkę.

- Mnóstwo kamienia osunęło się dzisiaj z góry - wy- syczał z trudem.

Nie odpowiadał mu nikt. Wyglądało na to, że Wielki Samuel chce wybuchnąć śmiechem, ale głowa opadła bezsilnie na ziemię. Przymknął oczy z bolesnym grymasem i próbował podnieść jedną rękę, ale to też mu się nie udało.

Jeden z najstarszych, najbardziej doświadczonych mężczyzn, który przybył tu z kopalni w Roros, kręcił

głową. Zdjął kapelusz i miał szerokie rondo w rękach

niemal tak samo czarnych jak znoszony filc.

- Tutaj będzie potrzebna piła.

Zaległa złowroga cisza.

- Nie, do jasnej cholery - jęknął w końcu Samuel. Oczy miał nadal zamknięte.

- Ból odbiera ci rozsądek - powiedział Siyert z Roros. — Nie przeżyjesz, jeśli cię zostawimy w tym stanie. W twoich nogach, Samuelu, nie ma ani jednej całej kostki. Mówię głośno to, czego inni nie mają odwagi wyrazić. Powiadam ci, masz do wyboru: piła albo śmierć.

- Piła oznacza śmierć - wychrypiał Samuel. Właściwie przy tych obrażeniach powinien był leżeć nieprzytomny i wszelkie decyzje pozostawić innym. Ale Wielki Samuel nigdy nie był taki jak reszta. - Po tym nie będę już człowiekiem...

Ludzie odwracali twarze. Ten i ów odchodził, Roza chwiała się na nogach. Tomas nie spuszczał jej z oczu. Uważał to za swój obowiązek. Nikt inny przecież nie pomyśli o córce Wielkiego Samuela. Gdy tylko wyszli ze sztolni, natychmiast znowu przestała być dla nich widoczna. Woleli na nią nie patrzeć.

- Nie zabierajcie go do domu - prosiła cicho. Musiała powtarzać swoją prośbę kilkakrotnie, zanim ją usłyszeli. Dopiero wtedy jeden czy drugi spojrzął na Rozę, ale natychmiast odwracał wzrok. Choć przecież byfa zwrócona do nich dobrą stroną.

— Nie zabierajcie go do domu. — Musiała wiele razy przetykać ślinę, zanim mogła mówić dalej. — Mama tego nie wytrzyma. Róbcie, co musicie, ale nie w domu. Mama nie może go zobaczyć. Nie może wiedzieć, co trzeba z nim zrobić...

Nieśmiałą prośbę przerwał gardłowy śmiech Samuela.

— Słyszycie ją? Nanna przysięgała stać przy mnie

dobrym, jak i w złym. Wieźcie mnie do domu, do cholery! I urzynajcie mi nogi! Nanna to wytrzyma! Ale ty, córko, chyba powinnaś tu zostać...

Kiedy kamienie przysypały go w sztolni, błagał, żeby tylko Nanna go nie zobaczyła. Teraz nie miał dla żony litości. Tak, tak, ból musiał mu pomieszać rozum. Nikt nie odważył się spojrzeć na Rozę, nawet Tomas. I posłuchano ojca, nie jej.

Samuel wrócił do swojego małego domu z bali na furze. To najlepszy sposób, w jaki można go było przewieźć. Roza szła przy wozie. Nie przejmowała się tym, że Tomas widzi ją od złej strony.

Nanna płukała właśnie nad rzeką pranie, kiedy

baczyła zbliżający się wóz. Przeżona boso pognąła stronę orszaku. Rozy nie dostrzegła, ale nikt nie

mógł jej przeszkodzić w patrzeniu na furę. Wczepiła się rękami w jej krawędź i patrzyła, a potem powietrze przeszył rozpaczliwy krzyk niczym wołanie rannej rybitwy. Idący wolno

ludzie mieli zapamiętać ten krzyk na zawsze. W końcu Nanna jakby straciła rozeznanie, upadła niczym bezwładny tłumoczek tuż przy kole wozu. Jeden z mężczyzn musiał wziąć ją na ręce i zanieść do domu. Scigały go przekleństwa Samuela, że nikomu nie wolno dotykać Nanny.

- Dzieci? - spytał jeden z przybłych. Kierował słowa jakby w powietrze, ale było oczywiste, że to Rozę pyta.

- Zbierają chrust w lesie — odparła. - Mają ze sobą ręczny wózek. Wrócą dopiero wieczorem. Wnieście go do domu - poprosiła. - Wnieście go i zróbcie, co trzeba, zanim mama dojdzie do siebie.

Nikt nie miał ochoty podejmować się tego zadania, ale byli to mężczyźni, którzy przeżyli niejedną ciężką dzień. Wiedzieli, że muszą to zrobić sami, lekarze nie krążą po domach górników.

- Najlepiej byłoby w szopie - bąknął niepewnie Siyert.

Roza spoglądała to na jednego, to na drugiego.

- Spirytus! — To kolejne polecenie, które miała spełnić. Jeśli Nanna nie wiedziała, gdzie Samuel trzyma trunek, to córka, owszem. Dla Rozy w Samuelsborg żadnych tajemnic nie było.

Wyprzęgu konia, wsunęli wóz pod dach szopy, ale musieli wykonać operację pod gołym niebem, bo pomieszczenie okazało się zbyt ciasne. Któryś z mężczyzn przyniósł siekiere i piłę.

- Trzeba by opalić cały ten brud - powiedział. - Ale chyba spirytus zrobi swoje... — Po wszystkim będziecie musieli przypalić ranę — jęknął ten, który miał się zapoznać z piłą. Roza słuchała w milczeniu. Poszła napalić w piecu i nie wróciła, dopóki blacha nie rozgrzała się do czerwoności. Na dworze Samuel wył z bólu i na nic nie zdało się zatykanie uszu rękami. I tak słyszała. Zresztą lepiej było spotkać się z tą grozą twarzą w twarz.

W końcu ojciec przestał krzyczeć. Tomas nie pozwalał jej podejść do wozu. Jego oczy były białe, ale ogorzałe policzki nie mogły zblednąć, pokryły się tylko jakąś szarością. Pot spływał mu strużkami po twarzy. Dłonie spoczęły na ramionach Rozy, a ona nie protestowała. Był drugą istotą. Dobrze było czuć ciepłe ręce drugiego człowieka, wiedzieć, że nie jest się jedynym żywym stworzeniem. Nie zdołała spytać, co z Wielkim Samuelem. Chciała zobaczyć, ale Tomas stał między nią a wozem.

- Stracił przytomność, zanim doszli do kości - powiedział cicho. - Wlali w niego tyle wódki, że nic nie czuł. Innego by to zabiło, ale twój ojciec pił, jakby mu dawali wodę...

- Potrzebny ogień! Szybko!

Tomas cofnął ręce, a Roza pobiegła do pieca. Pod ścianą stało długie na łokieć, suche polano, którego nie mogła w całości włożyć do pieca. Teraz otworzyła drzwiczki i nie bacząc, że parzy sobie palce, wsunęła jeden koniec polana w płomienie. Zajęło się natychmiast, ale trzeba było poczekać, aż się dobrze rozpali.

Miała pęcherze na rękach, kiedy biegła z polanem do wozu, gdzie odebrał je od niej Tomas. Bez słowa. Była mu wdzięczna, że nie okazuje jej niepotrzebnego współczucia. Oszczędzał jej tego, czego bała się najbardziej. Wiedziała, że żaden z pozostałych mężczyzn by tego dla niej nie zrobił. Pozwoliliby jej stać przy wozie razem z innymi...

— Nie spalcie wozu, do cholery!

Oskoczyli. Wóz zakołysał się z trzaskiem, ale nic się nie stało. Rozległ się syk i Wielki Samuel został brutalnie przywrócony do rzeczywistości. Stłumił krzyk, ale bolesny jęk uniósł się do bezchmurnego nieba.

Przypalali krwawiące ciało. Musieli zniszczyć wszystko, co mogłoby zostać w ranach i narobić jeszcze więcej szkód. Po obejściu rozszedł się odór palonego mięsa. Roza zachwiała się znowu i Tomas pomógł jej się oprzeć o ścianę szopy. Podtrzymywał ją. Oboje pachnieli siarką, potem i mokrą wełną, i ta woń prawie tłumiała tamten straszny śwąd. Tomas głąskał

Rożę po szczupłych plecach. Nie mówił nic. Nie był w stanie. Nie potrafił. Strasznie się bał, że powie jakieś słowo, które ona zrozumie źle.

Roza przestała dygotać. Wiedziała, że Tomas nie ma żadnych złych zamiarów. Dotychczas nie знаła takich mężczyzn jak on. Tłumaczyła to sobie tym, że pochodzi z innego narodu.

Tomas miał w sobie delikatność, która łagodziła uczucia, a zarazem przerażała.

- Trzeba mu założyć opatrunek - powiedziała zwyczajnym głosem. Jej pierś podnosiła się i opadała szybciej niż zwykle, ale zdołała zachować spokój.

Tomas pozwolił jej odejść na odległość ramienia. Przytrzymał ją lekko. Musiał się przekonać, że ona temu podoła, że ustoi o własnych siłach. Dopiero kiedy był tego całkiem pewien, otworzył ręce. Roza nie patrzyła na niego, kiedy, przytrzymując spódnice, szła przez podwórze w stronę domu. Tomas musiał wiele razy zacisnąć i rozprostować pięści, zanim był w stanie podejść do wozu. I do Samuela. - Bogu dzięki, że ona trzyma się na nogach -

zauważył Siyert, który przepłukiwał gardło Samuela mocnym trunkiem. Zaproponował butelkę Tomasowi, który jednak odmówił. - Masz dużo rozsądku w głowie, chłopcze — pochwalił Siyert. - Kobiece ręce są tu potrzebne, a Nanna do niczego się nie nadaje. Ta dziewczyna jest córką swego ojca. Niech mnie licho, ile ona wytrzymała, i w kopalni, i tutaj. Przeszła przez to wszystko i ani na chwilę nie straciła zimnej krwi. Podoba mi się to!

Tomas wolałby, żeby słowa uznania padły w obecności Rozy, ale kiedy wróciła ze śnieżnobiałym prześcieradłem w rękach, Siyert już milczał. Musiała prosić o pożyczenie noża, żeby naciąć płótno. Nikt jej nie pomógł. Jeden po drugim ludzie odchodzili od wozu.

Przy Samuele został tylko Siyert. To on podał jej rękę, kiedy wdrapywała się na wóz. - Uklękła przy ojcu, ale nie była w stank znieśjzego spojrzenia. Domyślała się, co mogłaby w nim znaleźć Tego było dla niej za wiele. Ale drobne dłonie poruN szwały się pewnie i szybko, kiedy robiła bandażę z płóciennego prześcieradła, a potem przewiązywała zakrwawione kikuty.

Siyert przyglądał się jej, a kiedy skończyła, skinął głową.

- Trzeba go wnieść do środka. Czy Nanna to wytrzyma?

Roza przytaknęła, choć sama nie wiedziała, co będzie. Nanna siedziała oparta o ścianę domu, podkurczyła kolana, oparła na nich brodę i tak trwała, blada, z ustami otwartymi jak do krzyku, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobywał. Oczy miała jak ze szkła. Nie widziała Rozy, kiedy ta wyjmowała najlepsze prześcieradło ze skrzyni, nie widziała jej też, kiedy córka szła

bandażować ojcu nogi, nie słyszała głosu, kiedy Roza pytała, czy jej czego nie potrzeba.

- Wnieśmy go - obiecał Siyert.

Spłoszonym wzrokiem Roza spoglądała na to, co zostało na wozie, za czerwonymi, jak jej się zdawało, oparami, w których klęczała. Dławiła ją woń, która tak strasznie przypominała tamtą w dniu, kiedy ojciec oszpecił jej twarz. Przypominała jej dzień, w którym po raz ostatni świat widział jej urodę.

Nanna nie patrzyła, jak niosą jej męża przez kuchnię. Nie poznawała swojego wielkiego, silnego mężczyzny w tym karle, spoczywającym na rękach górników. Ten Samuel był kimś obcym, nie obchodził Nanny.

Roza bez słowa poszła przygotować łóżko. W oczach ojca płonął ogień, kąciki ust opadły.

— Bandażę trzeba często zmieniać — powiedział Siyert. - Może znajdziemy kogoś, kto będzie to robił...

- Dam sobie radę - rzekła Roza stanowczo.

— To za wiele dla młodej dziewczyny.

- Poradzę sobie.

- Uprzątniemy resztki...

- Spalcie to! — ryknął Samuel.

Roza zagryzła wargi do krwi. Za wszelką cenę musiała zachować spokój.

— Poradzę sobie — powtórzyła raz jeszcze.

- I z tym także? - zdziwił się Siyert.

Roza skinęła głową z taką miną, że nikt nie odważył się zaprotestować.

- Z tym także.

Rozdział III

Roza spaliła wszystko, co zostało po amputacji. Wiele razy wstępowała do domu. Ojciec zgrzytał zębami, oczy miał półprzytomne. Jeśli się odzywał, to w gniewie. Roza proponowała mu coś do jedzenia, ale on chciał wódki, postawiła mu więc butelkę przy łóżku. Nie mówiła nic, pomagała mu tylko się napić. Ręce Samuel miał całe, z wyjątkiem dwóch złamanych palców. Górnicy mówili, że to cud boski. Skarżył się wprawdzie na bóle w piersiach, ale oni nie mogli stwierdzić, że coś tam jest nie w porządku, a Roza też niczego złego nie dostrzegła. W każdym razie krwią nie pluł. I wódka mu nie szkodziła.

- Gdzie jest Nanna? - spytał w pewnej chwili.

- Mama płacze - odparła Roza zgodnie z prawdą. Przed ojcem nigdy kłamać nie umiała. Zawsze uważała, żeby nie zadał jej pytania, na które by nie mogła czy nie chciała odpowiedzieć.

Teraz Samuel przyjął jej słowa w milczeniu. Mówienie sprawiało mu ból. Z pomocą Rozy wypił znowu spory haust wódki.

- Poślij po Olego - powiedział po dłuższej chwili. - Będzie mi potrzebny!

Roza uważała, że Hans by wystarczył jako gospodarz w domu, ale widocznie ojciec myślał inaczej. Nie zaprotestowała. Skinęła tylko głową. Jak tylko kogoś znajdzie, brat natychmiast dostanie wiadomość.

— Załatwię to.

Nanna siedziała przy szafie. Oczy miała czerwone. Roza nie zdobyła się na to, by do niej podejść, objąć ją. Z wdzięcznością myślała o tym, jak Tomas to zrobił wobec niej. Doznała wtedy prawdziwego pocieszenia, ale w ich małym domu nie wykonywało się takich gestów. Tutaj nikt nie był przyzwyczajony do pocieszania.

- On nie chce jeść - powiedziała Roza do matki. - Dałam mu wódki, mniej go od tego boli. Na noc musi mieć świeże bandaże. Nie wiem, z czego mogłabym je zrobić. Podłożyłam mu prześcieradła. Jedno podarłam. Brudne bandaże upiorę, ale muszę mieć coś na zmianę...

Nanna najmniejszym nawet gestem nie dała poznać, że słyszy, co córka mówi. Roza nie powtórzyła po raz drugi. Zaczęła z siebie zdejmować ubranie sztywne od kurzu z kopalni, krwi i ziemi, rzucała je na wyszorowaną do białości kuchenną podłogę, a potem wyjęła czyste rzeczy ze skrzyni pod ścianą. Pod ubraniem też była szara, kamienny pył wżarł się w skórę. Ale nie miała czasu na mycie.

- Gdzie idziesz? - spytała Nanna, kiedy Roza z tobołkiem ubrań pod pachą otworzyła drzwi.

- Poczekam na dzieci. Najlepiej będzie poinformować je o wszystkim, zanim wejdą do domu. Samuel z pewnością nic im nie powie i nie pozwoli nikomu zadawać pytań. A oni przecież mają oczy, zobaczą, będą chcieli wiedzieć. Czas oczekiwania na braci skracała sobie praniem. Pracowała długo, a kiedy wstała, żeby rozwiesić ubranie, o mało nie zemdląca. Spódnica i bluzka. Fartuch i chustka. Bielizna. Choć nie miała mydła, białe rzeczy były olśniewająco białe, a niebieskie — nieskazitelnie niebieskie. Tylko ręce pocierała sobie do krwi.

Przyszli pod wieczór. Pięciu małych chłopców z ciężkim wózkiem. Nazbierali mnóstwo chrustu. Ojciec byłby dumny z ich pracy, ale na pewno by ich nie pochwalił.

W obejściu nie pozostał nawet ślad tego, co się tu dzisiaj wydarzyło. Trwało to ledwie parę godzin, a przecież zaciążyły nad nimi na całe życie. To było najtrudniejsze zadanie, z jakim Roza musiała się zmierzyć. Ale śladów nie zostawiła. Zmyła wszystko ciokładnie. Nawet

prześnięte krwią prześcieradło było białe i czyste. Ognisko nad potokiem, gdzie paliła resztki, zalała kilkoma wiadrami wody. Najbardziej osmalone kamienie pozbierała i wrzuciła do fiordu. Morze zrobi resztę.

Pięciu małych braci z ciemnymi, gęstymi włosami Nanny, z jej brązowymi oczyma. Hans, lat trzynaście, Edyard, dwanaście, Nikolai, dziesięć, Knut, siedem, i mały Anders, pięć lat. Było jeszcze czterech: Johan, urodzony między Olem i Hansem. Za wcześnie przyszedł na świat, parę oddechów i do grobu. Lars urodził się, kiedy Roza miała pięć lat. Zył trzy lata i się utopił, fiord jest naprawdę głęboki. Tego samego roku urodził się Seyerin, siódmy syn. Nanna rozpaczała po śmierci Łarsa, nie miała pokarmu, opuściła ją cała radość życia, Seyerina straciła również. Od urodzenia był słabiutki. Chwiejne, żółte źdźbło, które nie przeżyło nawet jednego lata. A potem był jeszcze Henrik. Ole, rok młodszy od Rozy, był jej bratem bardziej niż pozostali. Tamci jeszcze mali, a Ole już niemal dorosły.

I miał oczy niebieskie, jak Roza i ojciec. Byli sobie bliscy, Roza i Ole.

Poczekala, aż dzieci wyładują chrust i odstawią wózek na miejsce. Dopiero wtedy opowiedziała. Nie bardzo jej wierzyli, ale spokojnie weszli do domu, żeby zajrzeć do ojca za niebieską zasłonę. Chłopięce oczy wpatrywały się z przerażeniem tam, gdzie powinny być kolana Samuela. A potem w twarz ojca. Patrzył na nich, pod jego wzrokiem pytania więzły im w krtani. Mroził ich tak, że zapominali, iż w ogóle chcieli o coś pytać.

- Zyję - powiedział krótko takim tonem, że odskoczyli ku drzwiom. - Każdy wykonuje swoje obowiązki. Jak przedtem.

Wszyscy skinęli głowami. Roza, stojąca w uchylonych drzwiach, również. Cóż innego mogłaby zrobić? Braciom nie chciała utrudniać sytuacji i przywykła okazywać posłuszeństwo ojcu.

To on w dalszym ciągu jest panem w Samuelsborg.

- Chciałbym porozmawiać z Hansem.

Chłopiec wielokrotnie przełykał ślinę.

- W cztery oczy! - dodał Samuel

Malcy natychmiast wybiegli, potykając się o siebie nawzajem.

- Rozo, zamknij za sobą drzwi!

Nanna przygotowywała w kuchni kolację dla chłopców. Garnek z kaszą stal na piecu. Matka widziała tylko synów. Dla nich miała nawet uśmiech.

- Czy Samuel wstanie? - spytała, nie patrząc na córkę. Roza poczuła, jakby ją ktoś uderzył z całych sił w żołądek. Z trudem chwytala powietrze. Nanna uśmiechała się lekko, po obu stronach twarzy miała dołeczki. Zbierała w nich tylko pocałunki Samuela. To on porwał ją kiedyś niczym sztorm. Potem Nanna nie chciała się już zadowalać słabszymi wiatrami. Chociaż była jedynie pyłem w wieczności, kiedy on przyszedł na świat, Samuel był stworzony wyłącznie dla niej.

- Przecież nie może tak leżeć cały dzień — rzekła, każdym jej słowie brzmiało pełne miłości oddanie.

W jej oczach pojawiało się jakieś osobliwe światło, kiedy o nim mówiła. Nanna nigdy nie przestała być zakochana w swoim mężu. Kochała go i była mu posłuszna. - Dorośli mężczyźni bawią się nieodpowiedzialnie

— dodała z taką miłością, że Koza zadrżała. Musiała wsunąć ręce pod fartuch i zacisnąć je na fałdach niebieskiej spódnicy.

- To chyba nie jest tak, mamó - Koza mówiła szeptem. Bracia spoglądali to na nią, to na matkę. Roza wołałaby nie być sama z tą sprawą, ale nikogo do pomocy nie miała. Matka jest słaba, to nie jej wina. Kobiety w jej rodzinie zwykle były silne i stanowcze. Ale wpłynęło wiele krwi z innych rodów poprzez mężczyzn, których te kobiety kochały. Widocznie niektóre prababki dokonywały lekkomyślnych wyborów. Koza знаła liczne historie o kobietach ze swojej rodziny. Nasłuchiwała się ich u babki Lei od maleńkości.

Matka jest słaba. Ale Koza jest silna.

- On nie może wstać - powiedziała. - A ty musisz znaleźć coś, czym będę mogła opatrzyć jego rany. Muszę zmienić bandażę, a nie wiem, co wziąć. Mamo, proszę cię!

- Czy Samuel się zranił? — matka była szczerze zaskoczona.

- Przysypało go w kopalni. Góra była zwietrzała...

- Nie... - Nanna zbladła. - On umrze! Mój Samuel umrze!

Rzuciła się ku drzwiom, ale poślizgnęła się i upadła. Wpatrywała się w niebieską zasłonę. Hans ukląkł przy niej, objął, chciał ją podnieść, ale Nanna go nie widziała. Zerwała się na równe nogi i wbiegła do męża.

- Samuel! - upadła przy łóżku, dłonią głaskała jego twarz. Wolno potrząsała głową, wzrok miała nieobecny. Raz po raz całowała męża w czoło i w policzki. Całowała jego wyschłe, popękane wargi, na których był kopalniany pył i krew, brud i alkohol.

- Ty nie możesz umrzeć, nie możesz mnie zostawić, Samuelu! — błagała. Drobne dłonie głaskały Samuela po twarzy, po włosach. - Nie możesz mi umrzeć, Samuel! Obiecuj mi, że nie umrzesz. Samuelu, nie mogłabym żyć bez ciebie!

On poruszał wargami. Choć bardzo chciał, nie był w stanie podnieść rąk, żeby ją objąć.

Samuel nie miał nawet siły pocałować żony.

- Nie umrę - wyszeptał. W porównaniu z krzykiem Nanny jego głos brzmiał żałośnie. Nie chciał, żeby płakała. Potrafił znieść wiele, ale łez Nanny nie.

Koza nakarmiła dzieci i wstała od stołu. Nie była w stanie dłużej siedzieć w tym domu.

Skorzystała z wymówki, żeby wyjść.

- Muszę wysłać posłańca do Olego. Pójdę do Kopalni, może ktoś się zgodzi...

Żaden z chłopców nie poprosił, żeby go ze sobą wzięła. Ona też żadnemu nie proponowała.

Zrobiło się późno, ale ona nie bała się niczego. Prześciana ją zahartowały. Nawet nie marzła, choć było pogodnie i chłodno. Nie włożyła chustki na głowę, żadnego szala, pod którym mogłaby się ukryć. Potargane włosy sterczały wokół twarzy, nawet o tym nie pomyślała. Ludzi spotykała mało, a i ci schodzili jej z drogi. Nie parzyli jej w oczy dawniej, to tym bardziej teraz. Mogła iść w spokoju. Nawet kucharka jej nie przepędziła, kiedy stanęła pośrodku jadłodajni, odbierając apetyt górnikom, którzy jeszcze tam siedzieli.

— Upiekliśmy to ciasto, które zostawiłaś — powiedziała kucharka.

Wszystkie spojrzenia kierowały się ku Rozie, chociaż raczej w okolice jej kostek niż twarzy. Zawsze tak było.

- Potrzebuję posłańca do Alteidet - powiedziała Roza. Teraz to ona szukała ich wzroku, ale nikt się nie zgłosił. Ludzie wychodzili jeden po drugim, zajęci swoimi sprawami. Roza nie oczekiwała, że rzucą się tłumnie, sądziła jednak, że ojciec cieszył się wśród nich większym poważaniem, tak jak o sobie opowiadał. Siyerta ani nikogo z brygady Samuela nie widziała.

- Już późno - powiedziała kucharka, jakby usprawiedliwiając ich milczenie. - Mają za sobą wiele godzin pracy w kopalni, a jutro znowu roboczy dzień. Tymczasem do Alteidet daleka droga.

Roza pojęła, co kucharka chce dać cło zrozumienia. Że mianowicie dla tego, który by poszedł do Olego, będzie to strata. Dodała więc:

- Wynagrodzę posłańca.

Srniech buchnął niczym płomień, rozprzestrzenił się, narastał. Nikt właściwie niczego nie powiedział, ale Roza znakomicie wiedziała, co mają na myśli i co ich tak ubawiło. Poczula, jak gniew ogarnia całe ciało, po opuszki palców i korzonki włosów, ale zacisnęła zęby. Tej przyjemności im nie robi! I żebrać też nie będzie. Spódnica z niebieskiego płótna furkotała, kiedy Roza wybiegła z izby. Była taka wściekła, że mogła pobiec do samego dyrektora i powiedzieć mu, co myśli o tej całej Kopalni i o nim, zarazem jednak była bardziej samotna niż kiedykolwiek. Nie mogła przecież pójść do zarządcy. Nie zapukała też do drzwi żadnego baraku. Będzie i tak musiała wrócić do Kopalni. Teraz to jej ręce będą zarabiać talary dla

rodziny. Trzeba będzie się pokazać wśród ludzi również po dzisiejszym dniu. Ze smutkiem musiała przyznać sama przed sobą, że młodszy bracia też będą potrzebowali pracy. I Hans, i Edyard oraz Nikolai są wystarczająco dorośli, by stanąć do dniówki. Może nie w sztolniach, tego chciałyby im oszczędzić, ale chyba przez jakiś czas mogliby kruszyć rudę. Chociaż nie zostaną tam na zawsze. Roza coś wymyśli, żeby im w życiu pomóc.

Teraz jednak najlepiej zdławić własną dumę. Biegła wzdłuż kei, gdzie ładowano rudę, minęła Strømmen, szła do zakola fiordu, tam gdzie mieszkali Norwegowie.

9.

Nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym się zwrócić. Nie mogę posłać Hansa po naszego brata. Hans jest potrzebny w domu. Nie stać mnie na okazywanie dumy. Jeśli on roześmieje mi się w twarz, odepchnie mnie, to naprawdę nikt mi już nie zostanie.

Izba jest pełna ludzi. Mnóstwo twarzy zwróciło się w moją stronę. Wszyscy wiedzą, kim jestem. Nie rozumieją tylko, dlaczego przyszłam. Jego matka spogląda na mnie niespokojnie. W jej oczach widzę niezadowolenie i gniew. Czegoś lepszego chciałyby dla syna. Matki zawsze tak myślą. Ale ona chyba rozumie, bo zna też ciemniejsze strony swojego Jensa. Powiedziałam „dobry wieczór”, ale zanim ktokolwiek zdążył zareagować, on już jest przy mnie. Chwyta mnie za rękę i wyciąga na dwór. Przemyka się ze mną pod ścianami domów. Jego ręka mocno się zaciska na moim nadgarstku. Jest silna i ciepła. On ma takie gorące ciało. W stodole jest całkiem ciemno.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? Czy ci nie mówiłem, że masz za mną nie łązić?

— Ja cię potrzebuję.

Na to on uśmiecha się tak szeroko, że widzę jego zęby. Śmieje się jak syty, zadowolony kot. Przyciska mnie do siebie, jego ręce obłapiają mnie pożądlawie.

- Ach, więc mówisz, że mnie potrzebujesz?

Głupi, nic nie rozumie. Jens nie lubi skomplikowanych myśli, ale jest taki urodziwy, że wcale nie musi.

- Mojego ojca zasypało w kopalni - mówię, kiedy udaje mi się uwolnić wargi spod jego gorących ust. Wargi mam obolałe, oddech cięższy niż oddech Jensa. Moje serce zawsze biegnie na wyścigi z sercem Jensa i za każdym razem wygrywa. Teraz też jest nie inaczej. Trzeba mu było obciąć nogi. Ole nie wie o niczym. Potrzebuję kogoś, kto powiadomi Olego. No to powiedziałam, co trzeba. Ale jego to nie uspokaja. Ręce podążają znanymi sobie drogami pod moją bluzkę. Palce wiedzą, czego szukać. I znajdują. Pochylam kark tak bardzo, że czołem prawie dotykam jego piersi. To kieruje moje myśli na inne tory. Jens pada przede mną na kolana. Jego ręce podążają tropem warg, a ja go nie powstrzymuję. Pozwalam, by położył mnie na niemal gołym klepisku. Trawa stoi jeszcze na łąkach, trzeba tygodni, zanim siano znajdzie się w stodole.

- A więc to tak, potrzebujesz posłańca - mówi Jens. Jego ręce otwierają wszystkie tajne miejsca w moim ciele. Na to też mu pozwalam. - Do Alteidet daleka droga, Roza - mówi Jens. O moim ojcu nie wspomina ani słowem.

To Jensa nie dotyczy. Przedtem on się mojego ojca bał. Bo Wielki Samuel wygarbowałby mu skórę, gdyby wiedział, jakie chwile Jens Haldorsen spędza z jego córką. Teraz już się nie będzie musiał bać.

- Daleka droga, Roza - powtarza Jens i rozpina mi bluzkę. Podnosi moją spódnicę, klęka nade mną. Czuję dotyk jego skóry. Jest ciemno, ale ja zamykam oczy, żeby było jeszcze ciemniej. - Jeśli jednak mogę za to coś znowu dostać... - mówi, odnajdując drogę do mnie. - Ty wiesz, jaką monetą trzeba płacić mężczyźnie, Roza...

Oddaję mu się całą. Przestaję myśleć.

Ole wrócił do domu piechotą. Sam. Ze skórzanym workiem na plecach. Rozie powiedział, że Jens nie był w stanie tak zaraz wracać, był zmęczony.

- Nie mogłaś przysłać po mnie kogo innego? - spytał Ole wieczorem, kiedy Roza pokazywała mu miejsce, gdzie spaliła resztki, o których nikt nie chciał nawet słuchać. Ole wyglądał teraz znacznie doroślej, niż wyglądają piętnastoletni chłopcy. Szybko to poszło, właściwie dokonało się w jednej chwili, gdy został wepchnięty do izby ojca, zobaczył jego krótsze o połowę ciało i usłyszał pełne goryczy słowa Wielkiego Samuela. - Czy Jens był jedynym, kogo mogłaś po mnie przysłać, Rozo?

- Był jedynym, który chciał iść. - Roza nie wiedziała, że wygiąda przy tym tak strasznie bezradnie.

Ale brat widział. Ole pragnął, żeby Roza nie została zeszpecona. Nic nie byłoby niemożliwe, gdyby oba policzki miała tak samo ładne. Wtedy Jens też byłby dla niej możliwy. Ole nie był taki głupi, żeby nie dostrzec, co się dzieje między Jensem i Rozą. Nie podo— Nie! bało mu się to, ale, niestety, Jens był od niego o wiele silniejszy.

Roza powinna być piękna. I jest, jeśli patrzeć na nią od prawej strony. Tylko że brat dobrze znał blizny na jej lewym policzku, a także brzydką, gruzłowatą skórę na barku i ręce. Był pewien, że Jens też to zna. I chyba nie tylko on. Ech, to beznadziejne. Gdyby Roza była ładna, mogłaby wyjść za mąż za jakiegoś silnego, dobrego chłopca i pomóc rodzinie. Pomóc też Olemu

realizacji pięknych marzeń, jakimi żywił się przez ostatnie lata. Teraz wszystko przepadło.

— Czy to jest kara? - spytał Ole nieoczekiwanie. Myśl przyszła mu do głowy nagle, a słowa spadły na Rozę niczym cięcie biczem. Ole ze zdumieniem stwierdził, że ona o tym nie pomyślała. — Za to, co zrobił... tobie? - Ole był skrepowany. Nie rozumiał, jak to możliwe, że jej nie przyszło to do głowy.

On dobrze pamiętał, jak to było. Wciąż brzmiały mu w uszach jej krzyki. Pamiętał płacz matki i białe od gniewu oczy ojca. I pamiętał też ciszę, jaka po tamtym dniu zapanowała w ich domu. Młodszy bracia nie pytali, nie żądali wyjaśnień. Ole do tej pory nie rozumiał tamtej wściekłości ojca na Rozę. Ale coś musiało się stać, bo Wielki Samuel był sprawiedliwy aż do bólu.

Teraz ojciec leżał za niebieską zasłoną, przemieniony w karła. Bardziej okaleczony niż to, co zrobił własnej córce. Więc może to los. Sprawiedliwość. Gdyby tylko nie oznaczało to cierpienie dla całej rodziny.

- Nie wolno ci tak mówić! - krzyknęła Roza gniewnie. Lewy policzek zsiniał jej jak zawsze w złości. — Kara! Chyba ci się rozum pomieszało! Pilnuj się, żeby ojciec nie usłyszał twojego gadania! I nikomu nawet nie wspomnij, że ci coś takiego w ogóle przyszło do głowy!

Ole milczał. Nie chciał źle myśleć o swoim ojcu. Wielki Samuel dał mu życie i Ole kochał ojca. Ale nie tak bardzo jak Roza.

- Pójdę do pracy w kopalni.

Ole uważał, że nie ma o czym gadać. Teraz on jest mężczyzną w domu.

- Gospodarz uznał, że powód jest wystarczający, żeby rrmie zwolnić - powiedział, spoglądając daleko ponadwąskim fiordem. Przesmyk, zwany Strommen, gdzie dwie odnogi fiordu niemal się o siebie ocierały, był niczym brama do reszty świata. Tam też, daleko poza zasięgiem jego wzroku, leży Alteidet. Należy do reszty świata. Ole może teraz przestać marzyć o wielkich polach. Zadne pole nie będzie do niego należało. - Ale zaproponował Jensowi, żeby wziął po mnie służbę jako parobek - dodał.

- I on przyjął?

Roza wstrzymywała oddech, czekając na odpowiedź. Ole nie chciał na nią patrzeć. Nie chciał widzieć

tego, co słyszał. Jens Haldorsen nie jest tego wart. Nie jest wart nawet części małego palca Rozy.

- Nie — odparł. - Ale przyjął propozycję przenocowania. Mój gospodarz ma bardzo ładną córkę. Jest dorosła, a stanem bardzo przewyższa Jensa, ale co to znaczy dla kogoś takiego jak On?

- Jeśli ja pójdę do kopalni, to Hans ani Edyard, ani Nikolai nie będą musieli pracować — przekonywał Ole.

- Oni powinni chodzić do szkoły. Uczyć się. Zostać w życiu kimś. Oni nie pójdą do kopalni.

Ole był stanowczy. I wiedział, co powinien zrobić w tej samej chwili, gdy Jens powiedział mu, z czym przyszedł. A po drodze do domu miał dość czasu, żeby wszystko dokładnie przemyśleć.

Roza nie mogła pojąć, jak to się stało, że nie dostrzegła, iż Ole tak wydorósł. Składała to na karb tego, że tak długo mieszkali z daleka od siebie. On jako parobek w Alteidet z odpowiedzialnością dorosłego mężczyzny, ona w cieniu Kopalni. Dorosła służąca, ale domu, w Samuelsborg, ciągle jakby dziecko.

Więc nie musi sama o wszystkim myśleć. Ole też o wielu sprawach pomyślał. Poczucie obowiązku wysłali z mlekiem matki. Gdzieś po drodze skończyła się zabawa, zaczęło życie.

Nie tęsknili za beztroską. Zostali wychowani w przekonaniu, że walka trwa całe życie...

Roza straciła miejsce w piekarni. To nie jej wina, że chleb się nie udał tamtego dnia, kiedy w kopalni zdarzył się wypadek. Wielki Samuel jej potrzebował, a ona знаła swoje obowiązki.

Była posłuszną, oddaną córką. Nikt jej nie powiedział, że to z tego powodu wróciła do ciasnej kuchni z daleka od ciekawskich oczu, ale wszyscy o tym wiedzieli. Roza milczała. Ole przeprowadził się do baraków w Kopalni. Nie był w stanie mieszkać z ojcem pod jednym dachem, wiedział, że Wielki Samuel go tam nie chce. Zarobek oddawał matce. Był mężczyzną w domu, nawet jeśli tam nie mieszkał. Nogi Samuela się goiły, rodzina żyła w jeszcze większej ciszy niż przedtem.

W sierpniu przyjechała cudowna, ciepła babcia Lea. Jej włosy mieniły się mieszaniną srebra i ognia, oczy miała jak wielkie morze w niepogodę. Babcia Lea z rękami pełnymi życia, która odpędza bóle w zapomnienie i umie zatamować krew jednym delikatnym dotknięciem.

Zawsze pogodna. Z uśmiechami w kącikach oczu i radością w bagażu.

- Pomyślałam sobie, że jestem wam potrzebna - wytłumaczyła swoje nieoczekiwane przybycie.

Roza w milczeniu dziękowała niebu. Modliła się o to, myślała o tym tak intensywnie, że babcia musiała ją usłyszeć. Wiatr przynosił jej niemy krzyk. Lea pogłaskała

t: Nannę po włosach jak młodą dziewczynę, a nie jak doIL rosłą, trzydziestoletnią kobietę.

Patrzyła na córkę z wielką troską. Ze zmarszczką na czole, którą Roza

znała i na której widok przenikał ją dreszcz. W tej star. szej kobiecie widziała siebie.

Wiedziała, że to prawda,

że jest podobna do babki Lei.

- Jak ty to znosisz, Nanno?

„Roza nie do końca zrozumiała, co kryło się w pytaniu babki. Nie pojmowała brzmącego w jej głosie bólu. Cichego bólu płynącego z wiedzy...

— Tylko mi nie mów, że we wszystkim jest jakiś sens — : Nanna nie chciała słuchać matki.

Kuliła się i unikała jej

. dotyku. Roza nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek było inaczej. Nanna nie lubiła serdeczności. Pod

t: dłońmi Samuela była wciąż młodą dziewczyną, ale sama : nie okazywała uczuć. Nawet dzieciom.

— Stało się - powiedziała Lea. - Co tu można dodać? : A sens człowiek musi znaleźć sam.

Nanna milczała. Niewiele można odpowiedzieć matce, która zna wszystkie odpowiedzi. W jej obecności Nanna nie czuła się pełnym człowiekiem.

- Mogę go zobaczyć?

- Sciągniesz mu może nowe nogi z powietrza?

Lea nie zareagowała na gorycz Nanny. Nie była na nią zła. W oczach miała tylko smutek.

- To mógłby tylko Pan Bóg.

Samuel nigdy nie rozumiał rezerwy swojej żony wobec matki. Lubił teściową, bo była matką Nanny. Innych powodów nie potrzebował. Zresztą może by i tak ją lubił. Lea miała pogodne usposobienie. Bywało, iż pragnął, żeby Nanna była do niej podobna.

— A ty się tu wylegujesz? — Lea usiadła na krawędzi łóżka.

Samuel zacisnął wargi. Zresztą dawniej też się za wiele nie śmiał.

- Czy to twoja sprawka? - spytał.

- Aż tyle to ja nie mogę - poważnie potraktowała jego żart. — Takie rzeczy to nie dla ludzi, Samuelu. Ale wiedziałam, kiedy to się stało.

Samuel długo nic nie mówił.

- To byłaś ty - powiedział w końcu. - To twój głos prosił o Rozę... Nanna by tego nie potrafiła - teraz rozumiał, że nie tylko jego własna siła utrzymywała go w przytomności przez długie godziny potwornego bólu w sztolni.

— Roza... jest otwarta — potwierdziła Lea. - Najłatwiej mi do niej dotrzeć.

Używała zwyczajnych słów, nie chciała naznaczać wnuczki na dalsze życie. Sama urodziła tylko jedno dziecko i cieszyła się, że Nanna jest taka zwyczajna. Lea zaczynała nawet myśleć, że dziedzictwo kończy się na niej. Ze ona będzie ostatnia. Bo to dziedzictwo, trudne do dźwigania, położyło się głębokim cieniem na życiu wielu pokoleń kobiet w jej rodzinie.

— A ja? — spytał Samuel. — Jak traktujesz mnie?

- Do ciebie również łatwo dotrzeć — odparła Lea. - Z twojej strony też musiało być coś takiego, Samuelu.

Nigdy jej o tym nie opowiadał. Miewał podobne myśli, ale jej to nie dotyczyło. Samuel widywał twarze. Słyszał ciche rozmowy ze swoich stron rodzinnych, prowadzone w odległej przeszłości. Pogłoski z dawnych czasów. Wydarzenia z własnego życia. Ale to nie dotyczyło Lei.

- Mam lekarstwo na rany. Usunę bóle.

- Mogłabyś zrobić dla mnie coś więcej?

Lea nie przestawała patrzeć mu w oczy. Tym razem Samuel nie żartował. Był poważny. Cisza zaczynała : ciążyć.

- Czy mogłabyś pomóc mi odejść?

- Mam ci pomóc umrzeć?

Samuel skinął głową.

- Oczywiście, że bym mogła - odparła Lea. Nie wiadziała powodu, by nie mówić szczerze. Zięć jest dojrzałym mężczyzną. Nieledwie jej rówieśnikiem. Wycierpiał wiele. Lea go lubiła, chociaż niektórych jego postępów nie pochwałała. - Ale tobie nie pomogę. Chcesz umrzeć, zanim przyjdzie twoja godzina, musisz to zrobić sam. W takich sprawach nie pomagam.. Samuel był rozczarowany. Zywił swoiste zaufanie do teściowej.

— Mogłem się tego spodziewać — westchnął. — Jesteś przecież matką Nanny. Zrobisz wszystko dla jej dobra. Ale może dla niej byłoby lepiej, gdybym się usunął. Może przyniosłoby jej to ulgę. Pomyślałaś o tym, matko Leo?

- To nie z powodu Nanny ci odmawiam, Samuelu. A ze względu na ciebie. I na Rozę.

- Chcę porozmawiać z Olem - oznajmiła Lea, gdy wyszła od Samuela. Roza miała zaprowadzić ją do brata, bo Nanna nie lubiła chodzić po terenie Kopalni. Samuel bardzo uważał, żeby jej noga nigdy tam nie powstała. Nie prosiliśmy o sąsiedztwo Kopalni, mawiał, i to on chodził do sklepu po zakupy, choć przecież Nanna wiedziała najlepiej, czego brakuje.

10.

- Toż to całe miasto — nie mogła się nadziwić Lea. — Szła bardzo wolno, co denerwowało Rozę. Ludzie im się przyglądali. Babcia Lea nadal robiła wrażenie. Co prawda przy swoich czterdziestu sześciu latach nie miała już dziewczęcej figury, ale nadal była szczupła w talii i bardzo ładna. Większość życia minęła jej w szczęściu. Wychowała się jako jedynaczka, bo dwie jej siostry umarły, mąż Edyard też był jedynym synem starszych rodziców. Poznała go, gdy był bardzo młody, kochała szczerze i żyła w dostatku. Zawsze nosiła głowę wysoko i z godnością. Nie kryła się przed ludzkimi spojrzeniami. To Roza pochylała kark i zasłaniała się chustką. Babka Lea swój czepek związała na karku, pod zebranymi w ciężki węzeł włosami. Miedzianoszrebrzyste loki wysuwały się spod nakrycia. Mimo wieku lubiła się ubrać i wiedziała, w czym jej do twarzy — Ale żyć w tym hałasie, w tym nieustannym zgiełku to bym nie potrafiła! A ile ludzi wszędzie! To nie może prowadzić do niczego dobrego - mówiła, nie zważając, że Roza nie na wszystko jej odpowiada. - Dajesz sobie jakoś radę, Rozo?

- U mnie wszystko dobrze, babciu.

Lea nie była taka pewna. Dręczyły ją rozmaite przecucia. Jedno z najintensywniejszych przekonywało ją, że to nie jest najlepsze miejsce dla Rozy. Ale nie powiedziała tego. Postanowiła poczekać. Zbliżyć się bardziej do Rozy i upewnić, czy te przecucia są uzasadnione. A jednak coś złowieszczonego nie dawało jej spokoju, kiedy wędrowała przez to miedziane miasteczko, rozłożone na zboczach gór, i Lea nie miała wątpliwości, że ostrzeżenia dotyczą wnuczki.

Olego w baraku nie było i Roza ofiarowała się, że poszuka go w jadalni. Prosiła Leę, żeby zaczekała,

nie szła za nią więc babka została, ale niepokój jej nie opuszczał.

Roza weszła do pomieszczenia, którego bała się najbardziej. Palily się mocne światła. Pełno mężczyzn. Głośne śmiechy, ordynarne słowa. Wszystko się w niej kuliło, ale musiała głowę trzymać wysoko, jeśli chciała dostrzec Olega. Nie zobaczy go, jeśli będzie niższa od otoczenia.

Potrzebujesz chłopca dziś wieczór, Roza? Możemy ci jakiegoś wybrać. Będziemy ciągnąć losy. Ten, który przegra, będzie twój.

Śmiech rozrastał się za nią, wznosił się niczym góra Solidna góra, w której mogli wyrąbywać sztolnie

; Straszne, pogrążone w ciemnościach.

Jakaś ręka zacisnęła się na jej nadgarstku. Musiała na nią spojrzeć. To on! W jego chichocie brzmiał ton,

którego nie lubiła, ale obecność Jensa zawsze sprawiała, że robiło się jej ciepło.

- Widywałem dziewczyny ładniejsze od ciebie, Roza — powiedział. — Ale ty jesteś z nich wszystkich najbardziej chętna, prawda?

Był od niej silniejszy. Pociągnął ją i posadził sobie na kolanach. Przyciskał do siebie tak mocno, że mąż

czyżni dookoła śmiali się coraz głośniejsze.

— Jens — prosiła cicho, ale nie stawiała oporu. Chciała mu się wymknąć, ale przecież był silniejszy. I lubił to okazywać. Gniótł jej piersi, wsuwał rękę pod szal, między guziki bluzki, dotykał skóry. Roza walczyła, ale to go jeszcze bardziej rozzuchwalało. A zebrani wokół traktowali jego zachowanie jako żart. Jens Haldorsen tak się po prostu bawi z dziewczyną.

— Ładna nie jesteś, Rallar-Roza - mówił rozgorączkowany. — Ale za to jaka chętna! Nie wiedziała, kto wyjawiał w kopalni to imię, którym nazywał ją ojciec, ani dlaczego akurat Jens je zapamiętał. Fakt, że on go używał, odebrał imieniu całą urodę. Pożądliwe ręce pod jej spódnicą były twarde, sprawiały ból. Chciała mu się wyrwać.

Śmiechy przycichły. Teraz narastały gniewne pomruki. Ktoś powiedział:

— Do cholery, Jens, nie jesteś w baraku! Nie chcemy na to patrzeć!

Trzymał ręce między jej udami. Roza nie schyliła karku. Nie chciała dać się upokorzyć na oczach wszystkich. Nie mogła ukryć bólu. Widać go było w jej niebieskich oczach. Zaciskała zęby tak mocno, że o mało ich nie połamała.

Mężczyźni widzieli, jak cierpi. Ale w jakiś sposób brali udział w tym, co on jej robił. Nie tylko Jens się tak zachowywał. Patrzący byli częścią tego, co się działo. Teraz po prostu odwracali twarze, odchodzili. Jakby ją nadal otaczali, ale oddalali się od niej.

Jens nie puścił Rozy, dopóki wszyscy nie zobaczyli, co z nią robi. Wtedy czknął jak po dobrym posiłku i odepchnął ją od siebie.

- Chętna - powiedział, uniósł brodę Rozy, skierował jej twarz ku sobie i przyglądał jej się uważnie. Nawet się nie starał ukryć obrzydzenia na jej widok. — Ale okropnie szpetna. A teraz możesz iść - dodał. Ona jednak stała nadal. Był jej przekleństwem.

- Szukam Olego - powiedziała czystym głosem.

— Twój brat upił się jak świnia — oznajmił Jens, opierając się o ścianę. - Zanieśliśmy go do Lapończyka.

Roza przymknęła oczy i starała się uwierzyć, że nic się nie stało. Nie chciała myśleć, że Jens mógł jej sprawić taki ból, ale przecież to prawda, że on starał się wziąć ją tutaj, na oczach wszystkich, ponieważ nikt mu w tym nie przeszkadzał.

Jens jest piękny. Pozwalała mu robić ze sobą wszystko, ponieważ go kochała. A on się po prostu bawił. Mimo to wierzyła, że Jens nie jest zły.

Lea patrzyła na nią gniewnie.

- Co tak długo?

Roza nie chciała niczego tłumaczyć.

— Nie ma go tam, ale wiem, gdzie jest.

Rzeczywiście wiedziała, gdzie mieszka Tomas Była

. to jedna z tych rzeczy, które zauważała nie wiadomo dlaczego. Bez starań ze swojej strony. „. Tomas otworzył w tym samym momencie, w którym Roza zapukała. Skrzywił się i chciał zatrzaskać jej drzwi przed nosem. Potem westchnął i wpuścił dziewczynę do środka. Dopiero wtedy zauważył Leę.

Babka wyciągnęła do niego rękę i powiedziała, kim jest Tomas skrępowany uscisnął podaną dłoń Rzadko ktoś witał się z nim w ten sposób.

Ole leżał na brzuchu na pryczy Tomasa i chrapał. Roza miała ochotę go kopnąć. Cuchnęło od niego wódką i wymiocinami. Nie zarabiał w kopalni aż tak dużo, by mógł trwonić pieniądze na libacje w środku tygodnia. Alkohol w sklepie nie jest tani, poza tym chłopak musi wcześniej rano wracać do kopalni.

- Mógł być trzeźwy, kiedy przyjechałaś — powiedziała gniewnie do babki.

Lea usiadła na krawędzi pryczy. Odsunęła wyrośnięte chłopięce ciało pod ścianę, ale on nawet tego nie zauważył Z czułością we wzroku głaskała jasne włosy

— Czy Ole pił z Jensem? - spytała Roza, nie patrząc na Tomasa.

On przyglądał jej się uważnie.

- Jens i jeszcze kilku przyniosło go tutaj — wyjaśnił krótko. - Powiedzieli, że nie mają już siły taszczyć go aż do jego baraku. Nie mógł ustać na nogach. Niech zostanie.

- No a ty?

Tomas wzruszył ramionami.

- Nie pierwszy raz Tomas będzie spał na gołej podłodze - powiedział.

Roza złożyła ręce na piersiach.

- Szczeniak. Powinno się go porządnie obić.

Miała na myśli brata, a nie Jensa czy kogoś z tamtej paczki.

- To nie jego wina. - Tomas brał Olego w obronę.

— Chciałam zapytać was oboje - powiedziała Lea. — Ciebie i Olego, bo wiem, że Samuel odmówi, ale to przecież na was spadnie teraz cały ciężar utrzymania rodziny. My z Edyardem zastanawialiśmy się nad tym i chcemy wam pomóc. Samuel i Nanna nie muszą o niczym wiedzieć...

- Nie - odparła Koza. - I Ole powie ci to samo. Jeśli nie możesz zaproponować pomocy ojcu, bo by ci odmówił, to my też nie możemy jej przyjąć.

— Jesteś niebezpiecznie dumna, Rozo.

- Tak - odparła dziewczyna. - Mam tylko tę dumę.

Lea westchnęła. Delikatnie dotykała jasnych loków Olego. Pogłaskała też kark Rozy.

— To właśnie ta postawa prześladowuje nasz ród niczym mara! - uśmiechnęła się blado do Tomasa. Roza zdawała się nie dostrzegać młodego człowieka. Był dla niej jak powietrze.

— Powinieneś wybierać łatwiejsze ścieżki — rzekła Lea do jedyne go obecnego w tym pomieszczeniu, który chciał jej słuchać. Stała naprzeciwko Tomasa i wiedziała, że on akceptuje jej wiedzę. Miał bardzo piękny uśmiech.

- Przyjdę tu jutro po drodze do kuchni, żeby go wykopać do roboty - powiedziała Koza bardziej do ściany niż do Tomasa.

- Ja go obudzę.

- Przyjdę i tak - oznajmiła hardo.

Rozdział IV

Roza budziła się w domu pierwsza. Podłoga była zimna, kiedy szła napalić w piecu.

Nastawiała wodę na kawę. Gotując zupę mleczną, ubierała się. Nawet babCia Lea jeszcze nie otworzyła oczu. Roza przed wyjściem obudziła Hansa. Poprosiła, by przypilnował kawy. Po drodze do Kopalni nie spotkała nikogo. Może zresztą spotkała, ale nie widziała. Roza zapatrzona była w siebie.

Czy powinnam brzydzić się sobą? Czy może brzydzić się Jensem? To, co istnieje między nami, nie jest piękne, ale istnieje. Kiedy się nad tym zastanawiam, wiem, że to prawda. On mnie przynajmniej dostrzega.

W baśniach książęta są piękni. I księżniczki ich zdobywają. Ja marzyłam o księciach i rycerzach. Jednak żaden z nich nie był taki piękny jak Jens. On jest czymś więcej niż księciem.

Noszę też radość w piersi. Ponieważ Jens istnieje i dostrzega mnie. Nie mogę mieć nadziei, że on o mnie myśli, ale niekiedy widuję w jego oczach własne odbicie, a wtedy czuję, że żyję.

- Ole już poszedł - poinformował Tomas. Stał ubrany, gotowy do pracy i trzymał przed Rozą otwarte drzwi baraku, chociaż Olego już tam nie było. Roza chciała natychmiast zawrócić, ale on wcinął ją do środka. Powaga malowała się na jego twarzy, która miała ten sam kolor, co jego robocza bluza. Oddychał ciężko. Mocno zaciskał szczęki. Opierał się plecami o drzwi, w ciasnym pomieszczeniu było mało miejsca.

I ciemno. Swit dopiero się zaczynał.

- Co się z tobą dzieje? - spytał.

— A dlaczego chcesz wiedzieć?

- Czy on naprawdę cię wziął w tej jadłodajni? Jens...

Roza poczuła, że coś się w niej zamyka. Powiedziała:

- Nie.

— Przyszli tutaj, paru tych, z którymi wczoraj biesiadował. Robili straszny hałas. Nie powinienem był ich wpuszczać, ale obudziliby całą Kopalnię...

- I powiedzieli Oleru o mnie? To kłamstwo?

— O tobie i o Jensie.

Zaległa cisza. Potem Tomas mówił dalej:

- Śmiali się. Przekonywali Olego, że Jens robił z tobą, co chciał. Ze jego siostra jest w jadłodajni jak przekąska dla każdego, kto zechce. Przynajmniej dla Jensa. A kto wie, co się tam jeszcze dzieje po kątach, gdy Jens już się znudzi...

Roza westchnęła.

- Dlaczego ty na to pozwalasz? - spytał Tomas. - On cię traktuje jak śmieć.

— To moja sprawa.

- Ole poszedł szukać Jensa.

Roza przestraszyła się o brata. Jest taki porywczy. To po ojcu, dobrze o tym wiedziała. Sarna też nosi to we krwi. Ole jest taki do niej podobny. Zaczęła się niepokoić o Jensa...

- Posłałem za nim paru starszych mężczyzn - uspokoił ją Tomas. - Za Olem. Ja sam chciałem poczekać na ciebie. Masz prawo wiedzieć, co się dzieje. Oni go na pewno znajdą.

Powstrzymają obu. Gdybym wiedział, że to pomoże, to bym poszedł z twoim bratem. Jens sobie zasłużył na to, co Ole chce mu zrobić. Ole występuje w twojej obronie. On dużo myśli o honorze...

Ole nie był w stanie przemówić jej do rozsądku, To- mas też nie potrafił robić jej wymówek.

Spytał tylko:

— Dasz radę? Jesteś w stanie iść do kuchni i pracować przez cały dzień?

- A co main zrobić? Przecież to, o czym oni gadają, nie miało miejsca.

Tomas poszedł do kopalni.

Roza uniosła głowę, pozwalając, by poranne słońce ogrzewało jej pokryty bliznami, czerwono-białe policzki. Jak zawsze, kiedy szła do pracy, włosy związała w węzeł na karku i ukryła pod chustką. Jej oczy były teraz jak niebieskie szkiełka. Stukot jej obcasów był jedynym dźwiękiem w jadalni. Wszyscy obecni wstrzymali dech, mężczyźni, pracujący w kopalni przybysze z małych gospodarstw od Alta do Kynartgen, dawni budowniczy kolei, ci, którzy przyszli tu teraz na śniadanie... Niektórzy słyszeli. Niektórzy widzieli, co się tu działo wczoraj. Wszyscy myśleli o tym samym. Spojrzenia śledziły Rozę. Widzieli jej twarz, i tę urodziwą stronę, i tę zeszpeconą. Widzieli, że talię ma szczupłą, a biodra okrągłe. Patrzyli na jej piersi. Domyślali się, czego Jens pożałował.

Zniknęła w ciepłe ostro oświetlonej kuchni. Stała się tylko niebieskoszarą postacią, przechodzącą przez uchylone drzwi. Pozostała w słowach, które jedzący śniadanie górnicy wymieniali między sobą. Mieli wprawdzie za mało czasu na te rozmowy, ale i tak dzielili ją między siebie, jakby była ich własnością.

Kucharka odzywała się do niej tylko krótkimi poleceniami. Pojedyncze słowa. I nawet wtedy nie widzia

ła Rozy. Zaciśnięte wargi były niczym kreska na chudej twarzy. Nie ukrywała, co myśli, nawet ta cisza wy- mownie o tym świadczyła. Amanda dbała, żeby odwracać się od Rozy plecami. Miała dziś tyle do zrobienia, że chyba nabiegała się więcej niż w ciągu wszystkich tygodni przepracowanych w kuchni. Rozę zaczynało to bawić. Omijały ją wszystkie takim szerokim łukiem, że chciało jej się śmiać. Była jak obca, którą postanowiły tolerować. jak zagrożenie, którego starały się nie dostrzegać. jeśli jednak miała być dla nich niewidzialna, musiały robić jej więcej niż zwykle miejsca. Dopiero kiedy wieczorem Roza była gotowa do wyjścia, kucharka uznała, że należy przemówić. Było to krótkie oświadczenie, wygłoszone na progu:

- Wolałabym, żebyś nie przychodziła do kuchni, kiedy nie pracujesz, Rozo Samuelsdatter! Na dworze czeka na mnie brat. Oddycham z trudem, serce wali mi jak młotem. Nie mogłam się załamać tam w środku, na oczach wszystkich. Nie jestem w stanie na nich patrzeć, nie potrafię znieść ich nienawiści. Lepiej, żeby myśleli, że jestem ponad to wszystko.

Ole dopada do mnie zaraz za drzwiami. jest taki wysoki, że rzuca na mnie cień. To tego lata tak wyrósł. już nie jesteśmy sobie równi. Ole nie wygląda dobrze.

Dotykam opuszkami palców sinoczerwonej opuchlizny pod jego okiem. Górna warga jest dwa razy większa, niż powinna. Musiał też dostać w nos, skóra na policzkach poodcierana, wszystko, co mężczyźni potrafią sobie nawzajem zrobić.

Uchyła się spod moich palców. To jest jeszcze gorsze niż spojrzenia górników w stołówce.

- Chcę z tobą porozmawiać, Roza. - Nie mówi nic więcej, ale ciągnie mnie do swojego ciasnego pokoju w baraku. To o rzut kamieniem od baraku Tomasa. Idę za moim bratem jak pies na uwięzi. Cieszę się, że Tomasz mnie nie widzi. Oczu Jensa się nie boję. Staję przed Olem. Barak jest dla niego jak klatka, bo Ole potrzebuje przestrzeni, ziemi wokół siebie. Ja to wiem. Bogactwo zawarte w rudzie miedzi nie da mu szczęścia, żeby nie wiem jakie było wielkie. On powinien mieć rozległe pole obsiane zbożem, gdzieś nad rzeką Alta, którym by się zajmował przez dziewięćdziesiąt dni tutejszej wiosny i lata. Łąki, na których trawa sięgałaby mu do bioder. Krowy takie wypasione i tłuste, że aż błyszczące.

- Jak ty się, do cholery, zachowujesz, Roza? - pyta Ole głosem naszego ojca.

- Nie zrobiłam nic złego - odpowiadam.

Jego śmiech rani mi uszy. Nigdy nie słyszałam, żeby się tak śmiał, to do niczego niepodobne. Raczej płacz niż śmiech.

- Złamałem mu nos - powiada Ole po chwili. - Powinienem był rozkwasić mu tę uśmiechniętą gębę...

Naprawdę zranił Jensa? Złamał mu nos? Czuję ból własnego nosa, jakby mnie uderzył. Omal nie zaczynam płakać. Chcę wbić pazury w policzki mojego brata, chcę ukarać go za to, co zrobił Jensowi.

- To ciebie nie dotyczy - mówię Olemu.

- Jesteś moją siostrą - warczy. - Gdybym go zabił, nikt by mnie nie pociągnął do odpowiedzialności - dodaje Ole, mój brat. W jego oczach widzę spokojny, niebieski płomień.

- Czy nie masz więcej szacunku dla siebie, że pozwalasz uważać się za kurwę Jensa? Gdyby ojciec był jak dawniej, to by go zabił. Może zresztą ciebie też.

Wiem o tym. Jens też o tym wiedział.

- Czy pomyślałeś, że to może do nich dotrzeć? - pyta Ole. - Czy pomyślałeś, że mama może się o tym dowiedzieć? Tata? Nie ma dzisiaj chyba nikogo nad całym fiordem, kto o tym nie słyszał. Naprawdę wierzysz, że nikt nie zechce donieść o tym mamie? Pomyślałeś, co dzieciaki będą wołać za naszymi braćmi? Pomyślałeś, jaką siostrą dla nich jesteś?

Ja jestem Roza. Jestem tą, która dzieliła z nim myśli. Tą, z którą mógł rozmawiać. Jestem jego siostrą.

Nie stałam się kimś innym od wczorajszego wieczora.

I przecież nie miało miejsca to, co on sobie wyobraża.

Kocham go.

Jestem tylko Rozą.

- Czy ty go do tego zachęcasz? - Ole ma piętnaście lat, ale mówi głosem Wielkiego Samuela. Głos ojca na dziecięcych jeszcze wargach mojego brata. Ole będzie bardzo ładny. Będzie jednym z tych, od których dziewczyny nie mogą oderwać oczu.

- Możliwe - odpowiadam, choć przecież nic się nie stało, - Skoro nikt nie próbował Jensa powstrzymać, to ja musiałam mu pozwolić.

Ole wierzy mi bez mrugnięcia powiek. Jak łatwo jest kłamać mężczyznom. Wystarczy im tylko powiedzieć to, w co sami wierzą.

Jens nie może już dłużej utrzymywać naszego związku w tajemnicy. Teraz ludzie wiedzą o mnie i o nim. Dzisiaj wszyscy o tym mówią. I będą tak gadać całymi miesiącami. W końcu on do mnie wróci. Wiem o tym.

- To był ostatni raz, że wystąpiłem w twojej obronie - powiada Ole. - Od tej chwili nie obchodzi mnie, co inni o tobie mówi Roza. Już nigdy więcej nie sprawisz mi rozczarowania.
11.

Po chwili jednak dodaje:

- On nigdy nie będzie ciebie wart.

Zdaję sobie sprawę, że mówi o Jencie.

— Nigdy zresztą nie będzie chciał się z tobą ożenić. Będzie cię wykorzystywał, ile razy na to pozwolisz, ale swoją żoną cię nie uczyni.

- Wiem o tym.

Ole wytrzeszcza oczy. Dostrzegam w jego spojrzeniu jakąś inną odmianę niechęci. A więc mimo wszystko nie jestem mu taka całkiem obojętna. Nie jest w stanie odepchnąć mnie w ciągu jednej nocy i jednego dnia.

— W domu nic o tobie nie powiem.

Może oczekuje, że zacznę mu dziękować. Ale to nie tak. Ja też nie chcę, żeby rodzice wiedzieli, ale wiem też, że nie można walczyć z tym, co się ma stać.

— Porozmawiam z Hansem - ciągnie dalej Ole z błyskiem w oczach. - Jest na tyle dorosły, by rozumieć. Zresztą zaraz i tak ktoś mu doniesie, jakiego rodzaju siostrę ma. Lepiej, żeby wiedział, co odpowiedzieć plotkarzom.

- Co się z tobą dzieje, Roza? - to pyta babka Lea. Spędziła w Samuelsborg już dwa tygodnie. Zrobiła to, po co przyjechała. Rany Samuela zaczęły się zablizniać, delikatna skórka pokrywała zakończenia kikutów. Ojciec przestał mówić, że czuje obcięte nogi, natomiast zaczął mówić, że wyzdrowieje. Lea nie wiedziała, czy wierzyć mu, czy nie. Zięć nadal widział sprawy w czarnych kolorach. Był mężczyzną potężnym, który mógłby dokonać wiek, gdyby tylko zdołał stanąć na własnych nogach. Mógłby zbudować wszystko, czego zapragnął. Ale teraz już nie.

- Wyczuwam w tobie jakiś niepokój, moja wnuczko.

Roza była tak samo milcząca jak ojciec, ale rzeczywiście miała w sobie niepokój. Jakby chodziła po rozżarzonych węglach. Lea zauważyła to samo u chłopców. Ole i Hans mówili coraz mniej. Nawet najmłodszy zachowywali się zdumiewająco cicho.

- Nie powinnaś o nic pytać - odpowiedział babce Ole. - To sprawa między nami. Nie obchodzi nikogo, nawet ciebie, babciu.

Wobec tego Lea zapytała Rozę:

— Dlaczego to bracia traktują cię jak powietrze?

Roza uśmiechnęła się, wznosząc oczy do nieba. Lato miało się ku końcowi. Niebawem nadejdzie pogodna jesień i wszystko dookoła się zaczerwieni. A potem nastanie niebieska, mroźna zima. Roza z radością czekała na czas, kiedy dnia prawie nie będzie, a ziemię pokryje twardy śnieg. Lubiła zimę i ciemną porę.

- Możemy się między sobą nie zgadzać, ale to nie znaczy od razu, że prowadzimy wojnę - odpowiedziała babce. - Jestem młoda - dodała. - A wszyscy mówią, że młodości towarzyszy niepokój.

— Ja myślę, że daje o sobie znać... siła.

Kiedy Roza na nią spojrzała, Lea nabrała pewności:

błękitnych oczach wnuczki dostrzegła mgłę poranka. I to nie mijało. A więc nie pomogły modlitwy, żeby dziedzictwo skończyło się na niej, rodzinna siła znalazła sobie nową ścieżkę. Będzie pulsować w jeszcze jednym pokoleniu.

- Powinnaś się o tym nauczyć, czego trzeba - powiedziała Lea pospiesznie. Nie chciała nawet myśleć, że Roza zacznie się wikłać w sieć półkłamstw jak wiele jej poprzedniczek. Uznanie dziedzictwa nie było sprawą łatwą dla żadnej z kobiet w rodzinie. Wszystkie tym dziedzictwem obarczone miały gorącą krew, a ich dni były ciemniejsze niż trzeba. -

Chciałabym cię nauczyć, jak z tego korzystać. Bo możesz dać się tej sile złamać albo nauczyć się z nią żyć. Wykorzystywać z pożytkiem dla siebie i innych. Widzisz, Rozo, tej sile towarzyszy gromadzona ponad sto lat wiedza. Niebezpiecznie jest bawić się z nią samotnie. Owe pierwsze nasze praprababki, które posiadały siłę, musiały się w trudzie uczyć, jak z nią postępować. Matka mojej babki spisała wszystko, co było jej wiadomo o kobietach obciążonych dziedzictwem, które żyły przed nią. I to jest pomoc dla wszystkich, które przysły po niej, dla mnie, dla ciebie. Chociaż w większości jej zapiski przepadły, zapamiętałyśmy to, co wiedziała. I każda ma obowiązek przekazać to dalej. To jest historia. Prawdziwa...

Roza nie powiedziała ani słowa.

- Wierzyłam, że nie będę musiała nikomu opowiadać tych prawdziwych baśni. Ze zabiorę je ze sobą do grobu. I tak by się pewnie stało, gdybym nie zauważyła znaków w tobie...

- To nie jest żadne przekleństwo - oznajmiła Roza w końcu. Przyjemnie było uzyskać potwierdzenie, że jest jedną z wybranych.

- Chcę, żebyś w zimie przyjechała do mnie na wyspę - powiedziała Lea. - Wtedy będziemy miały czas

i przekażę ci wszystko, co towarzyszy darowi, który w sobie masz.

- Nie będę mogła - rzekła Roza. - Musimy najmłodszych braci trzymać z dala od kopalni - tłumaczyła zdecydowanie. - Tak postanowiliśmy oboje z Olem. Oni muszą chodzić do szkoły.

Uczyć się. Mój zarobek będzie w domu potrzebny.

Lea nie nalegała. Widziała, jak niechętnie wnuczka

z nią rozmawia o tych sprawach. A Roza złożyła ręce na podołku zadowolona, że babka zrezygnowała. Bo, niestety, gdyby ta rozmowa trwała dłużej, powiedziałyby babce, jak się sprawy naprawdę mają.

Rozdział V

- Przekroczyliście swoje zarobki - powiedział mężczyzna za ladą kramu.

Roza robiła cotygodniowe zakupy, matka nadal tu nie przychodziła. Wciąż była posłuszna Samuelowi.

- To, co wykracza poza moją zapłatę, niech pan weźmie z zarobków mojego brata — powiedziała, nie podejrzewając nic złego. - To Ole Samuelson.

— I tak nie wystarczy.

Poczuła, że robi się jej gorąco. Przecież wszystko dokładnie wyliczyła. I nie kupowała niczego oprócz rzeczy najniezbędniejszych. Tak wiele znowu nie potrzebowali. Najmłodszy bracia łowią ryby we fiordzie. Zaczęli już kopać młode ziemniaki, Są wprawdzie jeszcze bardzo małe, ale za darmo, i są dobrym pożywieniem. Mleko dla dzieci daje krowa. Ale mąkę, masło i kawę trzeba kupować. Prócz tego sói, czasem kawałek mięsa i parę jajek. Subiekt podsunął Rozie przez ladę zeszyt, w którym wszystko zapisywał. Być może nie powinien był tego robić. Roza wpatrywała się długie kolumny. Wypisywane niebieskim ołówkiem zawijasy i starannie kaligrafowane cyfry. Owe cyfry mówią więcej o życiu niejednego człowieka, niż mogłyby powiedzieć słowa. Widziała wyraźnie, co Ole kwitował. Jedzenia oczywiście potrzebował, ale pociemniało jej w oczach, kiedy linijka za linijką odczytywała, ile piwa wypił, za które płacił godzinami spędzonymi w kopalni. Żeby tylko to, płacił też godzinami, których jeszcze nie przepracował, które dopiero spędzi w sztolni.

- To tylko chłopiec - rzekła Roza z wymówką

głosie, odsuwając z powrotem protokoły. Subiekt zamknął zeszyt z trzaskiem.

- Ale pracuje jak dorosły - uciał.

- Dobrze, Od tej chwili proszę potrącać zakupy z moich zarobków. Ja też wykonuję pracę dorosłej kobiety, ale nie potrzebuję pociechy w butelce.

Wyglądało na to, że subiekt ma ochotę wykrzyczeć, czego jego zdaniem Roza potrzebuje, ale zmilczał. Różni ludzie pracują i żyją w Kopalni. Wszyscy znają dzieje Wielkiego Samuela, liczna rodzina utraciła żywiciela. Co tu dokuczać Rozie, córce Samuela, która robi co może, by zadbać o swoje rodzeństwo.

- Zapiszę to na poczet twoich przyszłych zarobków - obiecał - Weź dzisiejsze zakupy.

Podziękowała zadowolona, że się zgodził. Teraz Roza będzie przejadała zarobek z dni, które jeszcze nie nadeszły. Nie tak miało być, ale co robić,

W domu Hans zadbał, żeby dzieci nie były głodne. Chłopcy nanosili wody i drewna. Roza ogarnęła pomieszczenie jednym spojrzeniem. To była zawsze część powrotu do domu.

- Mama? - spytała krótko.

— Siedzi u taty - wyjaśnił Knut. - Wciąż tam tylko siedzi. Anders zasnął.

A więc wszystko jak zwykle. Roza uprzątnęła dom. Robiła, co trzeba. Podłoga szybko zarasta, kiedy tyle małych stóp wnosi z dworu piasek i brud. Roza nie mogła na to patrzeć. Czowała ból w plecach, kiedy kończyła szorowanie, mogła odłożyć wiecheć i szmatę, ale teraz było czysto. I pachniało czystością. Tymczasem obiad się ugotował. Pozostało jeszcze tylko podać dzieciom i zanieść tacę do pokoju rodziców. Samuela trzeba było podpierać, żeby mógł siedzieć. Wolałby radzić sobie sam, ale Nanna tak się spieszyła z pomocą, że rezygnował z własnych wysiłków. Nie chciał jej rozczarowywać. Roza dostrzegła płomyk w jego oczach, rozpoznawała go. Krępowano ją to, jakby podglądała coś, co jej nie dotyczy. Ci dwoje to jej rodzice, ale ich wzajemne uczucia są tak silne, że wszystko inne usuwają w cień. Nawet teraz, kiedy ojciec nie chce, by Nanna widziała jego słabość, jest to między nimi owa gwałtowna miłość. Tak wielka, że sprawia ból.

Roza nie chciała patrzeć. Zabrała ze sobą Andersa, bez wyrzutów sumienia, że go budzi.

Dziecko musi przecież zjeść ten jeden jedyny gorący posiłek, jaki mu się w ciągu dnia podaje. Odkąd Lea wyjechała, więcej tych posiłków dzieci nie dostają. Nanna przestała robić cokolwiek. Ona tylko siedzi u Samuela. Trwa tam, choć on ją błaga, żeby się zajęła czym innym. Tkwi na stołku przy łóżku. Bywało, że ojciec prosił, by szczerzej zaciągnąć zasłonę, ale Nanna siedziała tam mimo wszystko.

Roza nakarmiła dzieci.

— Teraz zostaniesz z nimi — powiedziała do Hansa. Brat więcej przesiadywał u kolegów niż w domu. Zresztą nic dziwnego, przyjemnie to w tym domu teraz na pewno nie było.

-Aty?

- Muszę poszukać Olego.

Stukała długo. Tłukła i tłukła w drzwi bez przerwy. Bolały ją dłonie, zrobiło jej się gorąco pod chustką,

która opadła na ramiona. Nie dawała za wygraną. Z pomieszczeń w pobliżu wołano, że ma przestać i żeby sobie poszła do domu. Roza udawała, że tego nie słyszy.

- Chcę z tobą porozmawiać, Ole! Wiem, że tam jesteś. Nie odejdę, dopóki mi nie otworzysz.

- Wpuść ją, do jasnej cholery! — krzyczał jakiś Szwed za sąsiednią ścianą. — Niektórzy muszą się przespać!

Drzwi jednak pozostały zamknięte. Roza nie przestawała się dobijać. Nie słyszała głosów sąsiadów. Dopóki Szwed nie wyszedł w mocno przyszarzałej bieliźnie i czarnym filcowym kapeluszu na głowie. Z kącika ust zwisał niedopałek. Zaspiane oczy przypominały wąskie szparki w zarośniętej twarzy. Odsunął Rozę na bok.

- Zechce się panienska usunąć - rzeki. Po czym, już bez dalszych tłumaczeń, odszedł parę kroków, wziął rozpęd i z całej siły natarł ramieniem na drzwi baraku. Przy pierwszej próbie drewno skrzypnęło złowrogo, ale pod następnym uderzeniem zamek puścił i Szwed wtoczył się do środka. Nie stracił jednak równowagi, tanecznym krokiem wycofał się na dwór i kłaniając się Rozie z przesadą, powiedział:

- Gósta otworzył drzwi dla Rallar-Rozy. Już nie będzie musiała hałasować.

Roza weszła do ciemnego pokoju brata. Nie zapalił

lampy, małe okienko zatkał wełnianym swetrem, widocznie światło nie było mu potrzebne.

Ole siedział

na podłodze koło pryczy. Na posłaniu leżał jakiś czuówek. Koc miał naciągnięty na głowę, widać było tylko stopy wystające spod koca.

A więc to nie kobieta. Wszędzie ślady pijaństwa.

I nie tylko piwo, które Ole kwitował w sklepie tu płynęło. W zastygłym, aż gęstym powietrzu czuć było odór wódki. Roza popchnęła nogą drzwi i oparła się o nie. Po chwili osunęła się na podłogę i usiadła naprzeciwko brata.

— Dlaczego się awanturujesz? - spytał niepewnym głosem. - Nie masz prawa przychodzić tu, żeby mnie dręczyć. Ty mnie już nic nie obchodzisz, Roza. Nie mówiłem ci? Czy muszę to powtarzać? Ja już nie mam siostry. Nie mam na to siły. Zmieniasz w piekło swoje życie i moje też byś chciała. Do diabła z tym, dlaczego miałbym cię ochraniać?

Wolno potrzasał głową, ręce spoczywały na kolanach. W skąpym świetle wyglądał jak anioł.

Roza wciąż go kochała. Oboje są przecież dziećmi Samuela. Jego krew płynie w ich żyłach i łączy oboje na dobre i na złe. Są też dziećmi Nanny. Nie ma od tego ucieczki.

— Nie prosłam cię, żebyś się za mnie bił — powiedziała martwym głosem. - I nie chcę, żebyś się do tego mieszał, Ole. To nie twoja sprawa. To nigdy nie była twoje sprawa. To moje życie. Tylko moje.

- Ale nie życzę sobie, żeby się to wszystko działo na moich oczach - powiedział Ole.

- Powinieneś być zostać w Alteidet.

- Mój gospodarz powiedział, że powinienem być chłopem.

- Bo przecież jesteś chłopskim synem - rzekła Roza.

Roześmiał się:

- Ja jestem synem pozbawionego ziemi Fina, Rozo. Co ty mi mówisz o chłopskim synu?

- Ojciec wyszedł z gospodarstwa.

— Ojciec uciekł od ziemi.

Oboje mieli rację.

— Ole, wydałeś wszystko, co zarobiłeś.

Chłopak wzruszył ramionami. Wyciągnął w górę ręce.

Popatrzył na nią po raz pierwszy, odkąd tu przyszła. Starał się śmiechem pokryć zmieszanie.

— Tak źle przecież nie zarabiasz. Masz tu więcej niż w Alteidet.

— Ale wszystko jest takie drogie — bronił się Ole. Na jego głowę padał mdły promyk światła. Złocił jasną czuprynę. Mienił się w tej barakowej norze, cuchnącej, dosłownie proszącej o parę wiader gorącej wody i szczotkę do szorowania.

- Uzgodniliśmy przecież, że poradzimy sobie w naszej sytuacji — mówiła Roza cicho. — Zarabiasz prawie tyle samo, co twój ojciec, kiedy był zdrowy. Z tym, co ja zarobię, zdołamy wyżywić rodzinę.

— Ale co? — Ole najwyraźniej nie rozumiał, o czym siostra mówi. Nie chciał się na tym skupić. Roza czuła, że narasta w niej gniew.

- Ale ty nie dotrzymujesz swojej części umowy, Ole Samuelson! Kiedy dzisiaj poszłam po zakupy, okazało się, że nie mam na nie pokrycia. Musieli mi policzyć z tego, co zarobię dopiero w przyszłym tygodniu.

- To prawda, że wydałem sporo - przyznał Ole, jednak bez poczucia winy. - Ale oddam wszystko przy następnej wypłacie. Wtedy nie zabraknie ani szylinga!

Będiesz mogła nakupić mąki, ile tylko zechcesz! Czy to nie jest dobra umowa? Co najmniej tak samo cłobra jak tamta, którą zawarliśmy przedtem. Na razie nic ci się nie stało, dostałaś swoje zakupy, nie rozumiem, o co się tak ciskasz!

Roza westchnęła:

- Nie pomogę polegać na twoich obietnicach. A muszę! Musisz być dla mnie jak opoka, jak ta miedziana góra. My oboje musimy być jak góry. Nie możemy posłać najmłodszych do kopalni!

12.

- To moja słabość - powiedział Ole z krzywym uśmiechem. Mam taką słabość, że lubię patrzeć, jak się toczą szylingi niczym ptaki, a mniejsze monety jak kółka. Jesteśmy ludźmi, Roza, i wszyscy mamy swoje słabości, i ty, i ja. Twoje słabości są nieco innego rodzaju, jak słyszę. Nie trzeba za nie płacić pieniędzmi...

- Nie powinienesz tyle pić...

A ty nie powinnaś się kłaść przed każdym.

Mój Boże, wyrosli pod jednym dachem, a on mimo wszystko wierzy w to, co mówią inni.

- Jesteś nam potrzebny, Ole. Ty i twoje zarobki.

— Następna wypłata...

- Po niej będzie następna, i jeszcze jedna...

— Ja wiem, że jestem więźniem — powiedział cierpko. - Myślisz, że o tym nie wiem, Roza? Jestem więźniem i pozostanę nim na wieki. Dopóki Anders nie bę. dzie dorosły na tyle, by radzić sobie sam. Dopóki ja będę w stanie coś zarobić. — Westchnął ciężko: — Niczego mi nie darujesz?

- Tego nie.

— A sobie samej?

— Przecież powiedziałeś: moje słabości nie wymagają pieniędzy...

Ole pochylił głowę.

- Czy nie uważasz, moja siostrzo, że mam powody, by czasem wypić kieliszek? Chciałem uprawiać Ziemię, Rozo. Nauczyć się o niej wszystkiego. Powinienem mieć pod stopami porośniętą trawą łąki. To wszystko, czego w życiu pragnąłem, a musiałem skończyć tutaj. Każdego ranka schodzę na dół do piekła. Od tego można zwariować, nie jestem. w stanie tam iść, jak nie wypiję. Nie mogę zejść na dół, jeśli nie wiem, że później będę mógł o tym

zapomnieć. A w inny sposób niezapomnę. Chciałbym mieć na własność kawałek ziemi. Mieć synów, którzy radziliby sobie lepiej niż ja. Nasz ojciec też o tym dla mnie marzył..

Nie wszystkie marzenia można urzeczywistnić rzekła Roza twardo.

Głuchy śmiech zamari w gardle Olego. Przypominał! szloch.

- A o czym on marzył dla ciebie, Rozo?

- Dla mnie nie było marzeń.

Ole potrząsnął głową.

— A ja myślę, że on chciał, byś została z nimi na Zawsze. Bo ciebie najbardziej kochał.

Mama roipieszca Andersa, on jest jej oczkiem w głowie, z nim jest związana najbardziej, ale ty byłaś księżniczką ojca. Rallar-rosa, kwiat w jego obejściu. — Ole umilkł i długo zbierał się na odwagę, by mówić dalej: — Ja myślę, że ojciec marzył chyba o takim życiu dla ciebie, jakie masz. Miałaś na zawsze pozostać jego dzieckiem. Nie był w stanie myśleć, że mogłabyś mieć jakieś własne sprawy. Opuścić go, wyjechać. To dlatego cię poparzył..

- Zamknij się! - Stała rozdygotana pod ścianą i dłońmi zatykała uszy. Odwróciła się od brata i oparła czoło o chłodne drzwi. Teraz, kiedy nie można ich było porządnie zamknąć, były jeszcze chłodniejsze. - Zamknij się, Ole! Zamknij się — wyszeptala na koniec. Płakała. Za nic nie chciała dopuszczać do siebie podobnych myśli. Nie chciała, żeby ktoś inny wypowiadał głośno to, co ona sama dawno pojęła. — Ja też jestem uwięziona. Tak samo jak ty, Ole. Jeśli nie bardziej. Jak myślisz, jakie ja mam życie?

- Może ty też powinnaś czasem wypić kieliszeczek — powiedział z uśmiechem, próbując żartem rozładować dramatyczny nastrój. Trudno było poddać się tej powadze. I niebezpiecznie. Ole nie chciał zbliżać się za bardzo do okrucieństwa życia.

- Nie wszystko można utopić w wódce - powiedziała Roza cicho. — Potrzebuję ciebie - mówiła dalej. Nie patrzyła na niego, ale w jej drżącym głosie była taka intensywność, że Ole zdrzął. - Potrzebuję ciebie. Sama nie dam sobie rady, a później będzie jeszcze gorzej.

Ole wiedział, co Roza chce mu powiedzieć. To wypływało z jego koszmarnych słów. Wiło się niczym jadowity wąż, którego nie chciał dotykać. Nie chciał nato patrzeć. Spodziewam się dziecka.

Rzucił spojrzenie przez ramię. Nie mógł inaczej. Ale siostra nadal oddychała spokojnie.

- Z kim? - spytał.

- To tylko moja sprawa!

- Czy ojców jest wielu? - spytał gniewnie. - Nawet nie wiesz, który to konkretnie.

Wtedy Roza odwróciła się do niego. I Ole stwierdził, że równie dobrze mógłby ją uderzyć. Nigdy jeszcze nie widział jej takiej urażonej. Ale przecież nie mógł milczeć, słowa płynęły same. Paskudne i okrutne, wyrzucal z siebie to, czego nie chciał dźwigać. I czego nie chciał też zrzucić na nią. Musiał się z tym rozprawić.

- Czy było więcej, nie tylko on? - spytał Ole jeszcze raz cienkim głosem i wskazał na pryczę. Sciągnął szary koc z uśpionego ciała.

Roza poznała złote loki i szerokie plecy leżącego. Wydało jej się nierozumne, że od razu się nie domyśliła, iż to Jens. Ze nie wyczuła jego obecności.

— Czy było więcej niż on, moja siostrze? - syknął Ole i szarpnął Jensa za włosy.

Tamten jęknął z bólu i gniewu. Był niemal tak samo pijany jak brat Rozy. Mrużył w półmroku oczy. Bełkotał coś, ale nie było w tym sensu.

— Było więcej niż Jens?

- Co on tu robi? - spytała szeptem.

- Nie miałem już żadnego powodu, żeby go zatłuc - powiedział Ole. — Już nie jestem w stanie ciebie bronić, Rozo. Dlaczego ja i Jens mamy być nieprzyjaciółmi? — Puścił włosy Jensa, a tamten opadł z jękiem na posłanie, ale siennik był taki cienki, że uderzył głową o deski i obudził się. Był oszołomiony.

- A teraz to chyba będzie, e bardzo dobrze, jeśli zostaniemy przyjaciółmi — ciągnął dalej Ole. — Teraz, kiedy moja siostra ma urodzić jego dziecko... - Ole umilkł, zanim zapytał Rozę: - Czy nie mogłaś oszczędzić tego mamie? — O ojcu nie wspomniał, ale wiedział równie dobrze jak Roza, że najtrudniej będzie opowiedzieć o tym Wielkiemu Samuelowi.

Wzrok Rozy omijał brata, kierując się ku na pół obudzonej postaci leżącej na prycy, która z trudem usiłowała wstać. Nie była w stanie na to patrzeć. Pospiesznie wymknęła się na dwór. Biegła.

Kiedy Ole wyjrzał przez drzwi, zobaczył tylko skraj jej spódnicy, znikający za barakami. Wydawało mu się, że pobiegła do Tomasa. Pomyślał coś bardzo brzydkiego, ale szybko odepchnął to od siebie. Naprawdę nie wierzył, że między Tomaszem i Rozą coś jest. Na swój osobliwy sposób Roza była wierna. Wrócił do Jensa.

— Co się tu, do cholery, dzieje? - bełkotał tamten. Z czego ty się śmiejesz? Masz coś do picia? Rozmawiałeś z kimś? Zdawało mi się, że ktoś tu był...Ole rzeczywiście się śmiał, bo znalazł nie do końca

opróżnioną butelkę. Wyrwał korek i pociągnął solidny łyk. Potem jeszcze jeden. Kiedy nareszcie otarł szyjkę i podał gościowi butelkę, zachichotał ze słowami:

- SkM, Jens!

Tamten wypił.

- SkM - powtórzył jak echo. - Ale za co pijemy?

- Za przyjaźń i pokrewieństwo - odparł Ole. Pociągnął kolejny łyk i dodał: - Za naszą przyjaźń i pokrewieństwo.

— Nie jesteśmy przyjaciółmi — warknął Jens. — Krewnymi też nie.

I wtedy z gardła Olego wydostał się znowu ten ohydny śmiech. Śmiech, który sprawił, że Jens zaczął się zastanawiać, czy Ole jest przy zdrowych zmysłach. Ole jest bratem Rozy, może oni wszyscy mają coś z głowami...

— Mało wiesz, Jensie Haldorsen — powiedział Ole serdeczniejszym głosem. — Bóg raczy wiedzieć, jak nazywają takie pokrewieństwo jak nasze. Ale ono jest. I za nie piję! Nie jesteśmy przyjaciółmi, Jens. I możemy za to wypić. Ale będę wujkiem twojego dziecka! I to jest dopiero pokrewieństwo, które trzeba oblać!

- Do jasnej cholery! - syknął Jens i oprzytomniał. Miał mocną głowę, trzeźwiał dużo szybciej niż inni. - Łżesz! Przyznaj się, człowieku, że łżesz! Robisz sobie ze mnie kpiny? — krzyczał, ale nie rzucił się na Olego z pięściami. Nie dotknął go nawet. Jego gniew nie dotarł jeszcze do rąk. — Do jasnej cholery! — kłął raz po raz. - To ona jest w ciąży?

- Tak mówi.

To nie mój dzieciak! Skąd, do jasnej cholery, ona może wiedzieć, że jest mój?

Ole poczuł chłód. Gdyby Jens nie był od niego silniejszy, rzuciłby się do bójki. A gdyby w butelce nie było jeszcze tyle wódki, posłużyłby się nią.

- Nie znam nikogo innego, kogo można by podejrzewać. A ty znasz?

— Gdzie ona jest?

Ole nie chciał pomagać Jensowi.

- Poszła do domu?

Ole milczał.

Nie widziała, że tutaj jestem — powiedział Jens. — Nie poszłaby do domu, gdyby mnie widziała. Ja nie „ chcę tego bachora! Słyszysz, Ole, ja nie chcę tego bachora! To nie mój dzieciak, a ona niech mówi, co chce! Przede mną miała innych. Wiedziałaś o tym, nie? Ta twoja szpetna siostra miała już niejednego, zanim ja latem przewróciłem ją we wrzosach...

Ole słuchał go i nie miał siły, a nawet nie chciał protestować.

— Poszła do Lapończyka, no nie? - Jens zrobił krok ku drzwiom. Gdyby Ole nie wiedział, jak jest naprawdę, mógłby pomyśleć, że Jens jest zazdrosny o Tomasa.

- SkM! - zawołał za znikającym Jensem. Uniósł butelkę i pił. Za pokrewieństwo, jeśli już nie za przyjaźń.

Tomas nie pyta, dlaczego przyszedł. Nie mówi nic o tym, co musi widzieć w moim wzroku. Po prostu przyjmuje wszystko. Wygląda wełniany koc na pryczy i prosi, żebym usiadła. On sam stoi. U niego okno jest odsłonięte. Widać w nim kawałek nieba, jak obrazek w małej ramce.

- Czy ty kiedyś po prostu się poddałeś? — pytam. - Czy kiedykolwiek myślałeś, że tak będzie ci łatwiej?

- Często - odpowiada z uśmiechem. Różnimy się od siebie, Tomas i ja. Ale on mnie uznaje. Tak, że mogę go lubić. Tak, że wiem, że jego drzwi otworzą się przede mną. Zastanawiam się, ile on może mieć lat. Bo czasami bywa aż za mądry. Lubię jego spokój. Chciałabym też taka być. A ja wciąż żyję w zamieszaniu.

- Ty nie należysz do takich, którzy rezygnują, Rozo - mówi Tomas, jakby znał mnie lepiej niż ja sama siebie. Pojęcia nie mam, skąd on bierze ten spokój. Jego krew jest mi obca, ale traktuję go jak brata.

Nikt nie pukał, ale drzwi się otworzyły z trzaskiem.

- zimne powietrze wpada do izby. Tomas robi krok w moją stronę, ale nie zdążył stanąć między mną i Jensem. Ten chwije się na nogach, a jednak przyszedł tu za mną. I to ze mnie nie spuszcza wzroku. Kącikiem oczu widzę, że Tomas się cofa. Jens nie mówi nic, ale podchodzi bardzo blisko mnie. Kładzie mi dłoń na ramieniu. Ma takie wielkie ręce. Nie wysila się, kiedy mnie do siebie przyciąga, przyciska do piersi.

- Co ty tu robisz? - pyta. - Z nim też się zadajesz? Ponad moim ramieniem patrzy na Tomasa. Może myśli to, co mnie nawet przez myśl nie przeszło. Jego usta to mówią. Wiem, że Tomas nawet nie śnił o niczym podobnym. Czyżby Jens był zazdrosny?

- Pójdiesz ze mną! - mówi.

Jest wystarczająco silny, by mnie za sobą pociągnąć. Ma ramiona mocne na tyle, by móc robić, co zechce. A ja nie życzę sobie, żeby myślał, iż to moja wola łamie jego. Więc mu się nie opieram. Jego ręce puszczaają mnie. Odwraca się ode mnie. Stawia duże kroki, kiedy wychodzi z baraku Tomasa. Jego plecy są szerokie. Biodra ma wąskie. Jest urodziwy, ma miękkie ruchy. Nie patrzy na mnie. Na Tomasa też nie. Jens nie powiedział do Tomasa ani jednego słowa. Chcę go wytłumaczyć, ale nie ma na to czasu. Nie mogę spuścić wzroku z Jensa. Nie chcę. Idę jego śladem. Jestem jak suchy liść na jesiennym wietrze.

Moja tęsknota nie ma nic wspólnego z rozsądkiem. Miłość to nie jest rozsądek. Kocham go. Kiedy na niego patrzę, to mam takie oczy jak mama, kiedy patrzy na ojca. Gdyby Jens leżał w łóżku jako kaleka, to ja bym też przy nim siedziała, żeby nie wiem jak głośno krzyczał, że nie chce na mnie patrzeć.

Muszę podbiegać, żeby za nim nadążyć. Jest chłodno i pogodnie, na niebie ani jednej chmurki. Księżyc nie ma się gdzie schować, kiedy przepływa nad Storgruya. Ja jednak nie marznę. Idę za Jensem i nie marznę. Zatrzymujemy się nad Strommen. On przede mną. Słyszę szum wody. Jest zbyt ciemno, żeby coś widzieć. I chłodno. Jesteśmy tu razem, Jens i ja. Różni chłopcy chętnie łowią tu ryby. Podchodzę bliżej do Jensa, choć nie prosił, żebym to zrobiła. Dobrze jest być tak blisko, że czuję ciepło jego ciała. Jens ma w sobie siłę, która z niego promieniuje. I lubię, kiedy on, taki silny, mnie dotyka. Bardzo to lubię.

- Po co poszłaś do Lapończyka? - Czy on jest za zdrosny? Jego słowa budzą we mnie odrobinę radości. Ale jednak nie bardzo w to wierzę. Tak tylko pozwałam, by taka myśl mnie musnęła. Jak opuszki palców...

- Odpowiadaj! - mówi ochryplym głosem. Jakoś dziwnie wymawia słowa. Jest tutaj już dwa lata, a wciąż nie mówi tak jak my. Słowa jakby uciekają mu z ust. Lubię to, że on nie jest taki sam jak inni.

Jego ręce odnajdują moje ramiona. Palce są twarde jak kamienie, wciska je bardzo mocno.

- Chciałam porozmawiać - mówię. - Lubię z nim rozmawiać.
- Tak? - Jens puszcza mnie. Potykam się. - Więc lubisz rozmawiać z tym Lapończykiem?
- On ma imię - mówię twardo. Nie wiem, dlaczego mój głos się łamie, kiedy jestem z Jensem.
— On ma na imię Tomas...

- I do czego jeszcze jest taki dobry ten twój Lapończyk? Lapończyk Tomas? - Czuję zapach jego oddechu. Pił z moim bratem przez całe popołudnie aż do późnego wieczora. Ale mnie to nie przeszkadza.... - Co jeszcze z nim robisz, Roza?
- Nic - mówię.

Łapie mnie w pasie. Rzadko trzyma mnie tak, że mogę go widzieć. A tak strasznie to lubię, lubię móc patrzeć w jego twarz, widzieć, jaki jest piękny. Teraz trzyma mnie naprawdę. Tak trzymałby chyba kogoś, kogo kocha. Jeśli to jest wszystko, co mogę mieć, to chcę tego. Jego usta są zawsze twarde. Nie całowałam nigdy nikogo, kto by się mną przejmował, ale próbowałam już czulszych warg niż jego. Mimo to nie chcę innych pocałunków. Wkładam kciuki pod pasek Jensa na plecach. Prawie nie oddycham. Czuję wiatr pod stopami. Płynę w powietrzu. Jego wargi całują mnie gwałtownie. Nie mogę zamknąć oczu, muszę na niego patrzeć. Muszę widzieć jego długie, jasne rzęsy, kładące się na policzkach. U nikogo takich nie widziałam, ciemne w środku, złociste po bokach, mienia się w blasku księżyca. Księżyc bawi się jego rzęsami. Rozumiem go, ja też mam ochotę dotykać ich palcami, pieścić je tak delikatnie i leciutko, żeby on nawet tego nie zauważył. Bo on nie pozwala mi dotykać się w ten sposób.

- Więc to nie lapońskiego bękarta nosisz w brzuchu? - Szydź ze mnie: - To nie będzie mały Lapończyk, Rozo?

Kreśli ręką kręgi po moim brzuchu. Jens ma duże ręce. Czuję przez ubranie ciepło jego dłoni. Rysuje pięknie bez ołówka.

A więc Ole mu powiedział...

Chciałabym wiedzieć, jakich słów mój brat używał. Rozbił Jensowi nos. A potem z nim pił. I powiedział mu o tym.

- I kiedy to ma się urodzić to dziecko? Skąd mam wiedzieć? Liczyłam i liczyłam, aż dostawałam od tego mdłości. Liczyłam na palcach tygodnie. Na miesiące palców nie potrzeba. Mam je w myśli. Ale nie wiem dokładnie, kiedy to się stało, więc nie mogę mu niczego wyliczyć. Pamiętam wszystkie te momenty, kiedy byliśmy razem. Ale kiedy dziecko zostało poczęte?

- Zimą - odpowiadam.

- Taki dokładny to i jak bym mógł być, Roza...

— Nie jestem pewna...

Duża dłoń kładzie się na moim karku. Ciągnie mnie za włosy i muszę unieść głowę. Wysoko nad sobą widzę jasne, bardzo jasne oczy, które należą do niego.

— Ale jesteś pewna, że dziecko jest moje? Nie mogę skinać głowę. Jego uśmiech powstrzymuje mnie przed odpowiedzią. Jakby mi zabrakło głosu, żeby się przeciwstawić jego podejrzeniom. Jens odpycha mnie gwałtownie. Kiedy jestem z nim, nigdy nie wiem, co się za chwilę stanie. On mnie ożywia, ale odbiera mi panowanie nad sobą. Przy nim nigdy o niczym nie decyduję.

- Do jasnej cholery! - mówi z tym lekkim skrzywieniem warg. - Teraz przynajmniej nie ma powodu, żeby uważać, no nie, Roza? Więcej dzieci od tego nie będzie...

Tym razem całuje mnie delikatniej. Pewnie dlatego, że jest pijany. Zapomina się i jest prawie czuły. Ale do- tyka mnie z zamkniętymi oczyma. Jak zawsze te opuszczone rzęsy...

Nic nie wie o moich myślach. Nie wie, jak bym go mogła skłonić, żeby mnie kochał, a nie tylko brał. Nie wie, jak mogę się do niego uśmiechać, jak potrafię wyginać ciało ku niemu, bo nie robi nic, żeby mnie też było dobrze. W moich myślach wszystko odbywa się zawsze inaczej niż to, co zna Jens.

Twarde ręce podciągają mi spódnicę. Zwija się ona jak tobołek między nami i czuję, jak jest zimno. Zrobiła się już noc, ale myślę, że nikt nigdzie na mnie nieczeka.

Jens nigdy przy mnie nie odpoczywa. Zwykle wstaje, zanim ciepło zdąży opuścić moje członki. Tym razem zostaje. Zapiął spodnie i zaciągnął pas, ale mnie nie pozwolił uporządkować ubrania. Bez słowa jeszcze mocniej podciąga moją spódnicę. Obnaża mój brzuch dla swoich dłoni i spojrzeń. Dłonie obejmują mały wzgórek, który ja sama ledwie rozpoznaję. Chociaż często wyczuwam coś twardego i obcego w swoim ciele, ale on ręką przyłożoną do skóry na brzuchu wyczuć tego z pewnością nie potrafi. Może sobie co najwyżej wyobrazić.

- Dziecko - mówi cicho. Dłonie przesuwają się po mojej skórze, a ja mogę sobie pomarzyć, że są to dłonie ożywiane miłością, a nie tylko poszukujące. — Jeszcze żadna nie przyszła do mnie z wiadomością, że urodzi moje dziecko — mówi. — Jesteś pierwsza, Roza...

Ta kula w brzuchu staje się ważna. Leżę z szeroko otwartymi oczyma i widzę nad sobą Jensa. Równocześnie dostrzegam, że to dziecko, które w sobie noszę, jest prawdziwe, rzeczywiste. Równie rzeczywiste jak Jens. Wiem, że to będzie piękne dziecko.

Ja urodziłam się piękna, a Jens jest najładniejszym mężczyzną, jakiego znam. Nie może być brzydki ktoś, kto został poczęty ze mnie i Jensa. To będzie śliczne dziecko i będę je kochać ponad wszystko na świecie. Być może nie zdołam przekonać Jensa, by je uznał, ale noszę jego dziecko. Nasze dziecko.

- Nie możesz mi tego dziecka wmówić, Roza...

Nie wypuszcza mnie. Wciąż na wpół na mnie leży i przyciska mnie swoim ciężarem do Ziemi.

Szczerze mówiąc, nie liczyłam na to, że on się ucieszy.

- Nie zamierzałam ci o tym mówić - wyznaję. - Nikomu tego nie powiedziałam. Tylko Olemu. I nikomu nie mówiłam, że to twoje... dziecko..

Nigdy nie miałam zamiaru nikomu powiedzieć, że to Jens jest ojcem.

— Nie zamierzałaś mi o tym mówić?

— Nie. - Dygocę w tę czarnoniebieską noc. Słyszę wodę w Strmmen, słyszę wiatr i oddech Jensa. Wszystko to w mojej głowie łączy się niczym sztorm. Krew pulsuje mi w skroniach.

- Bo tak naprawdę to nie jest moje dziecko, Roza?

Kocham go. Po nim nie pokocham nikogo innego.

- W Kopalni nazywają cię Rallar-Roza. Roza dla wszystkich. Zastanów się teraz, czy nie byłoby lepiej, żeby ojciec twojego dziecka pozostał... nieznanym?

— Ale ono jest twoje, Jens.

— Moje dziecko — słyszę charczenie. Jens się śmieje. Wbija zarośniętą brodę w mój brzuch. Całując mnie w pępek. Jego wargi są też szorstkie. Popękane. Ale oddech gorący, łaskocze mnie w zmarzniętą skórę. — Więc to jednak moje...?

Powiedziałam wyraźnie. Jens to słyszał. W głębi serca zna prawdę. Musi wiedzieć, że ja nie kłamię.

- Nigdy nie przyznam się do ojcostwa!

- Nie szkodzi — mówię i próbuję wstać.

W marzeniach to on podaje mi dłoń, ale rozsądek mi pocipowiada, że w rzeczywistości nigdy tego nie robi. Bo to jest gest, który musi wynikać z czułości. Otrzepuję spódnicę. Pada na mnie jego cień. Wciąż słyszę Strmmen. Ma w sobie specjalny ton. Czuję ciepło dłoni Jerisa na moim lewym policzku i nigdy nie zapomnę jego bliskości i tego dotknięcia, najbardziej pieszczotliwego, jakiego od niego doznałam.

Jens cofa rękę. Nadal czuć od niego wódkę, kiedy otwiera usta.

Ty pewnie myślałaś, że tym sposobem zmusisz mnie, żebym się z tobą ożenił? Mogłabyś być jedyną babą w okręgu, a i tak nigdy bym sobie ciebie nie wziął za żonę. On gada o

pokrewieństwie, ten twój brat. Możecie o tym zapomnieć, oboje! Możesz sobie zafundować tyle dzieci, ile tylko zechcesz, Roza, ale żadne z nich nie będzie moje.

Łapie ninie, trzymaj mocno. Widzę, jak jego twarz zastyga w gniewie. Jest piękny, chociaż wściekłość wykrzywia mu rysy. Jest pijany, ale wie, co mówi. W ułamku sekundy widzę jego zaciśniętą dłoń. Słyszę ją. Czuję. Jego zaciśniętą pięść. Potwornie mocne uderzenie, które trafia mnie w brzuch. Tuż pod pępkiem. Trafia tam, gdzie czuję ten maleńki kłębek, który jest... życiem...

Jens uderza i uderza. I uderza.

Ja leżę i osłaniam rękami to nowe życie, które kielkuje we mnie. Podciągam w górę kolana i chronię to maleńkie, miękkie i ciepłe, które powstało z mego i ze mnie. Jens kopie.

Rozdział VI

W nocy pogoda się zepsuła. Chmury przyniosły deszcz. Mgła leżała nad wąskim Kafjorden niczym pokrywa garnka. Trawa na brzegach była mokra. i, Hans nie wiedział, dlaczego ją kryje. Kiedy ojciec zawołał go do siebie, a on stał przy łóżku i starał się nie widzieć, jak ciało ojca kończy się nagle pod kołdrą, kłamał Wielkiemu Samuelowi w żywe oczy, nawet nie mrugnął. Po raz pierwszy zdarzyło mu się kłamać ojcu. To nie było dobre uczucie.

- Roza już wyszła - zapewniał. - Spała w kuchni.

— Musiała późno wrócić?

— Jest dorosła - burknął Hans.

Ojciec wymamrotał w odpowiedzi coś, czego Hans już nie słyszał.

Drzwi wejściowe stały przez całą noc niezamknięte na skobel, ale na długiej ławie w kuchni nikt nie spał.

Mężczyźni szli z norweskiej części osiedla. Było ich rizech, żaden nie miał żony, a wszyscy jeździli już wielew poszukiwaniu roboty. Tłukli kamienie na drogach z wyrąbywali korytarze w kopalni nad Kafjorden. Ranek był jeszcze wczesny, ale oni lubili tę porę. Taka jasna pogoda była dobra tu, na północy. Ktoś, kto całymi dniami wdycha opary siarki, potrafi docenić poranną rosę. Tych chwil nie można porównać z niczym innym.

- Cziowiek powinien mieć czasem trochę czasu, żeby postać na d Strmmen i połowić ryby - powiedział Aron. Przybył tu wprawdzie z głębi ładu, ale widok wody działał na niego łągocąco.

- Powinieneś być dyrektorem - rzeki Paul. Wtedy miałbyś czas na wszystko.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Najmłodszy z nich, Peder, zbiegł na dół i szedł brzegiem Strmmen. Ręce miał pełne małych kamyków. Młode ciało bolało jeszcze po wczorajszym dniu spędzonym w kopalni, a tu trzeba wracać do sztolni. To była taka chłopięca rozrywka: ciskanie kamieniami daleko nad wodą w drodze cło kopalni.

Leżała na granicy kamieni odsłoniętych przez odpływ. Peder wypuścił kamienie z rąk i popędził naprzód, zostawiając za sobą kolegów. Nic nie powiedział, ale przecież wszyscy mają oczy w głowie. Peder przyłożył koniuszki palców do cienkiej skóry na szyi. Musiał wstrzymać oddech, ale nawet wówczas nie był całkiem pewien, czy wyczuwa jakiś ruch pod opuszkami.

- O cholera! — wyrwało mu się i ukląki przy leżącej. Dwaj pozostali zacisnęli pięści tyle w gniewie, co w bezsilności.

-Żyje?

— Nie wiem.

Peder okrył jej nagie piersi chustką leżącą obok na ziemi. Ściągnął w dół spódnicę, okrywając sine uda. Dziewczyna leżała skulona, jakby ramionami chciała osłonić kolana, ale jej się nie udało. Przypominała płód.

— Kto, do jasnej cholery, zrobił coś takiego? — zastanawiał się Peder.

— Powinna się jak najprędzej znaleźć w ciepłe, pod dachem.

Peder wziął nieprzytomną na ręce i zdziwił się, że taka jest lekka. Ale ciało miała całkiem zeszywniałe.

— i gdzie ją zanieziesz?

- Do The House. Do jadalni. Gdziekolwiek. Powinna się znaleźć w ciepłe.

- Nie możesz jej zanieść do dyrektora!

— A gdzie mieszka jej brat? — spytał Peder.

Wiele oczu ich widziało, zanim Peder kopniakiem otworzył drzwi w baraku Olego i złożył swój ciężar na podłodze. Ole spał na pryczy. Na podłodze pod oknem, na owczej skórze za małej jak na- dorosłego mężczyznę, leżał Jens okryty jedynie kurtką. Obaj się obudzili i stwierdzili, że pokój pełen jest ludzi.

— Roza? — Ole zataczał się, podchodząc do Pedera. — Coś ty zrobił mojej siostrze?

Peder odsunął go ramieniem i złożył Rozę na wciąż ciepłym posłaniu na pryczy. Najpierw dokładnie otulił dziewczynę wełnianym kocem, po czym zwrócił się do Olego Samuelsona.

- Znaleźliśmy ją w tym stanie - powiedział lodowatym tonem. Odwrócił wzrok od Olego, który przecie. rai oczy, zbyt jeszcze pijany, żeby zbierać się do pracy

w kopalni, i patrzył na Jensa, który z trudem podniósł się i oparł o cianę. Peder patrzył na ręce Jensa. Wielkie, ciemne ręce, które nie trudziły się w kopalni. Jens mógł być rolnikiem, ale on wolał pić, niż uprawiać ziemię i zajmować się rodziną. Jens beztrudno żeglował przez życie.

Aron opowiadał, co wiedzą. Ole zbladł i spytał Jensa:

- Ty przecież poszedłeś za nią? - Wszystko było takie zamazane, że Ole nie mógł sobie przypomnieć nic pewnego, ale zdawało mu się, że Jens wieczorem wyszedł za Rozą. - Przecież ona tu była.

13.

- Znalazłem ją u Lapończyka - uciął Jens. - Potem poszła do domu. Nie chciała ze mną rozmawiać, uciekła.

- No tak, ciebie nie było tylko chwilę - przyznał Ole ochryple. Wieczorem zasnął, a kiedy się ocknął, Jens już był z nową butelką. Pili długo w noc, Ole niewiele zapamiętał.

- Ona nie może tu zostać - powiedział.

— To gdzie mieliśmy ją zanieść, jeśli nie tutaj? — spytał Aron. — Czy ty, Ole, nie jesteś jej najbliższym krewnym? Przecież to twoja siostra!

- Do domu... - Ole zastanowił się. - Do domu zanieść jej nie można. Ojciec by się wściekł, a mama nigdy w życiu sobie z tym nie poradzi...

Sprowadźcie Liisę - zaproponował Jens. — Liisa jest rozsądna. Kobiety znają się na takich sprawach...

- Może ty byś po nią poszedł - rzekł Peder dziwnie

- Ja?

Peder potwierdził.

- Tu nie ma z ciebie żadnego pożytku, więc chyba możesz iść. Poza tym kopalnia na ciebie nie czeka.

Jens zaklął, ale poszedł. Ole człapał boso po podłogę, w końcu usiadł koło pryczy. Nie odważył się jednak dotknąć siostry. Twarz miała zmasakrowaną, z rozciętej skóry na skroni sączyła się krew, krwawił też oparzony policzek. Wargi opuchnięte, popękane.

Szyja była sinoczerwona. Pochylił głowę.

— Kto mógł zrobić coś takiego? - zastanawiał się na pół z płaczem.

Potem głęboko wciągnął powietrze, ale w tym zaduchu i oparach wódki było to bardzo nieprzyjemne.

- A pod ubraniem jest jeszcze gorzej — powiedział Peder. - Widzieliśmy to. On ją nie tylko bił, ale i kopał.

- Kto? - spytał Ole, ale nie miał kto mu odpowiedzieć. Odgarnął włosy z czoła siostry i zadrżał, bo skóra Rozy była zimna i lepka jak u trupa. - Czy ona żyje? Oddycha?

Peder ponownie starał się odszukać puls. Znalazł go w końcu za uchem dziewczyny. Był ledwo wyczuwalny, ale był.

- W Roros, jeżeli ktoś przemarzi, to robiliśmy mu ciepłą kąpiel - powiedział Aron. - Tam u nas bywa cholernie zimno - tłumaczył.

- Przynieście wody! zarządził Ole. - Ktoś tu przecież powinien mieć wannę.

Peder znalazł wszystko, co potrzeba, w pralni. Pożyczył też wiadra. Kopalnia zaczynała się budzić do życia. Kiedy wrócił, w baraku była już Liisa. Inni mężczyźni poszli do pracy. Po Jensie nie zostało ani śladu.

Ole też wolałby iść do roboty, ale musiał zostać z Liisą. Przygotowali kąpiel i pozostawili w niej Rozę, dopóki woda nie zaczęła stygnąć. Ale też wtedy stwierdzili, że oddycha bardziej regularnie. Ole trzymał nieprzytomną siostrę, a Liisa wycierała okaleczone ciało. Nie był w stanie na to patrzeć. Podtrzymywał ją, ale oczu nie otwierał. Pojęcia nie miał, jak opowie to ojcu. Liisa opatulila Rozę wełnianym kocem Olego i zniknęła. Był przekonany, że poszła na dobre, ale chociaż nie było jej dosyć długo, dziewczyna jednak wróciła. Okazało się, że poszła do domu i przyniosła więcej okryć.

- Powiedziała, że żadna nie przyjdzie do kuchni - mówiła wolno, kalecząc język. — Samuel jest Finem, no nie? — spytała.

Ole skinął głową.

- Ale ty po fińsku nie mówisz? Roza też nie?

- Ojciec chce być prawdziwym Norwegiem - wyjaśnił z wolna. — Nie miał pewności, czy Liisa zrozumie, jeśli pozwoli słowom płynąć swobodnie. - Zawsze chciał, żebyśmy też byli Norwegami, nigdy z nami po fińsku nie rozmawiał.

Liisa uśmiechała się, ciekawe, co ona sobie o nas myśli, zastanawiał się Ole.

- Ona powinna do... doktora - rzekła Liisa.

Ole też tak uważał, ale miał wciąż w piersiach bolesny kłęb, który nie pozwalał mu sprowadzać tutaj innych ludzi. Babciu, myślał rozpaczliwie. Babciu, jestem pewien, że ty wiesz o wszystkim! Mam nadzieję, że coś zrobisz!

Dzień włókł się powoli. Ole i Liisa nie bardzo mieli o czym rozmawiać, poza tym jej brakowało słów.

I chyba nie wypadało rozmawiać o codziennych sprawach, kiedy Roza leży tu jak martwa i nikt nie wie, co

z nią będzie. Do wieczora nikt do nich zajrzał, ale zmroku przyszedł Peder, a zaraz po nim Tomas.

Peder zakłopotany, ale myślał o niej przez cały dzień, kiedy mocował się z rudą, i chciał wiedzieć, co z nią.

- Zyje - powiedział mu Ole, który czuł się okropnie, ale nie było już ani kropli wódki. Zresztą Ole nie chciał więcej pić. Żołądek mu się wywracał na samą myśl o jedzeniu czy picciu. - Od czasu do czasu nawet coś mówi — dodał, chociaż to już nie była sprawa Pedera. Nie sądził, żeby Roza w ogóle kiedykolwiek widziała Pedera. - Tylko że nie możemy się w tym doszukać żadnego sensu - zakończył.

Tomas był zły. Twarz miał szarą od kopalnianego pyłu, ręce również, górnicza kurtka była sztywna od kurzu i potu. Podszedł prosto do pryczy i przyglądał się leżącej. Potem podniósł okrycie. Nikt nie przeszkadzał mu w oglądaniu jej zmasakrowanego ciała. Kiedy ją ponownie okrywał, w jego ruchach była czułość. Opatulał Rozę tak, jak się okrywa dziecko.

- Zabiję Jensa za to, co zrobił — powiedział z powagą i tak głośno, że wszyscy słyszeli Peder przypomniał sobie Jensa, który spał rozluźniony i niewinny jak niemowlę, kiedy tu rano przyszli.

- Co ty wygadujesz? - zawołał Ole. - Jens był przez całą noc tutaj! Piliśmy razem...

Tomas drżącą ręką wskazał na Rozę.

- Ona przysłała do mnie. A Jens zaraz za nią. Był wściekły. Na mnie nawet nie patrzył. I ona poszła za

nim jak pies. — Tomas klął i zaciskał pięści. — Poderżnę mu gardło - zarzekł się zrozpaczony.

Liisa przyglądała im się w milczeniu z na wpół otwartymi ustami. To przecież Jens ją tutaj sprowadził.

— Jens, jak sobie wypije, traci rozum — rzekł Peder.

To prawda, którą wszyscy nad brzegiem Strntmen znali. Rozsądni ludzie nie uważali go za odpowiednie towarzystwo dla swoich synów i córek.

— Ale to dziewczyna! — zawołała Liisa.

Peder nie uważał, że dla Jensa istnieje jakaś różnica. Jeśli tylko jest wystarczająco wściekły...

- Ale on nie wychodził na tak długo, by zdążyć coś takiego zrobić — upierał się Ole udręczony.

Tomas milczał. Peder zastanawiał się, ile Ole wypił tej nocy. I jak bardzo pijany był wieczorem. Ale nie

zapytał. Musiał sobie sam wszystko przemyśleć. Peder nie pojmował, jak Ole może się przyjaźnić z Jensem.

Przecież wszyscy gadają o Jensie i Rozie.

- Ona pewno wie - powiedziała Liisa. -. Roza wie... -

Patrzyła na zebranych po kolei, jakby szukając wsparcia. Tomas oddychał przez nos. Nie spuszczał oczu z Rozy.

- W takim razie musimy poczekać, co nam powie - stwierdził. — Ale jeżeli to był Jens, jeżeli ona to potwierdzi, to Jens nie doczeka starości. Zabiję go.

Ole domyślał się, że Tomas żywi ciepłe uczucia dla Kozy, i zdał sobie sprawę, że najlepsze, co może zrobić, to zadbać, by Tomas nie zaczął szukać Jensa.

- Muszę iść do domu - oznajmił. - Ktoś powinien wszystkim powiedzieć ojcu.

— To ja tu posiedzę - obiecał Tomas i usiadł pod ścianą koło pryczy. Objął ramionami podciągnięte w górę kolana. Kiedy Roza otworzy oczy, zaraz go zobaczy. Jeśli otworzy... Ole starał się ukryć ulgę. Popatrzył na Liisę. Zdał sobie sprawę, że spędziła tu cały dzień i ani razu się nie poskarżyła. A przecież nie była przyjaciółką Rozy. Obje pracowały w kuchni, ale Roza nie należy do dziewczyn, które mają przyjaciółki. Kiedy była dzieckiem, śmiała się najgłośniej, biegała najszybciej, robiła wszystko to, na co innym dziewczynkom nad fiordem nie pozwalano. I wtedy, o tak, wtedy wszyscy chcieli się z nią bawić. Ale to się skończyło cztery lata temu. Od tamtej pory Roza nie miała przyjaciół.

- Pewnie powinnaś już odpocząć, Liisa - powiedział Ole z uśmiechem. - Tomas tu będzie, gdyby się obudziła. Pójdę do domu przynieść jej jakieś ubrania i więcej okryć, żebyś sobie mogła odebrać swoje...

- Możesz je zatrzymać, dopóki będą potrzebne.

- Nie wiemy, kto zrobił to Kozie - mówił dalej. - Mógł to być ktoś, kto po prostu napada na dziewczyny, może to nie o nią konkretnie chodziło i każdej mogło się przytrafić. A w takim razie niedobrze, żebyś chodziła sama.

Liisa zbladła, bo akurat o tym nie pomyślała. Ole

widział jednak, że Peder podziela jego obawy. Peder stał nadal pod ścianą i wyglądał na zadowolonego.

— Ja też tu jeszcze jakiś czas zostanę — powiedział. — Co prawda nie znam Rozy, ale to ja ją znalazłem. Chciałbym wiedzieć, co z nią dalej będzie...

Ole niewiele o nim wiedział, ale chyba go polubił za wszystko, co robi.

Chłopcy już słyszeli, co się stało. Zorientował się, zanim Jeszcze doszedł do domu Dzieci wciąż bawiły się na dworze, ale było bardzo cicho.

— Czy ona żyje? — spytał Hans. Reszta milczała. Pięć par brązowych oczu wpatrywało się w Olego.

Skinął głową, a chłopcy odetchnęli z ulgą. Nawet mały Anders westchnął.

- Kto wam o tym powiedział?

- W ochronce.

Oczywiście, koledzy Nad fiordem nie ma żadnych tajemnic.

- A co wam powiedzieli?

- Że ktoś próbował zabić Rozę - zaczął Nikolai z wahaniem. — Ktoś ją bardzo pobił i zostawił na brzegu, żeby umarła z zimna.

- Tak było - potwierdził Ole. - Ktoś ją pobił i skopał. Zostawił nieprzytomną nad Strommen, leżała tam całą noc. Znaleźli ją pierwsi górnicy, którzy rano szli do kopalni. I przynieśli do mnie. Wyglądała strasznie, ale jakoś nam się udało ją rozgrzać. Nie wiem, co więcej moglibyśmy zrobić. Roza oddycha, ale cały czas śpi...

— Kto to zrobił? - spytał Hans z mroczną twarzą. Łagodne policzki drżały, a ciemna grzywka opadła na czoło. Dłoń trzynastolatka zacisnęła się na rękojeści noża.

- Tego nie wiemy - westchnął Ole.

14.

Znacznie trudniej było opowiedzieć o całej sprawie ojcu. Ole nawet nie pomyślał, że należałoby też powiedzieć matce, bo Nanna zlewała się w jedno z otoczeniem. Ale choć Wielki Samuel leżał w łóżku, a jego nogi kończyły się nad kolanami, to nadal wznosił się nad synami niczym góra.

- Ach, tak - powiedział Samuel, kiedy Ole skończył. Podczas opowieści jego twarz nawet nie drgnęła. Nanna szlochała gdzieś w kącie, Ole jednak nawet na nią nie spojrział. - Ach, tak, Roza była sama w Kopalni wczoraj wieczorem. To, że przyszła do ciebie, to jedna sprawa, Ole. Ale dlaczego jej nie odprowadziłeś, kiedy wracała do domu?

- Ona nie szła prosto do domu - wyjaśnił Ole, który wciąż bał się ojca.

- A dokąd to Roza szła?

- Miała kogoś odwiedzić.

- Kogo?

— Tomasa.

- Tomasa Lapończyka? - Samuel był zaskoczony. - Czy to on jej to zrobił? Ten lapoński przybłąda? Co on ma z nią wspólnego? Co łączy moją córkę z tym brudnym pastuchem reniferów?

- Roza i Tomasz są przyjaciółmi — powiedział Ole. - To nie on ją pobił. Została u niego tylko parę chwil...

- Wciągnął powietrze i zdawało mu się, że znalazł wyjście. Dostrzegł sposób, wytłumaczenie:

— Poszedł tam za nią Jens, to on miał ją odprowadzić do domu.

- Aha - rzeki Samuel z tym wielkim spokojem, który był bardziej lodowaty niż styczniowa noc w tundrze. Mógł on trwać i trwać, zanim w końcu wybuchła niczym burza i przez całe dzieciństwo Olego budził w nim potworne przerażenie. - A o jakim to Jensie rozmawiamy?

- To syn Haldorsena. On nie pracuje w kopalni. Był u mnie i powiedział, że chętnie odprowadzi Rozę do domu...

- No i? - nadal ten spokój. Nadal ten potworny spokój. Ole zaczynał się pocić.

- Roza kazała mu iść do diabła, więc wrócił do mnie. Zaraz potem. Roza poszła sama...

- Ale nie była sama, kiedy znalazła się nad Strmmen - stwierdził Samuel. - Dlaczego nie odprowadziłeś swojej siostry, Ole?

Chwila prawdy.

- Byłem pijany.

- Byłeś pijany - powtórzył Samuel. - Mój syn, który ma ledwie piętnaście lat, był taki pijany, że nie mógł odprowadzić siostry do domu. No a Roza, dlaczego ona włóczy się sama nocami po Kopalni? Co się z nią porobiło? Dlaczego zadaje się z byle kim? Czy jest jeszcze coś, o czym nie wiem?

Ole przymknął oczy. Gorzej już być nie może, a tą sprawą jego obciążyć się nie da.

- Roza przyszła do mnie, żeby mi powiedzieć, że powinienem oszczędzać. Bo za dużo wydaję. Mówiła, że będziemy potrzebować każdego szylinga.

- No, chociaż tyle rozsądku zachowała! - kiwnął głową ojciec. — Mów dalej!

- Mówiła, że będziemy potrzebować każdego szylinga, ponieważ ona spodziewa się dziecka. Cisza, jaka po tym zaległa, była czymś najgorszym, co Olego w życiu spotkało. Był pewien, że gdyby ojciec mógł się poruszać o własnych siłach, rzuciłby się na niego z pięściami. Uduśliłby go. Kiedy Samuel odetchnął, Ole odczuł to jak początek burzy.

- Straciła dziecko?

- Nie krwawiła - odparł Ole udręczony. Musiał podnieść wzrok. Musiał patrzeć w sufit. Nie był w stanie spotkać przesyconego bólem spojrzenia ojca.

- Słyszysz, Nanna? - wydyszał Samuel. - Słyszysz, jakie mamy dzieci?

Ole popatrzył na matkę. Stała uczepiona futryny drzwi. Nie był w stanie podejść i podtrzymać jej. Powinien był to zrobić, ale nie umiał.

- Roza nosi w brzuchu dziecko, dla którego nie ma ojca. Włóczy się nocami po Kopalni i spotyka z łązęgami, których imion nawet nie znam. Czy to takich dzieci się spodziewaliśmy, Nanna? Na takie się cieszyliśmy? Czy to im dawaliśmy życie?

- Nie wiemy, czy Roza przeżyje...

- Do diabła, nic mnie nie obchodzi, czy przeżyje! - grzmiał Samuel. Jego głos przenikał przez wszystkie drewniane ściany. Drżał w uszach domowników. Ojciec był purpurowy na twarzy, oczy mało mu nie wyszły z orbit. - Może najlepiej by zrobiła, gdyby umarła i zabrała bękartą ze sobą do piekła, gdzie jest dla nich miejsce! Teraz wy oboje jesteście dla nas tak samo martwi, jak tych czterech, których utraciliśmy! Nie wracajcie tu więcej!

Ole milczał. Zebrał rzeczy Rozy i opuścił dom. Braciom nie musiał mówić, co ojciec powiedział, słyszeli każde jego słowo.

Rozdział VII

Z nadejściem kolejnego wieczoru Jens był niespokojny. Nie bał się, ale był niespokojny. Nikt po niego nie przyszedł, widocznie więc Roza nic nie powiedziała. Jeszcze nie. Ale zagrożenie

istniało. Roza może powiedzieć, że to on. Wszystko przez tego przekłętą bachora! Stracił głowę. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nie powinien był zostawić jej na brzegu. To wszystko skomplikowało. Nie miał zamiaru jej zabijać, chciał tylko wykopać jej bachora z brzucha.

Sprowadzę doktora - powiedział Peder. - Powinnismy byli zrobić to już dawno Przecież nie się nie zmienia! - Peder był zdenerwowany.

Ole poszedł do domu i wrócił. Bledszy, niż kiedy wychodził, ale przyniósł rzeczy Rozy. Złożył tłumoczek w kącie. Wiele tego nie było.

- Woodwall zgadza się na doktora w takich przypadkach jak ten. Kiedy ktoś się zrani, doktor może pomóc.

— Ojciec nie chciał doktora — przypomniał Ole. — Myślę, że będzie najlepiej, jeśli zachowamy to w takiej tajemnicy, jak tylko można - poprosił. - Ojciec wyrzucił z domu i Rozę, i mnie. Mnie za to, że nie odprowadziłem jej do domu. A Rozę... Rozę dlatego, że jest w ciąży.

- To ona tym bardziej potrzebuje doktora! - wykrzyknął Peder.

- Roza potrzebuje kogoś - powiedział Tomas głucho, ukryty w swoim kącie. - Może się zdarzyć, że będzie potrzebowała ojca dla swojego dziecka. Może to on ją pobił. - Milczał przez chwilę, potem dodał: - Zabiję go, jeśli nie obejdzie się z nią jak trzeba!

- Ona powinna mieć doktora! - upierał się przy swoim Peder.

- Mam go sprowadzić? - spytał Jens, który właśnie stanął w drzwiach. W czystej koszuli, wymyty od stóp do głów. Miał w ruchach coś kociego. - Jeszcze się nie obudziła? - Jednym skokiem znalazł się przy posłaniu i patrzył na chorą.

Tomas siedział, zaciskając pięści.

- Ty bezczelny diable! Ze też masz odwagę tu przychodzić - wysyczał przez zęby.

Jens roześmiał się.

— A wiesz, co j myślę, Tomasie Lapończyku? Myślę, że jesteś w niej zakochany. I może na dodatek zazdrosny?

Tego było Tomasowi za wiele. Błyskawicznie wyciągnął nóż.

- Bez względu na to, jak dobrymi przyjaciółmi jesteście, zabraniam ci tak o niej mówić! - zawołał. — I nie chcę słyszeć, że chodzisz po barakach i opowiadasz te swoje historyjki, Jens. Bo następnym razem wbiję ci nóż bez ostrzeżenia!

Wyglądało na to, że Jens poważnie potraktował pogróżki Tomasa, chociaż Lapończyk był od niego mniejszy i drobniejszy. Trudno było nie zauważyć, że Tomas nie udaje.

- Uspokój się, człowieku - łagodził Jens. - Chyba mogę czasem pozartować, nie? obraża?

Tomas schował nóż i wrócił na swoje miejsce. Jensowi nie poświęcił ani jednego spojrzenia.

— Dziecko jest twoje? — spytał Peder cicho.

Jens zamachał rękami i wybuchnął śmiechem:

- Ale wy się dzisiaj czepiacie! Kto powiedział, że ogóle jest jakieś dziecko? Może Roza sobie coś wyobraża?

- Chciałbyś, no nie? - warknął Tomas w kącie.

Peder zdał sobie sprawę z tego, że z Jensem do ładu nie dojdzie. Ten człowiek jest niebezpieczny, uśmiecha się bezczelnie i Peder miał ochotę rozbić mu tę uśmiechniętą gębę.

— To ty ją tak urządziłeś?

Jens ściągnął brwi.

— Ja byłem tutaj, nie pamiętasz? Siedziałem tu z Olem! : Wtedy Roza otworzyła oczy.

Tomas natychmiast to zauważył.

I pierwszy znalazł się przy posłaniu. Klęcząc, głaskał Rozę po włosach, ale ona nie mogła go widzieć. Widziała Jensa. A Jens usiadł na pryczy i ujął jej rękę.

Witaj w domu, Roza - powiedział.

To Jens siedzi przy mnie. Wita mnie. A gdzie ja byłam? Uśmiecha się tym swoim lekkim, dobrym uśmiechem. Ale jego oczy są niespokojne. Ręka na moich włosach. Ale Jens w obu dłoniach trzyma moje ręce. To kto głaszcze mnie po włosach? Czuję ból, kiedy próbuję odwrócić głowę.

- Leż spokojnie, Roza - mówi głos Tomasa.

Dlaczego oni tu są, Jens i Tomas? Rozglądam się, ale nie wiem, gdzie jesteśmy. Nie znam tego pokoju. Z tyłu stoi Ole, mój brat. Widzę jeszcze jakąś obcą twarz. Dlaczego oni wszyscy tu są?

szukać:

Otwieram usta, ale nie znajduję słów. Muszę ich

— Gdzie ja jestem?

- U Olego. - To Tomas odpowiada. Jens nie mówi nic. Ale przesywa mnie oczami. Ja znam te oczy. Widzę je. Niebieskie jak niebo. Albo jak woda. I nagle wiem, dlaczego tu jestem. Dlaczego leżę w baraku na pryczy Olego, a ciało mam takie obolałe. Wjem. Pamiętam. Ale Jens siedzi przy mnie i trzyma moje dłonie w swoich. Uśmiecha się. Jak dobrze jest widzieć ten jego uśmiech. Wiem, że on ma gorsze strony, ale ma także ten uśmiech. I to spojrzenie, zawierające obietnice. A teraz wygląda na to, że się o mnie martwi.

Wiem, dlaczego tutaj leżę, i Jens wie, że ja wiem.

- Zostałaś bardzo pobita, Roza - mówi Ole. Nie zbliża się do mnie. Tyle nieszczęść spotkało ostatnio naszą rodzinę. Chciałabym mu to powiedzieć. Chciałabym, żeby się uśmiechnął, ale nie mogę mówić, bo gardło mani obolałe.

- Kto to zrobił? - pyta Tomas.

- Słyszysz, co on mówi? — powtarza Jens. — Kto ci to zrobił, Roza?

Wciąż patrzy mi w oczy. Trzyma mnie w swoich rękach. To jego dobre, błękitne spojrzenie. I powaga, jakiej przedtem u niego nie widziałam.

Czuję ciepło w sercu, a Jens wygląda na takiego maleńkiego, bo się boi. Myślę, że nikt go takim nie widział. Ale Jens się trzyma, nie chce niczego po sobie pokazać. Tylko ja go takim widzę i tylko ja wiem. Nigdy nie mogłam nic dla niego zrobić. Nigdy nie miałam okazji mu pokazać, jak bardzo jestem mu oddana. Nie chciał słuchać, kiedy mu to mówiłam, nie chciał moich pieścizot. Nigdy nie życzył sobie mojej czułości. To pierwsze, co mogłam dla niego zrobić.

- Ja nie wiem - odpowiadam szeptem. - Było ciemno. On zaszedł mnie... od tyłu.

- A co ty robiłaś nad Strommen? - pyta Ole gniewnie. Tylko ja widzę ulgę w oczach Jensa.

Znowu staje się

sobą. Wypływa na powierzchnię niczym ryba.

- Musiałam się przejść - mówię cicho. Nie mogą ocze kiwać, że będę im odpowiadać długimi zdaniami. Wska. zuję na gardło. Gestem daję do zrozumienia, że nie gę mówić. Jens nie może usiedzieć spokojnie. Puszczą moje ręce, chodzi po izbie tam i z powrotem, przeczesuje włosy palcami i bez pożegnania wychodzi.

Tomas i Peder wyszli razem. Peder towarzyszył Lapończykowi, bo się o niego bał.

Jakkolwiek sprawy się ułożą, to nie chciał, żeby Tomas marnował sobie życie z powodu Jensa.

- To był on - powiedział Tomas z przekonaniem. - Ale ona mu wybaczyła i kryje go, a przecież to wszystko na próżno!

Peder miał niemal tę samą pewność co Tomas. Ale Roza uwolniła Jensa od podejrzeń.

- Powinniśmy byli sprowadzić lensmana - uznał Peder. - Lensmana i doktora, i samego Woocfalla...

- Może to by i tak do niczego nie doprowadziło? Jeżeli ona nie straci dziecka, to może jest w tym jakiś sens. Ale jeżeli je straci...

- I chyba tak by było najlepiej - dodał Peder. - Railar-Roza ma tyle szczęścia, że ojciec nie chce jej widzieć w swoim domu - zakończył szyderczo.

— Nie nazywaj jej tak!

15.

Jens nie wrócił. Tomas pytał o niego wielokrotnie, potem przestał. Nawet Peder zachodził kilka razy. Na tyle często, że Roza zaczęła rozpoznawać jego twarz, ale szczególnie wdzięczna mu za te wizyty nie była.

- Powinieneś był mnie tam zostawić - powiedziała. Tylko Tomas był w stanie przychodzić regularnie.

Tylko on chciał słuchać tego, co jej opuchnięty język wypowiadał. Inni czuli się skrępowani. Mieli wyrzuty sumienia albo robiło im się na widok Rozy niedobrze. Roza doprowadziła do mistrzostwa umiejętność odpychania od siebie ludzi.

— Ze też chce ci się do mnie przychodzić! — witała za każdym razem Tomasa.

— Chcę wiedzieć, czy nie umarłaś.

— Założyłeś się z kimś?

- Nigdy się tego nie dowiesz.

Powinna chyba używać mocniejszych środków, żeby go zniechęcić.

- Przychodzisz tu tak często, że pewnie w kopalni nic nie zarabiasz. Do niczego w życiu nie dojdiesz, Tomas, jeśli będziesz tracił tyle na każdą kobietę, której przydarzyło się nieszczęście...

Było w tym ostrzeżenie. Tomas je słyszał. Ole również.

- Mam tyle, że dam sobie radę - odpowiedział To- mas. — Ale nie więcej. To, co zarabiam, idzie do rodziny. To były trudne lata. Ja też mam rodzinę, której chcę pomagać. - To była jego odpowiedź na pytanie, którego Roza nie zadała. Tomas niczemu nie zaprzeczał. Ale też niczego nie potwierdzał.

— Synem bogatego człowieka jednak nie jesteś! - Miała dla niego wiele serdeczności, choć bywała też uszczypliwa.

- Zaden syn bogatego człowieka nie szuka pracy

kopalni - odparł Tomas. - Oni mają lepsze widoki, Rozo. W Kafjord nie ma synów bogatych rodzin,

każdym razie tacy nie przychodzą tu, żeby zostać. Czasem tylko przyjeżdżają z wizytą do The House.

— Ole uważa, że nie jestem w ciąży, że to tylko mój wymysł.

Powietrze między nimi zrobiło się ciężkie. Tomas wiedział jednak, że to nieprawda, w izbie było przewiewnie, Ole nie zadbał, żeby założyć nowy zamek, drzwi wisiały krzywo. Ale oddychał z trudem. Wydawało mu się, że siedzi za blisko Rozy na krawędzi łóżka. Wolałby, żeby w izbie było krzesło albo jakiś stółek. Wydawał się obcy sam sobie. Nie chciał w ten sposób spędzić reszty życia. Tomas pragnął dotykać Rozy, ale nigdy się na to nie odważył. Nigdy nie zbliżył się do niej w taki sposób, że mogła to uznać za pieszczotę.

- Kiedy byłam dzieckiem, to dużo kłamałam i zmyślałam różne rzeczy — tłumaczyła. — I zawsze zmuszałam ludzi, żeby mi wierzyli. Czasem mówili, że przesadzam, ale zwykle wtedy akurat mówiłam prawdę. W końcu wierzyli w to, co powiedziałam. I tylko tata zawsze wiedział, kiedy nie mówię prawdy. Tacie kłamać nie można. A jak ty myślisz, czy to dziecko naprawdę jest?

— Tak — odparł bez zastanowienia. — Wiem, kto jest ojcem, i wiem, kto cię tak potraktował.

- Tobie też nie można kłamać, Tomas. A on mnie i tak nie zechce, to chciałeś mi powiedzieć, prawda? Nie chcę stracić tego dziecka — dodała po chwili.

Tomas myślał, że mogą na nią spaść większe nieszczęścia niż utrata dziecka, które zostało poczęte bez miłości, które nigdy nie pozna swojego ojca i które przez całe życie będzie tylko

dzieckiem Rozy, nikim więcej. Nie będzie mogło nawet żądać nazwiska ojca. Jens nigdy się do tego ojcostwa nie przyzna.

- Mogłabyś wyjść za mąż za kogo innego - powiedział nieoczekiwanie, podążając za własnymi myślami. - Mogłabyś dać dziecku nazwisko, przynajmniej tyle.

- A któż to przychodzi prosić o moją rękę? - zapytała z goryczą. — Większość mężczyzn uważa, że sami potrafią spłodzić gęby, które będą musieli w życiu wykarmić.

Tomas chciał dla niej innego życia.

- Ja zresztą też nikogo nie pragnę - powiedziała Roza z niechęcią. — Sama potrafię zadbać o siebie i swoje dziecko. Wykarmię nas oboje. Jestem młoda i silna, dam sobie radę. Jens mnie nie zechce. Dziecka też nie. A ja nie chcę nikogo innego. Nie zamierzam wychodzić za mąż tylko po to, by zdobyć parę rąk, które zarobią dla mnie trochę pieniędzy. Za ciebie też nie chcę wyjść, Tomas, gdyby miało być tak, że mógłbyś wyżywić żonę i dziecko, i przyszłoby ci do głowy zapytać...

Tomas zaczerwienił się po korzonki włosów. Miał dziewiętnaście lat i nigdy jeszcze nie był tak blisko z żadną kobietą, że mógłby spłodzić z nią dziecko. I nigdy też żadna nie podobała mu się do tego stopnia, by chciał spędzić z nią resztę swojego życia. Nawet teraz na pierwszym miejscu stawiał rodzinę.

— Nie będę pytał — obiecał.

— On nie chce nas więcej widzieć — powiedział Ole Rozie. - Dla niego jesteśmy tak samo martwi jak tamci czterej, których stracili. On już nie ma córki. Ani syna imieniem Ole.

Roza wstała z łóżka poprzedniego dnia. Poruszanie się nadal sprawiało jej ból, ale nie zamierzała dłużej le

żeć. Oboje z bratem działali sobie na nerwy. Ona wywoływała w nim wyrzuty sumienia, kiedy przychodził do domu i cuchnęło od niego wódką, poza tym wściekał się z powodu tego, co o niej słyszał. Bo ludzie nie przestawali gadać. Najłatwiej było całą winę zrzucić po prostu na Rozę. Mówili więc, że sama sobie zgotowała swój los.

- On wyrzucił mnie za drzwi i kazał mi zabrać twoje rzeczy! Czy mógł się wyrazić dosadniej?

- Będzie musiał mnie to powiedzieć - rzekła spokojnie.

- Czy ty się go nie boisz?

Ku zdumieniu brata Roza odparła:

— Nie.

Nie pozwoliłam Oleru, żeby ze mną poszedł. Najwyraźniej mu ulżyło. On się naprawdę ojca boi. Zawsze łatwo go było przestraszyć, a ojca uważał za niedźwiedzia raczej niż człowieka. Bo mówił tak głośno, dzieci się go bały.

Powinłam była poczekać, aż się ściemni. Tyle drzwi się zatrząskuje, zanim zdążę się zbliżyć. Jakbym miała zamiar do nich pukać!

Czego się ci ludzie boją? A może teraz dzieci straszy się Roza? Widzę, że firanki poruszają się w oknach. Nikogo za nimi nie ma, ale jestem widziana dokładnie, nie ulega wątpliwości. Tobolek z ubraniem jest ciężki, ale nikt nie może zauważyć, że jestem zmęczona. Zagryzam zęby i myślę o babci Lei. Wierzę, że ona jest przy mnie, że wie, iż potrzebuję siły. Myślę, że użycza mi swojej, w przeciwnym razie nie przeżyłabym tego, co zostawiam teraz za sobą.

16.

Mijam jadłodajnię. Kusi mnie, żeby wstąpić. Muszę na chwilę przystanąć przed budynkiem. Drzwi pozostają zamknięte. Nikt ich nie otwiera z zewnątrz i nie wchodzi. Nikt też nie wychodzi i nie przytrzymuje drzwi dla mnie. Tłumię więc pragnienie, by zobaczyć, czy Jensa tam nie ma. Ole o nim nie mówi. Nie wiem, czy nadal uważają się za przyjaciół i piją razem. Może to dla nich zbyt upokarzające. Tomas mówił o Jensie, ale nie wspomniał, co on robi. I chociaż błagałam go o to, milczał albo tłumaczył, że najlepiej dla mnie, żeby nie wiedziała.

Powiedział też, żebym sama spytała Jensa, czym się zajmuje i jak teraz wygląda jego życie. Minęło wiele dni, a Jens nie przyszedł. I myślę, że już więcej nie przyjdzie.

Dlatego wiem, że to nie Jens, kiedy słyszę za sobą kroki i kiedy dostrzegam długi cień na ścieżce. Wiem też, że to nie Tomas, bo jego kroki znam. A zatem to ten drugi, ten, który mnie znalazł. Ten, który powinien był mnie zostawić. Ten, który oczekiwał podziękowania, ale się nie doczekał. Nie ma za co dziękować. Tak mi tam było dobrze. Teraz już nigdy tam nie wrócę. Ten człowiek ma na imię Peder i jest starszy od Jensa. Tak przynajmniej myślę. Poza tym niewiele można o nim powiedzieć. Przyszedł tu z południa. Jest żylasty i silny, ale nie taki wysoki jak Jens. I ma inne, nie takie ładne rysy. Może ktoś uważa, że on też jest urodziwy, ale mnie patrzenie na niego nie sprawia takiej samej przyjemności. Peder jest ciemny. Włosy ma brązowe. Oslaniają jego twarz niczym kapelusz. Oczy też ma brązowe. Jak kora drzewa, i to może być ładne. Bez pytania bierze ode mnie tobołek, a ja mu na to pozwalam. Olemu bym nie pozwoliła. Tomasowi też nie. Jens nigdy by mi pomocy nie zaproponował.

— Nikt ci nie powiedział, że nie powinnaś nosić ciężarów? - pyta Peder, a głos ma łagodny.

— Nie potrzebuję współczucia - mówię, ale jego to nie odstrasza.

- A kto potrzebuje współczucia? - pyta. - Kiedy człowiek widzi, że cała duma go opuszcza, to najlepiej wtedy zamknąć oczy na zawsze.

Kącikiem oka dostrzegam, że Peder porusza się z godnością. Jest tutaj, w Kopalni, sam i nigdy nie wspomina o żadnej rodzinie. Chociaż tyle o nim wiem.

I że jest co najmniej taki dumny jak ja. Wyczuwam, że nie jest to najmłodszy syn, który musi poza domem szukać zarobku.

- Masz zamiar wrócić do kuchni? - pyta.

Nie wiem, czy jestem w stanie pracować przez cały dzień, wiem jednak, że jak najprędzej powinienam spróbować odzyskać pracę. Nie mogę chorować tygodniami. Powinnaś potraktować to spokojnie. Muszę się roześmiać.

- Normalnie kobiety nie kładą się do łóżka, nawet jeśli spodziewają się dziecka. Ty, mężczyzna, przypuszczalnie o tym nie wiesz, ale kobiety przeważnie robią, co do nich należy, dopóki wody nie zaczną odchodzić, a następnego dnia zbierają się znowu i wracają do roboty. Dlaczego ja miałabym zachowywać się inaczej?

- Bo jesteś inna, Roza. Większość kobiet w ciąży na przykład ma męża. A w nie masz nikogo prócz siebie. Nie masz nikogo, kto będzie silny wraz z tobą.

- Ani też nikogo, kto będzie słaby i będzie ciągnął mnie w dół - odpowiadam i nie chcę w tej chwili myśleć o Jensie, ale to jego twarz staje mi przed oczami. Jensa nie obchodzi, czy coś jest dla mnie za ciężkie. Ja dla niego nie znaczę nic. Nie wiem, jak to się stało, że on jest dla mnie wszystkim, bo przecież on też wolałby nic dla mnie nie znaczyć.

— Powinnaś pozwolić Tomasowi, żeby poprosił o twoją rękę.

Więc i Peder to zauważył! Biedny Tomas! On myśli, że nikt o tym nie wie. Stanie się pośmiewiskiem całej Kopalni jako ten głupek, który się zakochał w Rallar-Rozie.

Nie.

- Dla twojego dobra - mówi Peder lekko. Rzadko mówi się o takich sprawach z ludźmi, których ledwo się zna, ale pewnie takie zasady nie odnoszą się do Pedera i do mnie. On mi uratował życie, może przez to jesteśmy jak rodzina.

- On jest w tobie zakochany.

- Tomas ma się o kogo troszczyć - mówię. - Najmniej potrzebuje mnie i moich zmartwień. To nie by- loby dobre wyjście. Jeśli mnie poprosi, to mu odmówię.

— A ojciec dziecka?

- Nieznany — mówię i widzę wciąż twarz Jensa. Jego dobry, najpiękniejszy uśmiech. Uśmiech, w którym się zanurzam jak w wodzie. Widzę błękitne oczy, które mogą się uśmiechać z taką czułością...

- Trudno będzie go zmusić, żeby się z tobą ożenił, skoro nazywa się Nieznany. Przytakuję. Rzeczywiście, będzie trudno.

W obejściu panuje cisza. Biednie tu, ale właśnie to miejsce nazywam domem. Widzę je teraz oczyma obcego, próbuję sobie wyobrazić, co myśli Peder. Nie wiem jednak, skąd on pochodzi, nie znam więc obrazów, z którymi może porównywać mój dom. Nie byliśmy biedni, kiedy ojciec go budował. I jeśli to będzie zależeć ode mnie, teraz też nie będziemy.

- Mogę z tobą wejść?

Nie chcę tego. Nie chcę pozwolić, by znał to, co jest moją tajemnicą. Jest zbyt obcy, żebym dopuściła go tak blisko. Dziękuję mu za odprowadzenie, a on jest za dobrze wychowany i mówi, że to żaden kłopot. Mój węzełek odnosi do samych drzwi. Potem jeszcze upewnia się, czy naprawdę weszłam. Potrafi okazać troskliwość. Nie oczekuję tego od nikogo. Naprawdę najmniej oczekuję troskliwości okazywanej mnie.

W kuchni cicho. Piec zimny. Chyba od dawna nikt w nim nie palił. Ale przy piecu leży drewno. A to niezawsze się zdarza.

- Kto tam? - dudni głos mojego ojca.

Wciągam powietrze i wchodzę do niego. Jeśli naprawdę mnie odepchnął, to z pewnością nie zechce ze mną rozmawiać. W takim razie będę dla niego nikim.

-Co tytu robisz?

A więc przynajmniej jestem „ty”...

- Wróciłam do domu - mówię zdecydowanie i podchodzę bliżej zasłony i bliżej łóżka. Jestem naprawdę bezpieczna. Nie boję się go. Nie boję się jego gniewu. On mnie dostrzega. Więc mimo wszystko dla niego istnieję. Może używać takich wielkich słów, jakich tyl

ko chce, i tak nie będzie nikim więcej niż człowiekiem.

- Ty już tu nie mieszkasz - mówi i wbija we mnie swoje błękitne, przenikliwe oczy. - Nie rozmawiałaś z bratem? Powiedziałem mu wyraźnie, czego sobie życzę!

Biorę stołek, na którym siaduje mama, i przysuwam

go do łóżka. Gdybym chciała, mogłabym ojca pogłaskać po policzku. Ale rezygnuję. On mógłby mnie uderzyć, gdyby chciał, ale nie podnosi ręki.

17.

- Możesz sobie rządzić Olem - mówię. - Ole pogodził się z tym, że nie jest już twoim synem. Ledwie ma odwagę używać nazwiska Samuelsen. Ale ja wróciłam. Bo jestem twoją córką. Teraz i na zawsze. A ty jesteś moim ojcem. Teraz i na zawsze.

Ojciec milczy. Patrzy na mnie. Tylko że ja już się nie boję jego milczenia. Teraz czuję się silna, myślę, że to mój ojciec trochę boi się mnie. W końcu mówi:

— Doszłaś do siebie, jak widzę.

- Tak.

— Co się stało?

- Ktoś mnie pobił - mówię. Nawet ojciec nie może żądać prawdy o moim życiu. I on o tym wie. To on mnie wychował, ma w tym większy udział niż mama. To on mnie ukształtował.

— I w dalszym ciągu nosisz bękarta?

- Tak - mówię.

— Jak to się stało?

- Zwyczajnie - odpowiadam. - W taki sam sposób,

jaki ty zrobiłaś mamie dziecko, kiedy miała ledwie trzynaście lat — mówię.

Rumieniec wypływa na jego policzki, a tego nigdy jeszcze nie widziałam. Wiem, że posunęłam się za daleko. Ojciec nadal milczy. Nie pada nic na temat, że on się jednak z mamą

ożenił. Nic na temat, że to coś całkiem innego. Ze oni się kochali, a on znał swoje obowiązki i był odpowiedzialny.

— Zakładam, że wiesz, kto jest ojcem?

— Tak, wiem. Ale tobie nie powiem.

- Nie jestem już na tyle mężczyzną, by cię zmusić do wyznania prawdy, Roza. Ale zwykle prawda któregoś dnia wypływa na wierzch i byłoby dziwne, gdyby z czasem się nie okazało, kto to taki. Czy on wie o dziecku?

Kiwam głową.

Na to ojciec też nic nie odpowiada, ale ja dobrze wiem, co myśli. Nie żywi wielkiego szacunku dla kogoś, kto woli nazywać się Nieznany.

- Nie masz już pracy. - Nie zdażyłam nic powiedzieć, a ojciec tłumaczy, dlaczego w domu tak cicho i dlaczego piec w kuchni zimny. - Twoją pracę dali Nannie. Ona się tam dobrze czuje. Ma zarumienione policzki i jest roześmiana, kiedy wraca do domu. Potrzebujemy pieniędzy. Ostatnie słowa wypowiada z taką goryczą, że robi mi się go żal. Mam nadzieję, że tego nie dostrzeżę, bo nienawidzi współczucia co najmniej tak samo jak ja. Widzę jednak, że dostrzeżę.

Tak więc w kuchni nie ma już dla ciebie miejsca, Roza. Hans i Nikolai też przestali chodzić do szkoły i najęli się do piukania rudy. Musiałem tłuc pięścią stół, żeby Knut i Anders również nie poszli do kopalni za parę marnych groszy.

— A gdzie są najmłodsi?

— Nanna wysłała ich do swojej matki.

Przychodzi mi do głowy, że Ole musiał o tym wiedzieć. Dlaczego nic mi nie powiedział? Miał nadzieję, że się nie dowiem? Kiedy zamierzał mnie poinformować? Odczuwam jak zdradę to, że nawet Tomas nie wspomniał o niczym ani słowem.

- Dawno to się stało? - pytam.

Tydzień temu — mówi i śmieje się, że nikt mnie powiadomił. - Kiedy nie możesz się utrzymać na własnych nogach i używać rąk, Roza, to wszyscy przestają cię zauważać. Tak to jest.

Mogę szukać pracy przy kruszeniu rudy. To ciężka robota, ale wykonują ją głównie kobiety i starsze dzieci. Jest się w każdym razie na zewnątrz góry. Stoi się na skalnych półkach i kruszy rudę. Tłucze się młotkiem i rozbija na mniejsze kawałki. Trzeba w ciągu roboczego dnia usypać jak najwięcej kupek tych mniejszych kawałków. Płacą za wykonaną robotę. Sześć szylingów za kupkę rudy, jak słyszałam, ale płace mogą spaść, skoro tylu ludzi szuka pracy. Tylko że ja nie mam wyboru. Już nie tak długo, a ludzie zobaczą, że oczekują dziecka. Już niedługo będę taka ociążała, że nie usypię w ciągu dnia nawet dwóch kupek. Pytam ojca, czy nie jest głodny. Musiał nie jeść od rana. Ale on krzywi wargi i mówi, że Nanna przynosi resztki z kuchni.

- Zapachu gotowanego jedzenia nie było w tym domu od dawna.

Ojciec nie mówi, czy mogę zostać, ale ja nie potrzebuję potwierdzenia. Nie chcę, żeby mój ojciec prosił mnie o wybaczenie. Ale i ja nie przeproszam, że wracam do domu z nieślubnym dzieckiem i zaszarganą opinią. Idę do kuchni i zaczynam gotować zupę.

Ta myśl nawiedzała go raz po raz od dnia, kiedy przyniósł dziewczynę ze Streimmen. Taka była mała i drobna. Prawie nic nie ważyła w jego ramionach. I przez całą drogę do baraku Olego patrzył na jej ładny policzek. Później widział oba policzki z bliska. To nic dziwnego, że odczuwa jakąś odpowiedzialność za życie, które uratował. Lubił się dowiadywać, jak ona się czuje, i był tak samo wściekły jak Tomas na tego, który potraktował ją tak brutalnie. Podobnie jak Tomas, Peder był raczej pewien, że pobił ją ten sam, który jest ojcem jej dziecka: Jens.

Wpadał w złość, kiedy słyszał, że Jens mówi o niej z jawną niechęcią. Jens wyśmiewał się z niej i bawił

kamratów opowieściami o tym, jaka chętna jest Roza w jego rękach i że zrobi wszystko na każde jego zawołanie. Jens szydził sobie z jej oddania i wyśmiewał przed wszystkimi, z którymi pił. Co więcej, przekonywał ich, że z każdym innym, kto by chciał ją mieć, robiłaby to samo.

Peder był wściekły. Ale Tomas powiedział, że nie ma sensu jej o tym mówić. Ona by się z tym pogodziła, tak jak godzi się ze wszystkim, co robi Jens. Wybacz mu, zapomni będzie go dalej wielbić jak przedtem.

Myśl pojawiała się często, ale potrzeba czasu na to, by stwierdzić, czy jest to myśl dojrzała. Już wracał do Kopalni, gdy uznał, że nie ma co dłużej się nad tym zastanawiać. Więc Peder zawrócił i ruszył znowu tą samą drogą. Wiedział, że spoczywa na nim odpowiedzialność.

Miał oto możliwość pokazać, że jest mężczyzną dużo bardziej dojrzałym, niż Jens kiedykolwiek będzie.

Rozdział VIII

Peder stoi pośrodku izby i żąda rozmowy z jej ojcem. Roza wyciera ręce w fartuch. Zawiązała go na brzuchu, bo to jest jeden z tych wielkich, wygodnych fartuchów z którejs z tych kuchni, w których gotowała kiedyś babcia Lea. Peder nie zostawił śladów na podłodze. Roza zawsze zauważa wszystko, nawet jeśli to nie ma znaczenia. I teraz, że Peder należy do ludzi, którzy wycierają nogi, zanim wejdą do domu. A zatem nie wychowywał się w izbie z glinianą polepą.

Wyjął ręce z kieszeni spodni i raz jeszcze powtórzył:

- Chcę rozmawiać z twoim ojcem, Roza.

- A to dlaczego?

Powstrzymał się przed ponownym włożeniem rąk do kieszeni. To bardzo ładnie z jego strony. Jest, jak się okazuje, uprzejmy. To co prawda nie daje dodatkowych szylingów pod koniec tygodnia, należy jednak do tych drobiazgów, które Roza bardzo lubi. Nietrudno jest odróżnić od siebie ludzi, trzeba tylko wiedzieć, na co patrzeć. Jego sweter wymaga pocerowania. Roza ma bystry wzrok Peder nie jest obcym, chociaż ona wolałaby go nadal tak traktować.

- Zamierzam poprosić go o twoją rękę.

Roza nie dostrzega na jego twarzy ani cienia uśmiechu. Musi podejść do okna, żeby zobaczyć, czy ktoś tam nie stoi i siucha, jak ona przyjmie słowa Pedera. Potraktowała to jako złośliwy żart.

- Dziękuję za zainteresowanie - odpowiada chłodno. - Nie ma jednak powodów, żeby dręczyć mojego ojca tego rodzaju głupimi dowcipami. Ubawiłeś się wystarczająco, pytając mnie. Możesz wracać do swoich i powiedzieć im, że wygrałeś zakład. I powiedz im też, że odmówiłam.

— To nie jest żart!

Roza oparła ręce na biodrach. Głowę trzymała wysoko jak królowa i Peder pomyślał, że chyba często zapomina o swoim zeszeconym policzku. Doznał ukłucia w sercu, kiedy zdał sobie sprawę, że i on o tym zapomniął. Na krótki moment...

- Ja naprawdę tak uważam, jestem szczerzy — zaprotestował. — Nie biorę udziału w jakichś szczeniackich żartach, nie jestem taki. I nie ma żadnego zakładu. Jesteś tylko ty i moje myśli...

Co on sobie, do diabła, wyobraża, że kim on jest?

Znalazł ją w odpowiednim czasie, by nieprzytomną

przywrócić do życia. Zyje, ponieważ on przypadkiem był pierwszym człowiekiem, który tamtego ranka przechodził nad Strommen. Nikim więcej dla niej nie jest. Obcym, który przypadkiem przechodził obok. Nie musi mu z tego powodu poświęcić reszty swojego życia. Ona nie prosi o jego życie z powodu tego jednego ludzkiego odruchu.

— Dlaczego to robisz? — spytała.

— Bo nie chcę patrzeć, jak sama się zmagasz z losem

- powiedział Peder. - Wiemy oboje, że ten, który nazywa się Nieznany, nigdy cię o rękę nie poprosi. Mogę ofiarować moje nazwiska temu maleństwu, które nosisz pod sercem.

- Roza, z kim ty rozmawiasz?

Głos ojca. Dom ojca. Ma prawo żądać odpowiedzi.

— Ja nie potrzebuję twojego nazwiska, Peder! - Oparła dłonie na jego swetrze, na piersiach. Dotykając go nie robiło na niej najmniejszego wrażenia. To tylko ciało, nic więcej. Peder cofał się pod jej naporem, pozwalając jej wyprowadzić się z kuchni.

- Roza! - grzmiał głos Wielkiego Samuela. - Roza, kto tam u ciebie jest?

- Wierzę, że naprawdę chcesz dobrze - mówiła Roza cicho. - Na pewno nie masz złych zamiarów. Ale to nie wystarczy. My się przecież nie znamy. Jeśli zlecędyję się za kogoś wyjść, to nie będzie to nikt obcy. Małżeństwo trzeba opierać na czymś więcej niż tylko współczucie, jeśli już nie może być mowy o miłości...

— Złe mnie zrozumiałaś...

Nie pozwoliła mu powiedzieć nic więcej.

- Dziękuję za propozycję, Peder. Naprawdę dziękuję, ale nie chcę za ciebie wyjść. I nie chcę, żebyś rozmawiał z moim ojcem, to niepotrzebne. A teraz idź.

Zamknęła drzwi, gdy ojciec po raz trzeci domagał się odpowiedzi. Tanecznym krokiem pobiegła do izby.

- Z kim ty rozmawiasz?

— Przyniósł moje rzeczy — wyjaśniła pospiesznie. — Ole znalazł jednego takiego, co się tym zajął — kłamała bez mrugnięcia okiem. A Wielki Samuel był zbyt wściekły, żeby to zauważyć.

- To twój brat sam nie mógł przynieść rzeczy?

— Przecież triu przykazałeś, żeby się tu nie pokazywał — odparła Roza.

Tym razem ojciec nie odpowiedział.

- Tylko nie życzę sobie, żeby mi się po domu pętali jacyś obcy — upomniał, kiedy zamierzała wyjść.

- Zadni mężczyźni nie będą tu przychodzić - obiecała, z naciskiem wymawiając słowa.

Znowu byli w jakimś sensie rodziną. Nanna na widok córki zaczęła się tłumaczyć. Nigdy nie miała zamiaru niczego Rozie zabierać, mówiła, ale kiedy zaproponowali jej pracę, to w tej sytuacji nie mogła powiedzieć, że nie weźmie. Jest aż nadto takich, którzy by przyjęli to zajęcie z pocałowaniem ręki. W gruncie rzeczy to ładnie ze strony za rządzących, że pomyślał o ich rodzime, okazał się ludzki.

— Jesteś w kuchni zręczniejsza ode mnie — stwierdziła Roza i skończyła rozmowę. Nanna nie wracała już do tematu. Niewiele też rozmawiała z córką o tym, co się stało. Roza nadal miała widoczne smutki, ale matka o tym nie mówiła. Roza wiele razy zauważyła na sobie jej badawcze spojrzenie. Kiedy jednak Nanna stwierdzała, że Roza na nią patrzy, pospiesznie odwracała wzrok. A ponieważ nikt z dorosłych nie mówił wypadku Rozy, to bracia też milczeli.

- Nie podoba mi się, że chłopcy rzucili szkołę - powiedziała Roza.

- Potrzebujemy środków - westchnęła Nanna. Mówiąc o pieniądzach rzadko używała ich właściwej nazwy. Zawsze nazywała je jakoś inaczej, jakby można było ściągnąć czary, mówiąc „talary” czy „szylingi”. Nagle Roza zdała sobie sprawę z tego, że ona też nigdy nie

wymawia imienia Jensa. A może, gdyby to zrobiła, to on mógłby być jej dzięki czarom czy czemuś takiemu.

— To marna inwestycja zabierać dzieci ze szkoły — narzekała Roza. Nie patrzyła na matkę. Nie spuszcza oczu z braci, dosłownie wbijała ich w miejsce, na którym siedzieli.

— Już się nauczyliśmy, czego trzeba — wtrącił się Hans. - Umiemy czytać, dodawać i odejmować. Znamy katechizm, ewangelie i objaśnienia Nawet Nikołaj zna objaśnienia na pamięć! Nie ma się już czego uczyć. Jest z nas pożytek, kiedy zarabiamy... pieniądze - zerknął na matkę, kiedy wypowiadał to słowo, ale ona patrzyła gdzieś ponad jego głowę. - Mnie jest najzupełniej obojętne, czy umiecie całą Biblię na pamięć od początku do końca i od końca do początku. Ale klepanie z pamięci to jeszcze nie nauka. Musimy zmienić to i owo w domu. Przez jakiś czas może zostać tak jak jest, ale potem musicie znów zacząć chodzić do szkoły.

- W domu tata rządzi!

- No i już niedługo tata zarządzi, że idziecie do szkoły - oznajmiła Roza. - Wróciłam do domu, ja też mam zamiar zarabiać pieniądze. Nie musicie koniecznie zostać niewolnikami. Możecie osiągnąć w życiu więcej niż harówka w kopalni. Dużo więcej!

— Ale to nie jest kopalnia! — zaprotestował Nikołaj.

- To jest krok na drodze do kopalni - ucięła Roza.

Nawet Nanna się jej nie przeciwstawiała.

Niełatwo było znaleźć nowe zajęcie, Roza przekonała się o tym już pierwszego dnia, gdy bez powodzenia obeszła wszystkie możliwe miejsca. Starła się znaleźć coś jak najdalej od kopalni, bo jej zdaniem wszystko było lepsze niż obróbka rudy. Kuchnia była jednak dla niej zamknięta, a nigdzie indziej też nie potrzebowali nowych pracowników. Mieli tylu, ile trzeba, i we młynie, i w tłoczarni tranu, w browarze i w sklepie, wszędzie było też pod dostatkiem służących. Pozostawała więc tylko kopalnia. Kruszenie rudy albo ciemne sztolnie.

Postanowiła, że się nie podda. Na dole pracują przecież młodzi chłopcy, wcale nie silniejsi od niej. A za kilka miesięcy wszyscy oni będą szczuplejsi, tego jednak nie miała obowiązku opowiadać nikomu, kiedy szukała pracy. Może się zresztą sznurować. Minie trochę czasu, zanim zrobi się ciężka. Może jeszcze zarobić sporo pieniędzy.

Mimo usiłowań skończyło się na kopalni. Miała dość rozsądku, by i za to dziękować losowi. Bo chociaż tu także otaczały ją ciemności i niewiele widziała w tym pomieszczeniu, gdzie kruszono rudę, to i tak nie były to te same ciemności, co na dolew sztolniach. Czasu na rozmowy z innymi kobietami było niedużo. Zresztą Roza wiedziała, że nie jest jedną z nich. I nie musiała czekać, aż jej to powiedzą. Tamte były sobie równe. Ich spojrzenia przekonywały Rozę, że wiedzą, kim ona jest, co więcej — jaka jest. Mierzyły ją wzrokiem z góry na dół. Roza przetykała wszystko bez słowa.

— Jak to człowiek czasem nisko upada — powiedziała jedna

— Pewnie ci tutaj brakuje ciepła kuchni — zastanawiała się inna, a śmiech pozostałych brzmiał niczym dzwony między ścianami. Spoglądały na nią spod oka. Z pewnością nasłuchiwały się opowieści z kuchni i jadłodajni.

- Z chłopami to tu u nas marnie - mówiły, by dać jej wyraźnie do zrozumienia, o co chodzi.

— Ale jakoś same się rozgrzewamy...

Roza zaciskała wargi i nie reagowała na zaczepki. Nie dawała nawet po sobie poznać, czy ją to złości.

Najchętniej całkiem by je zlekceważyła, bo wtedy nie byłyby w stanie jej ranić. Ale ona też jest człowiekiem.

Stała na swoim miejscu i słyszała uderzenia młotków kobiet w jej rzędzie i w następnym, i w jeszcze kolejnym. Była teraz częścią tego rytmu. Młotek tańczył nad kamieniami. Dłonie Rozy oddzielały szary kamień od rudy zawierającej miedź. Młotek uderzał w rudę.

Kruszył ją na mniejsze kawałki. Musiały być bardzo małe, zanim można je posłać dalej. Roza czuła ból. Bolały ją kostki i uda, i plecy. Bolały barki i kark. I ramiona. Bolała głowa. A dzień zaczął się dopiero co.

Jeszcze cała wieczność dzieliła ją od pierwszej kupki, która stanowiła miarę urobku. Taka kupka kosztuje sześć szylingów. Dwadzieścia cztery szylingi na jeden ort*. Najrzęczniejsze z kobiet dochodzą nawet do dwóch ortów dziennie.

Roza nie bardzo rozumiała, jak to możliwe. Jeśli będzie zdolna, to ona też może zarobić dwa talary na tydzień. To prawie tyle samo, ile starzy górnicy są w stanie wyrąbać wewnątrz góry. Roza powinna myśleć o pieniądzach właśnie, a nie o środkach. O talarach, które składają się z szylingów i tak dalej. Sto dwadzieścia szylingów, żeby złożyć jeden talar. Ile to kupek drobno pokruszonych kamieni? Pierwszego dnia Roza zarobiła jednego orta.

Po skończonym dniu wychodzę razem z innymi. Tłum kobiet niczym rzeka wylewa się z kopalni i Wolno spływa w dół po zboczach. Słyszę strzał, ale prawie nie zwracam na to uwagi. To jeden z wielu strzałów. Dnie pełne są hałasu, który się wyczuwa, bo od tego ziemia drży pod stopami, albo się go słyszy. Wszędzie w sztolniach wyrąbuje się rudę. To jest właśnie praca kopalni. Nagle wszystko się zmienia. Odpywam jak niewielki, samotny strumyk, żeby połączyć się z wielką rzeką. Nawet nie jestem w stanie określić, w którą stronę powinnam się posuwać. Pozostałe kobiety wiedzą. One wszystkie gdzieś przynależą.

Ja wrócę do domu i będę gotować obiad. Zadbam, żeby tata miał wszystko, czego potrzebuje. Jestem pożyteczna, mam swoje zajęcia. Ale nie chcę iść razem z tym stadem kur, które w każdej chwili mogą zacząć

mnie dziobać. Nie pojmuję, że coś się stało, dopóki rzeka kobiet nie zmienia się w zaporę. W jednej chwili nie mam się gdzie obrócić. Wszystko stanęło. Wszystko wokół mnie milknie, ale trzeba czasu, zanim to do mnie dotrze. W uszach nadal mam stukanie młotków. Myślę, że długo jeszcze będą tak we mnie śpiewać. W końcu dostrzegam, że cisza uderza z tą samą siłą. Oczy wszystkich zwracają się w stronę Storgryya. Również moje. Jestem tam, ale nagle nikt mnie nie widzi. Pochłania mnie rzeka. Jestem jej częścią. W jednej krotkiej chwili dociera do mnie, dlaczego zrobiło się tak cicho.

Znowu wybuch w sztolni. Zaczynają wynosić rannych. Roza pozostała na swoim miejscu w tłumie kobiet. Nie stoi na tyle blisko, żeby widzieć wyraźnie. I nie pragnie widzieć. Chce wracać do domu, do poczucia bezpieczeństwa w ścianach z drewnianych bali. Czeka na nią ojciec. Będzie się dziwił, dlaczego jeszcze nie wróciła. Pewnie już zgłodniał. Jest tyle do zrobienia, zanim Nanna i chłopcy przyjdą do domu. Ktoś szepcze czyjeś imię. Przez gromadę kobiet przebiegło drżenie. Siyert. Roza zna Siyerta. Właśnie on zrobił to, czego nikt nie chciał się podjąć, kiedy ojciec, na pół żywy, zaklinał, żeby oszczędzili jego nogi. Siyert był najbardziej doświadczonym górnikiem. Jednym z pierwszych Norwegów, którzy przybyli tu za Anglikami. Siyert był najstarszy i najzdolniejszy w brygadzie Olego. Teraz leżał na ziemi z zakrwawionymi rękami i twarzą.

Jakaś młoda kobieta klęczała przy mężczyźnie, który nie przestawał krzyżeć. Kobieta tuliła go do piersi i płakała cicho.

Roza na oczach wszystkich ściągnęła z siebie halkę. I tak tylko kobiety widziały, co robi, a one przecież nie mogły jej mieć tego za złe. Zresztą było jej to obojętne. Stały z opuszczonymi rękami i nie robiły nic. Roza darła cienki materiał na wąskie pasy. Przyzywała w myślach babkę Leę i bandażowała zakrwawione ręce Siyerta.

- Dziękuję - wymamrotał i Roza musiała spojrzeć w jego twarz. Był nie do poznania. Mówił coś, niezrozumiale, że w kopalni był wybuch. Wyniesiono już kilku, dwóch z nich przestawało jęczeć. Ich twarze zwracały się ku niebu. Piątym żywym górnikiem, którego ułożono na ziemi, był Ole. Roza czołgała się do niego po trawie. Objęła go i podtrzymywała, jakby był dzieckiem. Jej brat miał skórę na twarzy. Uciszała go, głaskała po włosach, szeptała mu do ucha, że jest jej małym braciszkiem. Ręce miał prawie tak samo pokaleczone jak

Siyert, ale twarz prawie wcale. Tylko z czoła ciekła krew. Brwi miał zdarte. Roza nie umiała powiedzieć nic pewnego, wydawało jej się jednak, że z jego oczami nie wszystko jest w porządku...

Kiedy już większość kobiet odeszła do swoich rodzin, Roza nadal siedziała na ziemi. Nie mogła wypuścić brata z objęć. Był nieprzytomny i bredził. Opowiadał o zielonych polach i tłustych krowach w zagrodach, których marzył od dzieciństwa. Mówił o córce gospodarza z Alteidet i o piekielnych ciemnościach w sztolni.

- Ja nie chcę łodzi - mówił. - Będę chłopem, a nie rybakiem. A rolnikowi niepotrzebna żadna łódź...

- Podążaj za swoimi marzeniami, Ole - szeptała Roza z płaczem.

Siyert skonał, zanim przyszedł doktor. Życie uszło z niego cichutko. Młody człowiek, który krzyczał tak głośno, też z czasem umilkł. Zmarłych znoszono ze zbocza. Ole i jeszcze dwóch innych zostało. Mieli podobne obrażenia: twarze i ręce poparzone, krwawili, oczy i uszy uszkodzone. Ole słyszał, ale doktor, kiedy już zabandażował rany Olego, objął obiema rękami barki Rozy i pociągnął ją za sobą na bok.

- Rany brata zagoją się dość szybko - powiedział. - Ale wzroku już nie odzyska.

Miała nadzieję, że doktor się myli. Zresztą nie uważała go za prawdziwego doktora, a przecież każdy może

się mylić. Ole dojdzie do siebie. I będzie mógł osiągnąć wszystko, za czym tęskni. Zdobędzie ziemię i będzie żył w szczęściu. Będzie miał dom i pług, i zwierzęta, a ona już nigdy nie będzie mu stawiać surowych wymagań. Ole wyzdrowieje. Będzie znowu pracował.

Pozwoliła, by koledzy Olego ułożyli go na noszach.

- Mamy go zanieść do baraku? - spytał jeden.

- Nie. Do domu - odrzekła.

Ole powinien znaleźć się w domu. Sama poczekała, aż zabiorą dwóch ostatnich. Oni się wygrzebią, powiedział doktor. Wprawdzie mają uszkodzony słuch, ale oczy ocalały. Do pracy w kopalni jednk i oni nie będą mogli wrócić. Roza czuła chłód pełnący w stronę serca.

Niczym mróz przenikał ją do szpiku kości: setki talarów rozwiały się w powietrzu przez ten wypadek. Przed jej małymi braćmi wrota do kopalni otwierały się coraz szerzej.

Przyszedł Tomas. Po fatalnym wybuchu wokół Storgruwa zaległa cisza. To nie był w Kopalni zwyczajny dzień. Bez trudu Tomas odnalazł Rozę. Już słyszał, co spotkało Olego. Położył jedną rękę na jej ramieniu, a ona nie protestowała. Potrzebowała teraz kogoś bliskiego. Nikt nie może być zawsze silny.

- Strasznie mi przykro - powiedział. - Czy Ole bardzo ucierpiał?

— Stracił wzrok. Nic się nie da zrobić, zanieśli go do domu, ale tam jest tylko tata. Bo mama pewnie jeszcze nie wróciła. Muszę iść.

Tomas wiedział, że powinna.

19.

Tata milczy. Pozostał niemy od chwili, kiedy wnieśliśmy Olego do domu. Nikt się zresztą na to nie odważył, dopóki ja nie wróciłam. Tak więc nadal wywiera wpływ na ludzi z Kopalni. Mama płacze, mówi, że ciąży na nas przekleństwo. Wydaje mi się, że ktoś w kuchni tak powiedział.

Moi bracia także milczą. Nauczyliśmy się przyjmować wszystko właśnie tak. Spokojnie i w milczeniu. Nigdy nie próbujemy przerzucić brzemienia na innych. To, co ciąży, dźwigamy sami. Nie sądzę jednak, że kopalnia kusi chłopców z tą samą siłą jak dawniej.

Siedzę na schodach przed wejściem, chociaż wieczór już dawno minął. Aż dziw, że lampy palą się u nas tak długo. Myślę, że nawet Nikolai nie śpi. Liczyłam i liczyłam, ale liczby nijak mi się nie zgadzają. Będę musiała zabrać się jakoś inaczej do tego rachunku.

Może moje myśli naprawdę posiadają siłę? W każdym razie nie musiałam po niego posyłać. Jego kroki są wciąż obce, ale chyba powinnam zacząć się ich uczyć, przyzwyczajając się, że je słyszę. On nie jest Jensem. Jens poszedł do Rafsbotn, najął się tam za parobka. Jakby jego rodzina nie miała dość ziemi, na której mógłby pracować!

Ale ból z tego powodu nie jest już taki dotkliwy. Peder siada przy mnie.

- Słyszałem, co spotkało Olego. To straszne nieszczęście.

Peder nie oczekuje odpowiedzi. Mogę milczeć. Może on powinien się przyzwyczajając do ciszy. Do mojej ciszy. Może oboje będziemy się musieli przyzwyczaić do wielu rzeczy — Nazywam się Peder Johansen — mówi, nie patrząc na mnie — Miałem jeszcze jedno imię, ale zmyłem je łzami i deszczem. Już mnie ono nie dotyczy. Mam dwadzieścia dwa lata i pochodzę z Gudbrandsdalen. Byłem najstarszym synem w rodzinie, miałem odziedziczyć dom i ziemię. Dziewczyna, z którą się zaręczyłem, była dziedziczką sąsiedniego gospodarstwa, jedynym dzieckiem swoich rodziców Rzeźnik, który tamtej jesieni przyszedł sziachtować bydło, miał bar dzo urodziwego syna. Ten syn zrobił mojej narzeczonej dziecko i pojechał dalej. Ona płakała wiele miesięcy, a potem utopiła się w wodospadzie. Ja odnalazłem syna rzeźnika i poderznąłem mu gardło. Nie byłem w domu od dnia, w którym wyruszyłem go szukać. Od czasu, kiedy ona umarła. Moi myślą, że nie żyję. — Milczał przez jakiś czas. — Oto moja historia. Zabiłem człowieka i muszę z tym żyć. Mam trochę oszczędności. Nie bardzo było na co wydawać szylingi, więc zamieniały się w talary. W picciu nigdy nie znajdowałem zadowolenia. Może moja przyszłość nie jest już na zawsze związana z kopalnią? Oto co mam ci do zaoferowania.

On wie, że mogę odmówić, ale przecież nie musiał przychodzić. To ładnie z jego strony.

Jensem nie jest, ale przecież Jens mnie nie chce

— Dziękuję ci — mówię. — Sam wiesz, co ja mam. Nie tylko mnie będziesz musiał wziąć.

- Wiem o tym.

Ma bardzo poważną twarz.

- A teraz mnie wpuścisz, żebym porozmawiał z twoim ojcem?

Rallar-Roza została poślubiona Pederowi Johansenowi w ostatnią niedzielę września. Na samym końcu, przy drzwiach kościoła, siedział Jens Haldorsen i chichotał. Nie był całkiem trzeźwy, ale nie podnosił głosu tak bardzo, jak niektórzy z zebranych mieli nadzieję. Tomas siedział przy nim z kamienną twarzą. Nikt nie zgłaszał protestów przeciwko zawarciu tego małżeństwa. Kiedy ksiądz odczytywał błogosławieństwo, Tomas schował nóż do kieszeni na piersi kurtki. Jens zasnął w kościelnej ławie.

Nad fiordem ukazała się tęcza. Sięgający ramion welonik Rozy zmoczył deszcz.

Rozdział IX

— Dlaczego ożeniłeś się z moją córką?

Peder czuł się jak wezwany przed oblicze Wszchemogącego. Wielki Samuel był niemal tak samo ogromny i straszny. Trudno go było lekceważyć. Kiedy Peder Johansen po raz pierwszy stał przed tym łóżkiem, był znacznie odważniejszy. Wtedy znał ojca Rozy tylko z widzenia, z kopalni. Wielki Samuel zawsze poruszał się na granicy tego, co możliwe. Peder nigdy by tego głośno nie powiedział, ale uważał, że Samuel był nieostrożny i narażał zarówno siebie, jak i swoją brygadę w Storgryua na niebezpieczeństwo. Peder zajął wolne miejsce w tej brygadzie, którą przedtem Wielki Samuel kierował. Konkurentów miał niewielu, ludzie

bowiem uważali, że nad tą grupą ciąży pech. Kiedy Ole stracił wzrok podczas wybuchu, gidzie zmienili zdanie, teraz mówili, że to nie z brygadą, ale z rodziną Samu jest coś nie tak. Takich słów jak „przekleństwo” nikt nie używał, ale one leżały ludziom na wargach niczym zaschnięta kasza. I teraz Peder wzenił się w tę rodzinę. W dwa tygodnie po tym, jak Peder i Roza zostali przed i Bogiem i ludźmi ogłoszeni małżeństwem, pastor ich pobłogosławił, a ludzie udzielili na ten związek milczącej zgody, Samuel zażądał odpowiedzi na pytanie, dlaczegoż to Peder ożenił się z jego jedyną córką.

Peder sam się nad tym zastanawiał. Na początku kierowała nim troska o nieszczęsną dziewczynę. Nikt prócz niego nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo Roza jest samotna, nikt tak naprawdę jej nie widział. Dlatego się z nią ożenił. Wydawało mu się to słuszne. Potem myślał, że to z jego strony jednak przesada, ale to było już po tym, jak obiecał, że będzie ją kochał i szanował oraz opiekował się nią do końca swoich dni. Dopóki śmierć ich nie rozdzieli. I naprawdę robił, co mógł, okazywał żonie szacunek. Zamierzał się też nią opiekować. Ale „kochanie” to za wielkie słowo i dla niego, i dla Rozy.

— No a dlaczego w ogóle człowiek się żeni? - unikał odpowiedzi wprost.

Samuel śmiał się tak, że aż zaczął kaszleć. Nawet zanosząc się, nie mógł przerwać śmiechu.

Pedet to rozpoznawał, Roza śmieje się tak samo, ale ani ona, ani ojciec nie robią tego zbyt często. W domu uroczycie nazywanym Samuelsborg żartuje się bowiem rzadko. Niewiele się też rozmawia. Pedet- nie należał do tych, którym usta się nie zamykają, ale w tych ścianach mógł uchodzić za prawdziwego gadułę.

- Zaden ze zwyczajnych powodów nie odnosi się do ciebie i mojej córki — rzekł Samuel i wbił swoje przenikliwe spojrzenie w zięcia. Roza odziedziczyła oczy po ojcu. — Moja córka wyszła za ciebie, bo chciała mieć kogoś, kto zadba o nią, o dziecko, którego oczekuje, i o całą naszą okaleczoną rodzinę. Musiałeś to przecież wiedzieć!

- Owszem, zdawałem sobie z tego sprawę - odparł Peder. Teść nie poprosił go, by usiadł.

Czuł się jak uczeń w swojej dawnej szkole w Gudbrandsdalen.

- No to dlaczego, na Boga, przyszedłeś tu, żeby prosić o jej rękę? Miłość to to nie była. Ja wprawdzie nie mam nóg, ale nadal zostały mi uszy. Wiem przeważnie tyle, ile usłyszę. Więc podsłuchuję i wcale się tego nie wstydzę! I gotów byłbym się założyć o całego talara, że jej jeszcze nie miałeś!

Peder zachichotał. Jako świeżo upieczony żonkoś czerwienił się skrzępowany taką otwartością. Większość ojców raczej nie rozmawia na temat tego, co ich dorośli, żonaci synowie i córki robią w nocy pod pierzyną.

— Możesz sobie zachować tego talara, teściu - powiedział. - I nieważne, czy masz rację w tym, co mówisz, bo ja nie przyjmuję zakładu. - Zwlekał jeszcze jakiś czas, zanim udzielił jedynej odpowiedzi, na jaką mógł się zdobyć: - Lubię Rozę.

- Nie budzi w tobie niechęci?

Ole kaszłał za ścianą. Brat Rozy, odkąd przed dwoma miesiącami stracił wzrok, prawie nie wychodził z izby. Wciąż cierpiał w samotności.

- Chłopak jakoś to zniesie - uspokoił zięcia Samuel.

— Nie, nie budzi we mnie niechęci.

Peder myślał o okaleczonym policzku Rozy z rodzajem czułości. I szybko się do niego przyzwyczaił. Uroda to rzecz przemijająca, krótko trwa, jeśli nawet istnieje. W nocy Roza leżała zwrócona do niego prawym policzkiem. W pierwszą noc, poślubną, położyła się pod ścianą, i potem było to już jej miejsce. Pedet zaakceptował to tak, jak zaakceptował żonę.

- Ona nigdy by cię nie chciała, gdyby była piękna - oznajmił Samuel. Milczał przez chwilę, a potem, patrząc w sufit, zaczął mówić: - Roza była najpiękniejszą istotą jaką Wszechmogący stworzył. Nie byłem w stanie uwierzyć, że jest moim dzieckiem. Nie mogłem uwierzyć, że jest dzieckiem Nanny, choć i ona wyglądała niczym anioł z nieba, dla którego żaden ziemski mężczyzna nie ma dość silnych ramion. Jestem dwanaście lat od niej starszy. Ledwo

przekształciła się w kobietę, kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz, ale wiedziałem już wtedy, że nie chcę żadnej innej. W rok później urodziła się Roza. Nasz śliczna córeczkę. Rude włosy i oczy jak woda w fiordzie. Zauważyłeś to? Roza ma oczy takiego koloru jak woda w fiordzie jesienią. Była niczym uparty, maleńki kwiat, który tak pięknie rozkwitł późnym latem, dlatego nazwałem ją Roza, jak kwiat. Pamiętam rallarrosę taką czerwoną pod drewnianą ścianą domu w moich rodzinnych stronach. Nasza córeczka była ładniejsza niż anioł, ładniejsza od Nanny. Mijały lata i Koza zrobiła się prawie dorosła. - Samuel umilkł. - To ja ją oszpecilem.

To wyznanie odebrało Pederowi mowę. Jak wszyscy inni w Kopalni zastanawiał się, jak doszło do tego, że Koza uległa wypadkowi. Ole głośno wiercił się na swoim łóżku. Skrzywienie desek tłumilo jęk. Oddychał jak w złości.

— Zeszpecilem jej twarz - mówił Samuel, nie przestając patrzeć zięciowi w oczy. - Roza miała policzki jak krew z mlekiem. I dołeczek po lewej stronie. Ale była nierozsądna i bezmyślna, posyłała uśmiechy księżniczki komu się dało. Nie pomyślała, że ludzie mogą mieć złe zamiary. Była najpiękniejszym dziełem Stworzyciela, Peder. A ja uczyniłem ją taką, jak teraz jest.

- Dlaczego? - wykrztusił Peder, który marzył o czymś, co mógłby chwycić w ręce, o czymś, co zostawiłoby brzydkie ślady na ciele Samuela.

- Wiedziałem, co robię, kiedy ją poparzyłem - ciągnął jego teść. — Była jeszcze dzieckiem, ale już wówczas mężczyźni zaczęli o niej gadać. Różne przybłędy z Kopalni. Młodzi chłopcy i dorosłe chłopcy w całym dystrykcie. Słyszeli o niej wszędzie. Słyszeli o mojej córce. O Rozie, mojej i Nanny. Mówili o niej, jakby była ich własnością, jakby każdy mógł ją mieć. Nawet goście dyrektora na nią spoglądali. A ja rozpoznawałem te diabelskie błyski, jakie mieli w oczach, kiedy na nią patrzyli. Dobrze wiedziałem, co z nią będzie, kiedy rozkwitnie. Już przedtem widywałem, co robią panowie. Widziałem, jak mogą się zachowywać. Znam myśli bogatych ludzi. Wszystko jest do kupienia, uważają. Nie mogłem pozwolić, żeby stała się zabawką bogatych panów.

Peder słuchał. Nie wszystko można tak od razu zrozumieć.

- No i zamiast tego została dziwką niebogatych - westchnął Samuel.

- Mówisz o swojej córce -. powiedział Peder ze złowieszczym spokojem. - I gdyby nadal była tylko twoją córką, miałbyś swoje zbójcekie prawo nazywać ją, jak ci się podoba, Samuelu. Ale ona nie jest tylko twoją córką, jest też moją żoną. Przede wszystkim jest tą, z którą się ożeniłem. Moją żoną, teściu, bardziej niż twoją córką. A ja nie pozwalam ci nazywać jej dziwką.

- Nawet jeśli to prawda? — spytał Samuel.

- Gdyby to była prawda, nie wziąłbym jej za żonę.

— Lubię cię, chłopcze — powiedział Wielki Samuel.

Peder nie zadał sobie trudu, żeby powiedzieć teściowi to samo. Samuel też nie pytał, co zięć sądzi o nim po tym wyznaniu. Opadł po prostu na poduszki. Ale najwyraźniej odczuwał ulgę.

- Możesz odejść, chłopcze - oznajmił. — Chociaż nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

Peder nie potrafił dać do zrozumienia Rozie, że wie o tym, co jej się stało. Zresztą z wyjątkiem nocnych godzin nigdy nie bywali sami. Tylko w nocy mieli kuchnię do swojej dyspozycji. Łóżko, które zrobił Peder, stało pod ścianą i zabierało dużo miejsca, ale dawało im schronienie od wieczora do brzasku. Jako młodzi małżonkowie zostawali na noc sami, ale ciemność nie rodziła w nich takiej bliskości, która skłoniłaby Pedera do zwierzeń.

20.

Ja wiem, że Peder wie. Wyciągnęłam wieczorem Olego przed dom. On potrzebuje świeżego powietrza, ale w dzień nie chce wychodzić. Nie chce czuć na skórze ciepła jesiennego słońca, nie chce wyczuwać światła, którego już zobaczyć nie może. Jest taki rozgoryczony. Ale

wieczorem udaje mi się go zmusić, by wyszedł na schody. Chodzi niepewnie, ale nie wyciąga przed siebie rąk. Trzyma się mnie i widocznie ufa mi.

— Ojciec zdradził dzisiaj rodzinną tajemnicę twojemu mężowi - powiedział Ole. On tak nazywa Pедера. Mówi to z niesmakiem. Początkowo poprawiałam go i mówiłam, że on ma na imię Peder, teraz już tego nie robię. — Czy ojciec ci to kiedyś wytłumaczył? — pyta. Jakby ojciec coś nam kiedy tłumaczył. - I powinnaś skłonić swojego męża, żeby ci to powtórzył. On potem nie powiedział ani słowa...

No więc wiem, że Peder wie, ale Peder milczy. Leżę tuż przy ścianie i wyobrażam sobie, że czuję zapach lasu, płynący z drewna. Duży, dorosły las w dolinie Alty. Łóżko jest piękne. Ma toczony i rzeźbiony kolumnienki. Jest zdobione jak te rosyjskie domki, które widziałam na obrazku. Artystycznie wyrzeźbione - powiedziała mama. Jest piękne również dlatego, że w dzień można jedną jego część wsunąć pod drugą i wtedy robi się sofa, która zajmuje znacznie mniej miejsca. Ludzie chichotali, kiedy Peder wiozł je na wozie przez całą osadę. Peder wiele się musiał nasłuchać od czasu ślubu ze mną, ale on jest spokojny jak kamień. Może nawet jeszcze spokojniejszy. To z pewnością moja wina. Nasza wina. Wszyscy w domu jesteśmy milczący i spokojni.

- Powinniśmy mieć własny dom - mówię, zanim zdążyłam się zastanowić, co te słowa naprawdę znaczą.

Peder odwraca się tak gwałtownie, że świeże drewno trzeszczy. Deski były chyba za mokre, ale innych Peder nie dostał. Wszystko toczyło się bardzo szybko, odkąd wziął sobie żonę. Nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Była odwrócona do niego plecami. Położył dłonie na jej ramiona, powoli odwrócił ją tak, że spotkali się twarzą w twarz w swoim małżeńskim łóżku.

- Powiedz to jeszcze raz! - poprosił Peder z powagą, jakby przystępował do confirmacji.

- Powinniśmy mieć własny dom - powtórzyła Roza.

— Może masz rację - westchnął. Ale kiedy nierozumnie zgadzał się z żoną, musiał się równocześnie zmagać z własnymi myślami. Wiedział, że może się bawić tę grę dopóty, dopóki w kopalniach będzie życie.

Może być mężem i zięciem, dopóki połowę doby będzie spędzać pod ziemią w ciemnościach i zarabiać pieniądze. Może jednak nadejść czas, kiedy Woodfall i Crowe spakują swoje rzeczy, a drzwi The House zostaną zamknięte na skobel Mogą nadejść czasy, kiedy rallare będą musieli nasunąć kapelusze na czoła i ruszyć dalej w poszukiwaniu środków do życia. Jeśli więc on, Peder, wie, co jest dla niego najlepsze, to nie powinien zapominać o tym dniu, bo przecież nie zostanie w Kopalni, będzie to osada duchów, pełna wspomnień o dawnym życiu, pracy i pieniądzach. Nie powinien ulegać czarowi słów o własnym domu i miejscu do życia. Wędrowcy są ludźmi wolnymi. Jak tylko dorobi się Ziemi domu, będzie więźniem. Chłopem. A tego przecież nie pragnie.

- Ale nie tutaj - powiedziały jego wargi. - Może po tamtej stronie fiordu. Albo w Mattisdalen...

— W Mattisdalen jest tak pięknie — rzekła z rozmarzeniem w głosie. Była po prostu słodka.

- Może byłoby nas na to stać - powiedział Peder. Musiał chyba postradać rozum. Idzie zima. Grunt wkrótce zamarznie. Nie można stawiać fundamentów domu w zamrzniętej ziemi. — W takim razie czas nagli - dodał. - Powinniśmy postawić ściany, zanim spadnie śnieg. Zanim ziemia zamarznie...

— Chciałabym zabrać ze sobą Olego. Ojciec powiedział, że ja i Ole jesteśmy dla niego martwi...

— Mattisdalen? — spytał Peder jeszcze raz. To był jej wybór. Zdawała się zakochana, kiedy wymawiała tę nazwę. A on zastanawiał się, jakby wymawiała jego imię, gdyby wszystko było inaczej. Ale o czym tu myśleć... I tak ściągą sobie na głowę dosyć zmartwień. Późną jesienią zabiera się do budowania domu dla Rzy. To naprawdę może wyglądać na żart. Jens szczerze by się z niego uśmieiał!

- Dom nie musi być duży - powiedziała Roza. Nawet się nie domyślała tego, co się działo w duszy Pedera. Nie przeczuwała, że on by najchętniej ucieki od tych wszystkich słów, które nieroztropnie gromadził między nią i sobą. Zdawało mu się, że te słowa mogłyby raczej stopić lód między nimi, niż wznieść mur.

- Nie, duży nie będzie! - Peder wsunął jedną rękę pod jej głowę i myślał przy tym, że płaci cholernie wysoką cenę za prawo obejmowania jej w ten sposób. Da jej za to ściany, które go zatrzymają przy niej. Dom. Nie myślał przedtem o Rozie jako o swojej rodzinie, ale właśnie w tej chwili przyszło mu to do głowy. Ona jest moją rodziną. — Jestem tylko rallare - dodał. - A i to w ograniczonej mierze, jak się lepiej zastano: wić, Roza.

- Moglibyśmy mieć nieduże gospodarstwo...

Pragnął teraz, żeby się nie był zaczął godzić na to wszystko, żeby nie zaczął je ustępować. Teraz powinien powiedzieć „nie”. Nie będzie żadnego domu. Nie będzie gospodarstwa. Nie nie wiąże bardziej niż ziemia

— Malutki kawałek ziemi — szeptała Roza Mówili ci cho, nie podnosili głosów ponad szept. W tym domu wszystko słychać. Błada gwiazdzista noc sprzyjała szeptanym w zaufaniu zwierzeniom, ale ani Roza, ani Peder nie chcieli ujawnić niczego Wielkiemu Samuelowi.

Rozmowa w łóżku była czymś tak nowym, że wydawała im się niemal nieprzyzwoitością

— Ale ja nie odejdę z kopalni - rzekł Peder pospiesznie. - Pogoda w tych stronach bywa taka nieobliczalna. Nie mogę polegać na tym, że mały kawałek ziemi wyżywi mnie i... Nas...

Roza nie pojmowała, dlaczego jest taka uradowana. To o jej rodzinie on mówił o jej bracie i o tym maleństwie, które ma przyjść. To jej dziecko, jego nie. Będzie tylko nosić jego nazwisko. Ale on mówi o nich jak o rodzinie.

- Będziemy potrzebować pieniędzy, Roza Ale wolbym, żebyś już nie pracowała.

Istniała cienka, cieniuteńka linia, której nie można było zobaczyć, a tylko wyczuć. Peder i Roza należeli do siebie, bo byli mężem i żoną. Ale byli też jak gwiazdy, które dzieli nieskończenie wielkie niebo. Była między nimi ciemność większa, niż można sobie wyobrazić.

- Nie chcę, żeby ktoś za mnie decydował.

— To ciężka praca, Roza. Możesz stracić dziecko.

- Ktoś by może powiedział, że to palec Boży.

— Ty nie chcesz stracić dziecka.

— A ty? - spytała Roza. - Czy dla ciebie to byłby dar, gdyby się okazało, że dziecka nie będzie?

Peder myślał o Jensie i o synu rzeźnika, zlewali mu się w jedno. Tylko że Jens nadal istnieje. Załował, że nie rzucił się na Jensa z pięściami, kiedy było to jeszcze możliwe. Wtedy Roza nic by dla niego nie znaczyła. Teraz nie mógł już tamtego zaatakować. I tak zawsze będzie wiedział, że ojcem dziecka jest Jens.

— To nasze dziecko - powiedział Peder. Jego wargi nadawały formę najdziwniejszym słowom. Pojawiła się denerwująca myśl, że może to będzie jego dziecizic. Chłopiec, który przejmie Ziemię w Mattisälalen. Syn Jensa przekaze następnym pokoleniom nazwisko Pedera. — Chcę, żebyś była ostrożna. Jesteście moją rodziną.

- W Kopalni jest wolny dom.

Peder bał się, że ją rozczaruje, ale jeszcze bardziej, że spełni jej marzenia. Roza miała głowę nabitą wiosennymi obrazami Mattisäleri.

- W Kopalni? - Roza kończyła właśnie dojenie krowy. Na domowej sukni zawiązała niebieski fartuch. - Nad Strommen?

- Jeden z tych, którzy zostali ranni, kiedy Ole stracił wzrok, wrócił do domu, do Finlandii - wyjaśnił Peder. — Miał tutaj rodzinę. Mieszkali z pięciorgiem dzieci. Taki dom nas pomieści. Roza skinęła głową, ale nadal widział tylko jej plecy. Cisza dosłownie go dławiała.

— Ja wiem, że to nie to samo co własny dom z kawałkiem ziemi, z oborą, w które stoją krowy i owce. Niczego jeszcze nie posiadamy, ale to dopiero początek. Drzwi, które można za sobą zamknąć. Będziemy tam osobną rodziną. — Peder wsłuchiwał się we własne słowa i czuł narastającą w piersiach radość, że nie będzie musiał kłaść fundamentów pod dom właśnie teraz.

- No dobrze - powiedziała Roza. - Więcej nam nie trzeba.

- Możemy się tam wprowadzić, kiedy będziesz chciała — poinformował.

- W sobotę - rzekła Roza pospiesznie, jakby nie chciała, żeby i w tej sprawie to on decydował. Ja ciebie nie przymuszam. Nigdy nie będzie między nami żadnego przymusu, Roza. Ale dom stoi.

- Nie przymuszasz mnie, Peder. - Roza rzadko zwracała się do kogoś po imieniu. Patrzyła na ludzi, dopóki nie odwracali wzroku, nie mogąc dłużej znieść widoku jej zeszpeconej twarzy. To była jej siła. Zdawała sobie z niej sprawę i posługiwała się nią. — Dom oznacza drzwi, które można za sobą zamknąć. Przeprowadzimy się w sobotę.

— W sobotę - potwierdził Peder, choć kiedy wyszedł z obory i popatrzył w rozgwieżdżone niebo, przeniknął go niepokój, że może popełnia błąd. Może jednak powinien spróbować znaleźć kawałek ziemi w Mattisdalen. Zebrał wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić to gospodarstwo, z którym ona w marzeniach łączyła ich życie. Może powinien związać się z ziemią, domem i z nią? Wziąć na siebie konkretne obowiązki na całe życie, a nie tylko do czasu, kiedy ruda miedzi w kopalniach będzie miała dla kogoś wartość.

Roza miała posażną skrzynię od czasu, kiedy była jeszcze bardzo mała. Piękną rosyjską skrzynię podarowała jej babka Lea.

Peder pożyczył w kopalni konia i wóz. Pewnie

wu ludzie będą chichotać za firankami, widząc, jak Peder Johannes w drugą stronę powiezie swoje małżeńskie łoże. Roza nie wiedziała, jak on te śmiechy znosi. Nie zna Pedera, a teraz mają być rodziną. Życ razem. To będzie coś zupełnie innego, niż kontynuować życie dziecka pod tym dachem. Tutaj Roza była bardziej córką Samuela niż żoną Pedera.

- Wyprowadzam się - Roza poinformowała krótko ojca i brata, kiedy przekręciła kluczyk w zamku swojej posażnej skrzyni. Trudno powiedzieć, że była ona wypakowana po brzegi, mimo to Roza uważała, że posiada sporo. - My się wyprowadzamy - poprawiła się. - Peder i ja. Do domu w osadzie.

— Stałaś się Norweżką, Roza Samuelsdatter — ojciec zaniósł się kaszlem. - Wyszła za mąż za Norwega, a teraz nie chce już mieszkać na Krecie...

— A nie tego zawsze dla nas chciałeś? — spytał Ole. — Czy nie wychowywałeś nas na Norwegów? I co, w twoich oczach wciąż nie jesteśmy Norwegami?

- Chcę, żeby Ole zamieszkał z nami - oznajmiła Roza.

— Ole zostanie!

— U nas będzie więcej miejsca...

— Ole jest niepełnoletni. I jest moim synem... Będziesz czcił ojca swego i matkę swoją... Ole zostanie w domu.

Roza nie rezygnowała, wołała jednak nie drażnić ojca. Niech przywyknie najpierw do mojej nieobecności, myślała. Po jakimś czasie zabiorę Olego.

- My nadal chcielibyśmy pomagać tak, żeby chłopcy nie musieli pracować w kopalni.

— Będziesz miała swoje sprawy, kiedy wyjdiesz z domu, Roza - ojciec był uparty. - I powinnaś się martwić o swoich. Moja rodzina da sobie radę nawet bez twojej pomocy. Tym razem trudniej było milczeć, ale Roza potrafiła. Okazywała mu w ten sposób respekt, wątpiła jednak, czy ojciec to dostrzega. On nigdy nie miał specjalnie czułego ucha, jeśli chodzi o innych. Ale mimo że złość kipiała w niej z powodu tego uporu, Wielki Samuel był jej ojcem. I kochała go.

Ole nie wyraził swojego zdania, choć Roza była pewna, że chętniej wyprowadziłby się z nią i Pedetem do Kopalni. Tam mogliby do niego zaglądać znajomi na chwilę pogawędki, nie musiałby siedzieć w tym ponurym domu ze zgorzkniałym ojcem. Nikt nie znajdzie wystarczających powodów, żeby go tutaj odwiedzić.

— Jestem z twojej krwi i ciała — odpowiedziała Roza ojcu. - W dalszym ciągu stanowimy rodzinę. Tak Samo należę do was, jak i do Pedera.

Tym razem Ole też jej nie poparł.

— To naprawdę nie ma znaczenia, gdzie ja jestem, Roza — rzeki. — Uważam, że to miejsce jest tak samo dobre jak każde inne. A pożytku ze mnie nie ma i tak nigdzie.

Nanny przez cały dzień nie było w domu. Pomagała teraz w kuchni The House i bardzo się z tego cieszyła. Uważała za niezwykle wyróżnienie, że to właśnie ją pani wybrała. Wracała do domu wieczorami podniecona, z wypiekami na policzkach.

Nic nie wiedziała, że Roza i Peder mają takie zamiary, dopóki Peder nie poprosił o pomoc przy wynoszeniu łóżka i skrzyni z kuchni. Hans poszedł za nim, nie patrząc na matkę. Chłopiec wstydził się, że wiecej niż matka o tym, co się w domu dzieje, a nie chciał jej pokazać, ile wie. Sztukę ukrywania się przed sobą nawzajem opanowali w tym domu do perfekcji, choć mieszkali w takiej ciasnocie, że wystarczyło wyciągnąć rękę, by dotknąć kogoś drugiego.

- Wyprowadzacie się? — spytała Nanna, jakby się ocknęła z głębokiego snu. - Zamierzacie się wyprowadzić? Tak po prostu?

- Tu jest za ciasno dla wszystkich - odparła Roza krótko. Ciągnęła to, co zaczął Samuel. Nie lubiła się w tej roli, ale nie potrafiła zachowywać się inaczej. — Peder znalazł dla nas dom w osadzie. Ma do tego prawo. Oboje mamy do tego prawo. Tutaj naprawdę byłoby trudno, zwłaszcza kiedy dziecko przyjdzie na świat...

Nanna przyjęła to do wiadomości. Nikt nie pytał jej o zdanie. Nikt jej zawczasu o niczym nie informował. Ale przecież rzecz nie jest tak całkiem nieoczekiwana, Roza taka jest. Nanna mogła tylko patrzeć, jak Peder wynosi pięknie rzeźbione małżeńskie łóżko. I patrzeć na plecy córki, która opuszcza dom swego dzieciństwa.

Roza się nie obejrzała.

Rozdział X

Nawet nie marzyłam o czymś takim. Dwa pokoje takie czyste, że słoje wyraźnie widać na deskach wyszorowanej do białości podłogi. Ta, która tu przedtem mieszkała i nazywała to miejsce domem, wiedziała, jak się posługiwać szczotką i piaskiem. Mąż utracił możliwość zarobkowania na chleb, ale ona zostawiła dom czystszy, niż go zastała.

Peder cierpiał z powodu Rozy. Jej marzenia miały przecież zupełnie inne kształty. Zagroda w Mattisdalen mieniła się innym blaskiem, kiedy Roza budowała ją w myślach. Widziała tamten dom pod przymkniętymi powiekami. Nic, czego można by dotknąć, ku czemu wyciągnąć rękę, ale mimo to pełen życia. A na czym się skończyło? Nietrudno było umeblować ich nowy dom. Posiadali łóżko i rosyjską skrzynię. W izbie zastali piec, ławę i stół pod jedną ścianą oraz cztery krzesła, które zdążyły się przyzwyczaić do innych ludzi, które chwiałały się i skrzypiały jakby ze skargą, kiedy obcy próbowali na nich siadać. Obcy ciężar, nieznanymi ciałami. Nawet martwe przedmioty wiedzą takie rzeczy.

- No to jesteśmy w domu - powiedział. Chłopski syn odczuwał spokój, kiedy zamknęli drzwi i znaleźli się z Rozą tylko we dwoje w niskich izdebkach. - Zaraz napali się w piecu i będzie ciepło.

Peder nie nazwał domem żadnego miejsca na ziemi od czasu, kiedy opuścił ten pierwszy, dom swojego dzieciństwa. Dla niego był w tej nazwie jakiś uroczysty ton, coś sakralnego. Coś, co poruszało w nim najdelikatniejsze struny. Co wabiło niczym leśna czarownica, huida z rumieńcami na twarzy i obietnicą letniej nocy we wzroku. Pragnął, by Roza odczuwała to samo.

Dołóż do pieca, mężu. - Jej oczy miały w sobie radosny błysk, który przypominał mu strumienie w rodzinnych stronach. Nie północne potoki, te są większe i głośniejsze. A strumyki tam, skąd pochodzi Peder, potrafią śmiać się tak jak teraz Roza. Zartobliwie.

To dziwne uczucie tak siedzieć przy stole tylko we dwoje. Chleb był miękki i świeży, wchłaniał za dużo masła, które powinni oszczędzać. Dzisiaj jednak pozwalali sobie na to, wsłuchani w nieznaną jeszcze głosy swoich ścian. Zupa była rzadziutka, ale kawałki ryby duże i pożywne. Ciepły posiłek zawsze dobrze robi. Jedyne garnki, jakie posiadali, będzie pewnie często używane. Peder wolał jadać tutaj, w domu, przy stole, razem z Rozą, niż w jadłodajni. Brakowało oliwy do lampy. Nagle potrzeba tylu różnych rzeczy. Płomyk ledwie pełga, chwieje się słabiotko pod szkłem, ale chyba wytrwa jeszcze jakiś czas i będą mogli sporządzić listę niezbędnych zakupów w kopalnianym sklepiku.

Nie czuli się skrępowani nawzajem swoją obecnością, nie unikali spojrzeń. Nie bardzo jeszcze znana twarz tego drugiego budziła ciekawość i napięcie, ale chyba byłoby lepiej, gdyby Ole z nimi zamieszkał. Byłby świadkiem panującej w domu ciszy, więc musieliby się bardziej starać, żeby ją czymś wypełnić. Zdani sami na siebie mogli nic nie robić.

— Woda! - zawołał Pecier, kiedy sprzątnęli ze stołu oba talerze i garnki. Mieli tylko jedno ocynkowane wiadro, potrzeba będzie więcej. Lista będzie przeraźliwie długa, kiedy się nareszcie wybiorą do sklepu. Peder nie wydawałby tyle pieniędzy, gdyby nadal mieszkał u teścia w Samuelsborg. Jednak mimo że krążyli wokół siebie tak bezradnie, Peder czuł się wolny.

- Ja będę dbał, żeby w domu była woda - powiedział. Jego głos dźwięczał jakoś dziwnie w nowych pokojach. Może się przestraszył, że zapanuje tu na zawsze taka sama cisza jak w domu Rozy, gdzie każde wymawiane słowo musi mieć wagę. Peder chciał inaczej. Pragnął nauczyć Rozę żartować. Chciał ją nauczyć, że śmiech może mieć siłę wodospadu.

- To babskie zajęcie.

Peder stłumił uśmiech. Już zdążył włożyć kurtkę, w ręce trzymał wiadro. A ponieważ czuł się radośnie, wolną ręką pogłaskał ją po brzuchu.

- Brzemienne kobiety nie mogą dźwigać ciężarów - zawołał ze śmiechem i zostawił ją w czterech ścianach. Nie wiedział, co będą do niej szeptać, miał jednak nadzieję, że powie, iż teraz ona należy do tego miejsca. Miał też zresztą nadzieję, że sama to odczuje.

- Ludzie będą o tobie gadać, Pederze Johansen! - Mówię to nie dlatego, że on wyszedł. Ale dopóki on ze mną jest, coś mi nie pozwala mu się przeciwstawiać. Mam go słuchać i szanować. Mężczyzna jest w domu najważniejszy. Nie wiem, ilu mężów nosi wodę swoim żonom. Myślę, że nie trzeba długo chodzić do szkoły, żeby ich zliczyć. Wystawia się na pośmiewisko całej Kopalni. Będą śmiać tak samo z powodu noszenia wody, jak i z powodu tego łóżka, które dwa razy wozili przez całą osadę. Ale on się tym nie przejmuje. Uśmiecha się tylko leciutko i ten jego uśmiech mówi, że Peder wie więcej niż cały świat. To jest uśmiech człowieka, który może się przeprowadzić w każdej chwili, kiedy tylko mu to pasuje. Czasem myślę, że mógłby przemienić się w ptaka i odlecieć.

Skrzypnięcie drzwi jest nieoczekiwane.

- Dobrze się tu urządziłaś, Roza.

Wpatruję się w niego, kiedy przekracza próg. Jak mogłabym na niego nie patrzeć, kiedy wszystkie moje myśli są wciąż przy nim? W Kopalni mój wzrok zawsze go poszukuje.

- Jak ci się udało nakłonić tego głupka z południa, żeby się z tobą ożenił?

Nie rozmawialiśmy ze sobą od tamtego razu. Wiem, że był w kościele, kiedy my z Pederem braliśmy ślub. Nie widziałam go, ale czułam jego obecność. Wiem, że tam był, bo nikt nie patrzy na mnie tak jak Jens. Teraz nie czeka na odpowiedź. Dосkakuje do mnie niczym tyś. Ja wiem, jak wygiąda tyś, widziałam. Jest sympatyczny. Ma ufne, żółte oczy. Oczy Jensa są niebieskie, ale jest w nich ta sama zniewalająca ufność. Porusza się tak lekko, że nie słyszę jego kroków. W lapońskich kumagach sunie ciszej niż płatki śniegu po tej wymytej do białości podłodze, na której ja jeszcze sobie skóry z rąk nie pozdzierałam. Jest ubrany jak na tańce, na zabawę. Świąteczne spodnie, Czarna kamizelka na białej koszuli. Kurtka rozpięta. Na szyi ma czerwoną chusteczkę, zawiązaną na supeł. Niektórzy wiążą takie chustki specjalnym pierścieniem, ale Jens nie.

- No to teraz jesteś zadowolona, Roza? - pyta i pod. chodzi do mnie. Czuję jego oddech, ogrzewa mnie bardziej niż piec za moimi plecami. Suche drewno to nic w porównaniu z gorącym, jakie kryje się w tym stojącym przede mną ciele. Boże drogi, jakież on jest piękny!

- Czy on jest dla ciebie dobry, ten cały Peder? - Duża dłoń ujmuje mój podbródek. Nie pamiętam, czy kiedyś dotknął mnie tak, żeby palce znalazły się na pokrytej bliznami skórze. Teraz tak właśnie jest. Nie porusza nimi, pozwala, by po prostu leżały na moim policzku. - A może jest nawet lepszy ode mnie? Nie tęsknisz za mną, Roza?

Oddech mnie zdradza. Chcę złapać jego rękę i odepchnąć jak najdalej, ale skóra syci się jego dotykiem. Pragnę tego, pragnę, żeby trwało. Jens stoi przede mną piękny niczym bóg, uśmiecha się tak, że niebo się otwiera. Musi się otwierać. Mam wrażenie, że dach zniknął i nade mną jest tylko to otwarte niebo.

Ten jego uśmiech to uśmiech kogoś, kto wie. Jens wie, że jest pod moją skórą, że panuje nad moimi my— ślami, ponieważ on w nich mieszka. Rozpoznaje je tak, jak człowiek zawsze rozpoznaje to, co zwyczajne. To, bez czego nie potrafi żyć, co znajduje się wszędzie...

- Czy ty myślisz o mnie, Roza?

- Dlaczego pytasz?

Wzruszenie ramion jest takie obojętne. Nikt nie może się mną przejmować mniej niż on. Jego uśmiech powoli opada na moje wargi. Jens nadal trzyma mnie pod brodę. Nie dotyka mnie inaczej, jak właśnie pod brodę, tak że jego palce częściowo spoczywają na brzydkim policzku. No i usta na moich wargach. Usta i język, i ogień tak wielki, że przenika mnie całą. Całuje mnie tak długo, aż zaczynam marznąć. A ja powinnam płonąć, szarpać go palcami ostrymi jak szpony. Albo może powinnam opleść ramionami to twarde, niechętne ciało i błagać, żeby został. Ale pocałunek stygnie, przemienia się w lód. Zaciskam wargi i nie słucham próśb, żeby je otworzyć. Jens puszcza mnie. Usta ma mokre od mojego języka. Jego usta są błyszczące, pojawia się na nich ten szydarczy, zimny uśmiech, wszystkowiedzący, upokarzający.

Drzwi skrzypią znajomo, kiedy wraca Peder.

Ja stoję bez ruchu, chociaż znajduję się zbyt blisko Jensa. Jakby podeszwy przyrosły mi do podłogi. Nie mogę się poruszyć. Jestem jak z lodu.

Peder czuł ciężar cynkowego wiadra. I wody. Wieczorny chłód kąsał go w kark. Jesień była zimna. Sztormy nie ustawały. Teraz też wiatr dał mu w plecy. Peder myślał o Rozie. Wszedł do domu i zamknął drzwi przed wiatrem. Nie uronił ani jednej kropli wody. Postawił wiaderko na ławeczce. Kusiło go, żeby tak zostać, przeglądać się w tafli wody i odwlekać chwilę, kiedy będzie w końcu musiał spojrzeć Jensowi w twarz. Do diabła, jak zrozumieć tę dziewczynę! Ostatnie, czego by się spodziewał, to to, że wejdzie do domu wprost na pocałunek Rozy i Jensa.

- Wstąpiłem na chwilę - powiedział Jens z szerokim uśmiechem na wargach jeszcze wilgotnych od jej pocałunku. — Słyszałem, że się przeprowadziliście. A starych znajomych trzeba odwiedzać, no nie, Peder. Jak najprędzej. Ale na kawie nie zostanę...

Szedł ku drzwiom, nie spuszczać wzroku z Pederem cała jego postać była rozbawiona. Było coś wesołego, coś jakby zbyt młodego w tym ciele, które przyczyniło Rozie tyle bólu.

- Najwyraźniej dostałeś już poczęstunek - powiedział Peder. On też nie odwracał wzroku. Jest tu przecież gospodarzem.

— Nie oczekiwałem pełnej obsługi - zapewnił Jens.

Peder udął, że nie rozumie dwuznaczności.

— Zdawało mi się, że jesteś w Rafsbotn. Słyszałem, że nająłeś się tam na parobka.

Jens zachichotał.

- Ale sobotę w Kopalni to mi chyba wybaczysz?

Peder nie potrafiłby wybaczyć Jensowi niczego. Zadnej rzeczy na świecie.

- Do was do domu to by ten diabeł nie przyszedł - powiedział później do Rozy z sercem pełnym najczarniejszych uczuć. - Do twego ojca zawsze odnosił się z respektem, nawet teraz, kiedy z Wielkiego Samuela zostało pół chłopca. Ale tutaj przylazł zaraz pierwszego wieczora.

Tyle się ze mną liczy!

— To nie jest tak, jak...

- To twój brat jest ślepy, nie ja! - Peder mówił ze wzburzeniem w głosie. - Ja mam oczy, Roza, i widzę. A widziałem, kiedy otworzyłem drzwi, że ten diabeł całuje cię pośrodku naszej kuchni. Nie mów mi, że widziałem co innego, że to dyrektor zaszedł, żeby życzyć ci wszystkiego najlepszego na nowym miejscu. Nie jestem idiotą Roza...

- To był Jens - powiedziała cicho. - Całował mnie.

Teraz poszedł.

Peder westchnął.

- On nie może tutaj przychodzić, żeby sprawiać ci ból - rzekł i podszedł do niej. Objął jej plecy i patrzył w te same drzwi, od których ona nie odrywała oczu. Drzwi jednak pozostały zamknięte.

Roza stała w jego objęciach niczym pień brzozy. A pod powiekami trwało tamto mgnienie, kiedy dygotała niczym osikowy liść na samo dotknięcie mężczyzny, który nigdy w życiu nie poświęcił jej ani jednej życzliwej myśli.

- Drzwi, które można zamknąć - powiedział Peder z goryczą. Nie zdjął jeszcze grubych butów. Stukały i zostawiały ślady na białej podłodze z każdym jego krokiem. Zaciśkał pięści w kieszeniach spodni. W złości o mało nie porzucił szwów. - Głupio wyszło, no nie? Bo teraz mamy już drzwi, które można za sobą zamknąć. Tylko co to, do cholery, da, jeśli ty nie masz do- syć rozumu, żeby przekręcić w nich klucz albo zamknąć skobel? Przecież to nie takie trudne. Nie musisz wpuszczać do naszego domu byle kogo. Czy nikt ci nie powiedział, że nie musisz go wpuszczać? — Peder mówił o czymś więcej niż drzwi, próg i cały ten dom, ale w poczuciu przyzwoitości nie mógł wyrażać się dosadniej. Nie znał aż tak dobrze tej kobiety, z którą się ożenił.

- On po prostu wszedł...

Peder wiedział, że ona też mówi o czymś więcej niż ta wizyta, którą dopiero co mieli. Roza opowiadała mu historię swoją i Jensa. Cztery słowa, które mogły spływać i spływać do jego duszy i nigdy nie dotrzeć do dna. Wypływały bowiem z ciemności w jej duszy.

- Czy to zawsze tak jest? — spytał Peder i usiadł na jednym z krzeseł. Palce zaczęły z wolna rozsznurowywać buty.

- Teraz już tak nie będzie - oznajmiła Roza.

Peder słyszał wolę w jej głosie. I wierzył w to, co powiedziała. Pragnął, by jej się to udało, chociaż brzemień było cięższe, niż mogli sobie wyobrazić. Peder poznawał jej dobroć.

Przeznaczoną dla niego. Odnajdywał odbicie swoich uczuć w jej słowach. Może to już jest coś, na czym można by zbudować życie?

- A przedtem, Rozo? - spytały jego usta. - A przedtem... tak właśnie bywało? On po prostu wchodził. Tak bez niczego?

Jej niebieskie oczy zrobiły się wielkie, kiedy na niego patrzyły. Zdziwione jak spojrzenie ptaka. Spojrzenie pisklęcia. Peder nie był w stanie obronić się przed tymi oczyma. To było wszystko, co widział.

- A czy to nie tak bywa? - rzuciła Roza.

Peder widział ją taką, jaka stała przed nim pośrodku izby, w spranej niebieskiej sukni okrytej fartuchem i szczelnie zapiętej pod szyją. W izbie było tak ciepło, że zdjęła kurtkę.

Piękna i zarazem oszpecona, taka właśnie była jego Roza. Tak oszpecona, że wielu bało się na nią spojrzeć. Taka brzydka, że jej ojciec wierzył, iż zostanie z nim do końca jego dni, bo nikt jej nie zechce. Rallarrosa, która jakoby rosła pod ścianą domu w Samuelsborg. Ale ona zamiast tego stała się Rallar-Rozą. Kobieta, nie kwiatem. Przemykała się pod ścianami z bali i inne oczy na nią patrzyły. Znalazły ją obce ręce.

- To może też być inaczej, Roza - zapewnił i postawił buty w odpowiedniej odległości od pieca. Dobra skóra pęka, kiedy ją zostawić za blisko ognia.

Może zrozumiała. To ona zasunęła skobel w drzwiach wejściowych, a potem jeszcze przekręciła klucz. Podwójna pewność. Podwójne zabezpieczenie.

- To mi pokaż! - poprosiła.

Peder miał dwadzieścia dwa lata, ale powinien posiadać doświadczenie niejednego życia, żeby się odważyć wkroczyć na taki chwiejny lód. Było to bardzo ważne, bo przecież Jens mógł w każdej chwili wejść do ich izby i zostawić brudne ślady na podłodze. Roza podwójnie zamknęła drzwi - przed Kopalnią i przed Jensem. Peder wiedział, że teraz nie wolno mu myśleć o żadnych wcześniejszych doświadczeniach. Nie mógł wyjść jej na spotkanie z myślą o jakichś innych kobietach; nie wolno widzieć innej twarzy gdzieś poza nią. Nie może myśleć o niej i o jakiejś innej.

Roza miała najbardziej niebieskie oczy na świecie. Lampa była przykręcona wystarczająco, by rzucać bezpieczny cień na jej twarz. Płomień rudych włosów ściemniał i przypominał teraz rdzę, korę drzewa lub dobrze wygarbowaną skórę. Światło potrafi działać cuda, oszukiwać wzrok tak, by dostrzegał życie w cieniu. Odwielka miłość ani ból serca. Przecież nie dlatego zaproponował jej małżeństwo i z otwartymi oczyma wkroczył we wspólne życie z nią. Chciał być dla niej dobry.

Roza nie wzięła wyciągniętej ręki, ale podeszła do niego, wahając się, niepewnie, z niezgłębionymi niebieskimi oczyma.

— Nie jestem katem — powiedział Peder cicho. — Nic ci z mojej strony nie grozi. — Nie odważył się dotknąć jej lewego policzka. A przecież byłoby naturalne, gdyby to zrobił.

Książę z bajki by się nie wahał. Książę przesunąłby koniuszkami palców po uszkodzonej skórze i uzdrowił ją. To istnieje tylko pierwszy raz. Roza nie zauważyła, by coś w niej go odpychało. Nie tym razem. Lepiej nie okazywać zbyt wielkiej odwagi. Naprawdę dużo lepiej odłożyć owo niebezpieczne dotknięcie na później. Kiedy ona nie będzie już tak bardzo sprawdzać jego zachowania. Mierzyć go tymi niebieskimi, letnimi oczyma.

— Pocałuję cię - powiedział i dotknął tego drugiego policzka. Przytknął do niego dłoń, czuł ciepło skóry i wańczy z chęcią zamknięcia oczu, by móc wierzyć, że jest tylko piękna. —

Pocałuję cię, Rozo. Ufam, że nie masz nic przeciwko temu...

— Ja... nie mam nic... — odparła.

- Chcę być dla ciebie dobry - mówił. Słowa padały wolno. On naprawdę tak myślał. Pragnął tego, ale szedł naprzeciw ciemności, której nie znal. Roza jest kobietą. Nie chciał za nic, aby to był jedyny powód, dla którego jej pożąda. Bo wtedy stałby się jednym z tamtych. Coś zwierzęcego jest w pożądaniu usprawiedliwionym jedynie przez ciało i tylko ciało

zaspokajającym. On pragnął być czymś więcej niż zwierzęciem, nie chciał poniżyć Rozy. Są myśli, których trzeba się wstydić, ale płomień pali się tak samo. On jest jej mężem, ma do niej prawo, Roza jest jego. Dziecko, które nosi, ma być jego. Teraz on żądał tego, co mu się należy, i nie ma powodu, by wywoływało to w nim wyrzuty sumienia!

Pecier zgasił lampę. Bałam się, że ja będę musiała to zrobić. On mówi, że chce być dla mnie dobry. „Dobry” to głupie słowo, ale w ustach Pедера brzmi pięknie. Chciałabym wiedzieć, co Peder ma na myśli.

Nic nie widzę, pozwalam się prowadzić do izby sypialnej. Jest tam ciemno, a powietrze co najwyżej letnie. Chłodzi mokre ślady pocałunków Pедера. Chłodzi skórę, którą odsłonił. Chłodzi miejsca, w których jego dłonie zostawiły obcy niepokój. Łóżko znamy. Oboje. Peder się spieszy. W jego gardle tuż pod powierzchnią czai się śmiech. Jest podniecony, jego ręce są w nieustannym ruchu.

Gdzie on się nauczył tak zręcznie odpinać guzikibluzki? Jego ręce są takie duże. Rozprawia się z moimi spódnicami tak szybko, że nie mam wątpliwości, iż zna kobiece ubrania nie tylko z widzenia. Pochyliła się nade mną, jego oddech jest pełen życia. Przywodzi na myśl stadko jagniąt baraszkujących w słońcu, niezdarne, potykające się, ale zdecydowane... Jego ciało jest lżejsze, niż mogłam przypuszczać. Znaczną część tego ciężaru przenosi na jedno swoje kolano. Uciska moje udo. Od- czuwam to dość nieoczekiwanie. Jego ręce przesuwają się po mnie. Skradające się, zwinne, lekkonogie zwierzęta. Szukają i szukają, aż chce mi się krzyżeć i pytać, czy wkrótce nie znajdzie tego, czego szuka.

Jego wargi spadają namoje piersi jak deszcz późnego lata, czuję je na szyi, na prawym policzku. Całuje moje wargi, a ja odpowiadam na ten pocałunek niczym echo. Tak powinno być. Ja jestem jego instrumentem. On nadal szuka. Szuka.

Krzyk narasta w mojej krtani. Płacz zbiera się z tyłu za oczyma, ale nie zamykam ich przed nim, więc się o tym nie dowie. Czuje pewnie, że drzę, ale chyba nie wierzy, że odpowiadam na jego drżenie. On myśli, że to radość zapala we mnie pierwsze iskry. Albo może ogień, który ogrzeje chłód w moich łądźwiach.

Peder ma mnóstwo czasu, bywa powolny i bywa nieobliczalny. Ogrzewa moją skórę oddechem, który po- tern unosi się jak obłok, a ja marznę. Daje mi poznać cały swój ciężar, ale nadal jest lżejszy, niż myślałam. Jest teraz rozgrzany, jakby biegi. Jest ciepłem, ciężarem i skórą. Kładę ręce na jego nagiej skórze. Przesuwam je tak, jak on to robił. Przychodzą mi do głowy dziwne słowa. Peder jest wędrowcem, odkrywcą... Muszę pamiętać, że to jest Peder. Jego ciepło wypełnia moje członki. On jest ciepły, zaspokojony i spocony. A ja obejmuję jego barki ileżę bez ruchu. Jestem spokojem. Tak jak on. Ciężki spokój. Jestem jego odbiciem, a jemu się to podoba. Jego oddech też jest spokojny. Nie rozmawia ze mną. Nie rozmywa niczego w słowach i tak jest dobrze. To jeszcze jedna jego cecha, którą lubię. Kiedy się ze mnie zsuwa, okrywam kołdrą nas oboje. Leżę spokojnie. Tuż przy nim, ale go nie dotykam. Wsłuchuję się tylko w jego oddech. Słucham cichutkich westchnień, które mówią mi, że jest zadowolony. Wygiąda na to, że zasnął, budzi to we mnie wielką czułość. Jednak ja długo jeszcze będę czuwać, aż Peder zaśnie naprawdę głęboko...

W niedzielę nie zachowywali się inaczej niż zwykle. Jakby światło dnia odsunęło nocne wydarzenia w niepamięć. Peder pamiętał wszystko, co się stało w ciemnej izbie, ale nie mówił o tym. A Roza chodziła po kuchni, jakby w ogóle nic nie pamiętała. Ranek był dziwny. Niedziele w Samuelsborg miały swoje reguły, nigdzie wprawdzie nie spisane, ale wypełniane co do joty. Po śniadaniu Samuel zbierał całą rodzinę i czytał Biblię.

- Nie mamy Biblii - powiedziała Roza, kiedy posprzątała ze stołu. — Brakuje mi tego - mówiła, patrząc przed siebie. - Myślałam, że to niemożliwe, żeby komuś brakowało niedzielного czytania, a jednak tak jest. Nogi mi drętwiały, kiedy tak stałam przed ojcem i myślałam, jak to będzie pięknie, gdy dorosnę i ucieknę od tego. A teraz tęsknię za niedzielnym czytaniem ojca. Musimy kupić Biblię, Peder.

- Możemy co niedziela chodzić do twojego ojca - zaproponował Peder. - On by się z tego cieszył...

- On by powiedział, że mam własny dom, w którym mogę się modlić - odrzekła Roza twardo.

- Kiedy tak teraz o tym myślę, to widzę, że lubiłam to czytanie. Było częścią niedzieli. Chcę, żebyś ty też czytał...

Peder nie wyznał jej, że ma Biblię oprawioną w skórę, do której z pokolenia na pokolenie wpisywano wszystkich członków rodziny. Daty narodzin i śmierci odnotowywane z największą starannością. Razem osiem pokoleń, które żyły i kochały Ziemię przodków. Wpisywano też śluby, tak aby ten, kto żył na gospodarstwie, wiedział, skąd się wziął, czyja krew płynie w jego żyłach. Peder był z dziewiątego pokolenia. Ostatnie nazwisko.

- Kupimy Biblię - obiecał, słowem nie wspominając o tej, którą posiadał. To jego dziedzictwo. Zabrał ją, kiedy wychodził z domu. Wziął, bo należała do niego. Ziemia też miała być jego. To nie była kradzież.

Niedziele w Kopalni miały swoje zwyczaje. Święto można wykorzystać na wiele sposobów. Ręce może nie wypoczywały tyle, ile wymaga Pismo, ale ci, którzy całe dni spędzają we wnętrzu góry, znajdują wypoczynek we wszystkim, co w niedziele dzieje się w blasku dnia. Peder i Roza uzgodnili, czego potrzebują na początek. Było tego, oczywiście, mnóstwo, ale przecież nie wszystko trzeba zdobyć od razu.

W sklepie zastali kolejkę. Ustawiała się jeszcze przed szóstą, kiedy to otwierano drzwi, i nie kończyła aż do wieczora. Każdy czegoś potrzebował.

Roza nie lubiła tak stać w tłoku, między innymi ludźmi, ale nauczyła się nie zwracać uwagi na podchodzących za blisko. Słyszała szepty, rozpoznawała brzmienie swojego imienia w słowach krążących wśród kobiet. Mogłaby powtórzyć te rozmowy dokładnie, chociaż ich nie słuchała. Peder stał przy niej niczym ściana.

On się nie bał ludzkich spojrzeń. Był w tej gromadzie najwyższy, głowę trzymał prosto.

Jednym ramieniem obejmował Rozę, a ona mu na to pozwalała. Peder pokazywał coś tym ludziom i Roza była mu za to wdzięczna. Wstydziła się bardziej za siebie niż za niego.

Nikt nie powiedział im złego słowa prosto w oczy. Kupili mąkę, masło i kawę. Sól i dzbanek piwa. Kawalek solonego mięsa. I syrop, bo Peder bardzo lubi słodczyce. Roza śmiała się z niego. Nie byli zgodni, czy to naprawdę niezbędne, ale taka była jego wola i Roza pozwoliła mu robić, co chce. Syrop nie kosztuje majątku, a on miał taką smutną minę, kiedy powiedziała, że to niepotrzebne. Dobrze było wiedzieć, że ucieszyła go tym zakupem. Coś, co wydaje się zbędne, staje się może niezbędne, by człowiek poczuł się człowiekiem. Nie zawsze trzeba się kierować wyłącznie rozsądkiem. Peder też działał pod wpływem impulsu. Całkiem bez powodu zatrzymał się przy tkaninach. Uniósł w palcach kwiecistą chustkę z frędzlami. Materiał był bardziej miękki niż włosy Rozy, a kwiaty na białym tle były niemal takie malinowoczerwone jak kwiaty owej rallarrosy, po której otrzymała imię. Peder widział, że wzrok Rozy zatrzymuje się na kwiatkach. Ze potem przesuwa się dalej, niczym opity nektarem trzmiel. A potem wraca i znowu umyka onieśmielony. Nie powiedział ani słowa kiedy brał chustkę, a potem zapłacił za nią przy ladzie i zabrał razem ze wszystkimi zakupami. Roza nie robiła mu wymówek. Powinien wiedzieć, że uważa go za trzpiotą, ale też że docenia jego gest i wie, jaki pożytek jest z tego, bez czego można by przeżyć. Dopiero kiedy znaleźli się na dworze, poza zasięgiem uszu stojących w kolejce ludzi, powiedziała:

- Za tę chustkę można by wykarmić wiele gąb, Peder.

- Ta chustka jest zrobiona dla ciebie, Roza, Frędzle świetnie pasują do twoich włosów. A kwiaty to przecież twoje kwiaty-imienniczki. Naprawdę nie byłoby sensu, gdyby miały zdobić inne ramiona. Moim zdaniem ona aż się prosiła, żebyś ją kupiła, a skoro ty nie chciałaś słuchać, musiałem ja, twój mąż, okazać rozsądek i zrobić to, co trzeba. Ta chustka została przeznaczona dla ciebie i teraz jest twoja.

Roza śmiała się, ponieważ Peder zachował się nieodpowiedzialnie i ponieważ było w tym coś bardzo pięknego. Już dawno nie śmiała się w niedzielę. Szła lekkim krokiem, niemal tańczyła. Prawdziwy chód młodej dziewczyny. Nikt nie dawał jej prezentów, na dodatek tak całkiem bez powodu. Prezent od Pedera nie miał żadnej przyczyny. Nie było w tym ukrytej myśli.

- Uważam, że powinnaś włożyć tę chustkę dzisiejszego wieczoru, Roza.

Musiał to powtórzyć dwa razy, bo chociaż Roza słyszała, co mówi, to nie docierało do niej znaczenie jego słów.

- Kochana Rozo, nie myślałaś chyba, że będziemy siedzieć w domu, skoro jest niedziela i są tańce!

Roza nie pamiętała, że ktoś organizuje tańce. Dzieci Samuela nie chodziły na zabawy. Roza nigdy tak naprawdę nie była w sali tanecznej, bywała jednak pod oknami.

- Ja nie umiem tańczyć...

— Głupstwa! — roześmiał się ten, który należał do dziewiątego pokolenia rodziny, w której skrzypki były cz”mś więcej niż tylko ozdobą na ścianie. Mężczyźni w tej rodzinie gotowi byli zedrzyć podeszwy w tańcu, jeśli ktoś wpadł na pomysł wyzwać ich na pojedynek - Moja

Rozo, wszyscy umieją tańczyć! - Mówił takim ra dosnym głosem, szedł takim lekkim krokiem, że znowu zaczęła się śmiać. Peder był tego dnia jak czarodziej. Wszystko zyskiwało blask. I Roza zaczynała wierzyć, że niedziele mogą takie być. Peder przekonał ją, że niedziele są dla tych, którzy chcą tańczyć i nosić na ramionach piękne chustki.

— Nie stać nas na to — próbowała się gniewać.

- Osiemnaście szylingów! - prychnął Peder. - Dwanaście za mnie i sześć za ciebie, bo ty pijesz mniej piwa niż ja. A nie masz ochoty na gorącą czekoladę? W takim razie byłabyś jedyną kobietą jaką spotkałem, która odmawia. A nie masz ochoty, żebym ci pokazał, jak się tańczy?

Peder miał taki szelmowski uśmiech, że mu wierzyła. Wierzyła, że potrafi to tak samo dobrze jak on. Wierzyła, że tak może być.

Rozdział XI

Roza szła z największą niechęcią. Wiele trudu kosztowało Pedera przekonanie jej, żeby włożyła świąteczne ubranie i narzuciła na ramiona nową, kwiecistą chustkę, która była jak Haga w bieli i purpurze, roziskrzona czerwienią kwiatów. Musiał ją prosić niemal na kolanach i był pewien, że ustąpiła tylko dlatego, iż ściągnął brwi i nie mogła się domyślić, czy jest zły, czy przejęty.

Poszła w końcu, ale nieustannie rzucała wokół siebie ukradkowe spojrzenia, jakby szukała jakiejś kryjówki. Roza krępowwała się, że jest taka okropnie wystrojona i widoczna, a Peder wciąż się z niej śmiał. On uważał, że wygląda pięknie. Powtarzał to wiele razy. Był pewien, że ona się boi, bo nie umie tańczyć, nic więcej. Roza życzyłaby sobie mieć takie pogodne usposobienie jak on.

Niedzielne tańce były czymś normalnym. Odkąd otwarto kopalnię, robotnicy, ich rodziny i mieszkańcy okolicznych wiosek zbierali się w niedzielne wieczory, żeby pogadać, potańczyć i zapomnieć o gorze i jej wnętrzu. Zabawa trwała jakieś cztery, pięć godzin i było potem co wspominać przez cały ponury tydzień spędzony w siarczanym zaduchu, w ciasnych i ciemnych sztolniach. Sala taneczna znajdowała się w pobliżu The 1-louse, tak blisko, że zebrani widzieli wyraźnie dyrektorski dom, wypielegnowany ogród nad potokiem i podjazd w

kształcie ślimaka przed głównym wejściem, ale nie na tyle blisko, by dyrektor i jego małżonka byli w jakiś sposób niepokojeni rozrywkami swoich pracowników. Teraz panowie z dyrekcji napomykali o budowie dużego lokalu dla robotników. Budynku, w którym ludzie będą się spotykać nie tylko na niedzielnych tańcach, lecz także w innych sprawach.

Roza zwykle unikała patrzenia na The House z zazdrością, bo dobrze wiedziała, że nie urodziła się dla takiego luksusu, jaki panował za drzwiami tego budynku, ale wspaniałość The louse onieśmiała ją tak, że nie była w stanie dłużej zatrzymać na nim wzroku. Jeśli raz się zacznie patrzeć, to potem nie można przestać myśleć.

Tańce trwały już ze dwie godziny i przy każdym otwarciu drzwi na zewnątrz wylewał się gwar głosów, śmiechy i muzyka harmonii. W środku było tak gorąco, że co chwila ktoś musiał się wietrzyć. Tańczące ciała i brzożowe fajki wytwarzały ciepło i zaduch. Peder zapłacił przepychał się naprzód, trzymając rękę Rozy w swojej. Ona sunęła za nim niczym żagiel, ale puścić jego ręki nie mogła. Nie miała odwagi. Na rozlegające się wokół nich śmiechy Peder także odpowiadał śmiechem. Z nim wszystko wydawało się łatwe. On niczego nie brał dramatycznie. Mężczyźni klepali go po ramieniu, gadali jakieś głupstwa, jak to oni, a Peder raz po raz wybuchał śmiechem. Roza podążała za nim, widziała tylko plecy. Słyszała rozmowy i śmiechy, wznoszące się i opadające fale dźwięków. Płonęły jasne światła, a dym z fajek unosił się do sufitu. Wszyscy mężczyźni palili. Przynajmniej ci, których widziała.

Znajome twarze. Nieznajome. Każda z brzożową fajką w kąciku ust. Peder pociągał Rozę za sobą między stłoczonymi ciałami, między luźnymi roboczymi bluzami i kaftanami z samodzielnego płótna. Szeroki uśmiech nie schodził mu z twarzy. Jasnobrazowa grzywka opadała na czoło, niemal zakrywała oczy. Roza miała nadzieję, że kobiety nie będą plotkować, iż nie ostrzygła mężowi włosów. Wstyd to ostatnie, czego chciałaby przyczynić Pederowi. Zasługiwał na coś lepszego. Teraz obie dłonie trzymał na ramionach Rozy. Uśmiechał się bezustannie i coraz bardziej, Roza nie bardzo to rozumiała.

- Zatańczymy, żono? - zapytał i pociągnął ją mię. dzy tych, którzy już się nie zastanawiali, czy umieją tańczyć, i oddawali się rozrywce całą duszą. Takich chwil było nad KMjorderi bardzo mało. Wolne od pracy godziny trafiały się w tygodniu rzadko. Peder prowadził Rozę, zanim zaczęła protestować. Prowadził ją pewnie, obejmował ramieniem w taki sposób, żeby nikt jej w tej ciżbie nie potrącał. Jego nogi poruszały się swobodnie, ale bardzo pewnie. Cały był tylko ruchem i uśmiechem. Nie ulegało wątpliwości, że Peder to urodzony tancerz. Trzymał Rozę tak, że właściwie nie miała możliwości popełniania błędów. Nie musiała myśleć, gdzie postawić stopy, wystarczyło podążać za nim i słuchać muzyki.

Zaczynało jej się kręcić w głowie. Miała ochotę się uśmiechać. Miała ochotę się śmiać. Pragnęła wirować po- śród tych dźwięków, aż świat się wokół zakręci i nie będzie mogła ustać na nogach. Peder widział, że taniec jej się podoba, że nie chce przestać. Kiedy muzyka milkła. przytulii ją mocno do siebie, ukrywał w swojej samodzielowej kurtce. Sprawy ułożyły się inaczej, niż oczekiwał, ale nie gorzej. Mają teraz coś, co należy wyłącznie do nich. Jak zwykle na górniczych zabawach panował spokój. Mimo wszystko wejście na salę oznaczało koszty, nikt też za darmo nie dostawał poczęstunku. Ktoś, kto chciał się bawić przez cały czas, musiał się liczyć z wydatkiem paru szylingów. Pito kawę i czekoladę oraz chłodne pi. wo. Wódki nie podawano, nie pozwalano też przynosić własnej. Wszyscy wiedzieli, że przyłapany na czymś podobnym ściągnie na siebie wstyd, a dodatkowo zapłaci karę. Zresztą ludzie niechętnie patrzą na takich, co chcą zepsuć cenioną przez nich rozrywkę. Wszczy.. nanie awantur na zabawie mogło drogo kosztować.

Roza miała blask w oczach i nie pamiętała, by lewy policzek odwrócić do ściany. Trzymała w dłoniach filiżankę czekolady i śmiała się z czegoś, co mówił Peder. On traktował to jako swoje zwycięstwo. A więc skorupę Rozy można skruszyć! A pod spodem jest delikatna i przyjazna. Dobrze było patrzeć na jej uśmiech. Kryła w sobie naprawdę wiele niespodzianek.

Stłumione szepty towarzyszyły im od chwili, gdy tu weszli, ale Peder nie spodziewał się, że będzie inaczej. Dziwiłby się raczej, gdyby nikt nic nie mówił. Roza też przyjmowała to znakomicie. Była to teraz całkiem nowa Roza z wąziutkim śladem czekolady na górnej wardze. Ta Roza wywoływała najdelikatniejszy uśmiech, jaki Peder w sobie miał.

On się śmieje ze mnie. Filiżanka jest niemal pusta, kiedy zdaję sobie z tego sprawę. Jego oczy rzucają na mnie blask, widzę siebie w tych oczach. Jego uśmiech zmienia się w chichot. Na ten widok ciskam w niego bez słowa filiżanką. Wciąż jest w niej trochę gorącej czekolady. Nie patrzę, gdzie trafiłam. Nie zostanę tu ani chwili dłużej. Wyobrażam sobie, że on wyciąga ręce, że udaje mu się zasłonić.

Muszę wyjść. Dłużej nie zniosę obecności tych ludzi. Wszędzie ich pełno! Usuwają się przede mną. A ja biegnę prosto przed siebie. Nie wiem, kim oni są. Nie widzę żadnych twarzy. Widzę tylko samodziiałowe kaftany i damskie bluzki. Ponad sobą słyszę krzyki odsyłające mnie do diabła. A ja chcę im odkrzyknąć, że nie powinno się przeklinać w niedzielę.

Na dworze jest chłodno. Czoło mam gorące i spocone, czuję pot spływający po plecach. Jak zimny palec przesuwający się wzdłuż kręgosłupa. Opieram się o futrynę drzwi i przestaję o czymkolwiek myśleć.

Peder nie zdołał się zasłonić przed filiżanką. Złość Rozy wybuchła bez powodu, z niczego. Stał teraz z brunatną plamą na koszuli i w dalszym ciągu nie rozumiał żony.

Jakieś kobiece ręce odciągały materiał od ciała, żeby go nie parzyło, zanim sam zdążył się zorientować, co się stało. Ktoś zbierał z podłogi kawałki rozbitej filiżanki. Wszyscy milczeli, zaciskając wargi, i spoglądali po sobie porozumiewawczo. Muzyka znowu zaczęła grać.

Znowu stopy wybijały rytm po drewnianej podłodze.

— Koszulę trzeba natychmiast przepłukać!

- Do zimnej wody!

Wszyscy mieli jakieś dobre rady. Współczujące ręce klepały go po włosach, po barkach, po piersiach. Musiał rozpiąć koszulę, by schłodzić skórę, na którą się wylał gorący płyn.

Najbardziej uważni dostrzegli pęcherze na skórze.

- Potrzebny jest zimny okład.

Peder słuchał tego z uśmiechem. Wzrokiem szukał

Kozy. Nigdzie jej jednak nie znalazł. Jensa też nie. Dobre rady mogą sobie poczekać.

Wybiegł z sali, oszołomiony, niespokojny o nią. Na schodach nikogo. Jego wzrok błądził w mroku między zabudowaniami. W dół do fiordu i nabrzeża. To idiotyczna myśl, on jednak wiedział, jaki fiord jest tutaj głęboki. Już miał zbiec na dół, kiedy z mroku wyłonił się Jens.

Jego twarz wykrzywił szyderczy uśmiech, szerszy niż Pecier kiedykolwiek u niego widział.

- Ale rozgrzewa chłopów ta twoja baba! - powiedział Jens.

- Zamknij gębę, ani słowa o niej! — warknął Peder.

- Czekolada stygnie szybko - oznajmił tamten. - Ale to, co ona robi teraz, może potrwać dłużej...

Peder złapał go za gardło, zanim Jens zdążył skończyć. Palcami przebijał niemal na wylot ubranie rywala.

- Co chcesz mi powiedzieć? Co zrobiłeś Kozie? Przysięgam, że cię zabiję, Jens, jeśli zrobiłeś jej coś złego!

Srniech Jensa doprowadzał go do szaleństwa. Ciemniało mu w oczach. Pchnął przeciwnika na ścianę sali tanecznej. Tłukł nim o bale rytmicznie, za każdym razem słyszał głośne uderzenie, kiedy głowa Jensa trafiała w drewno. W normalnej sytuacji Jens by się bronił. W normalnej sytuacji Jens byłby silniejszy od Pedera, teraz jednak Pecier był taki wściekły, że nikt by go nie pokonał. Jens mrugał bezradnie oczyma, a Peder nie przestawał tłuc. Bił i bił otoczony mgłą, która raz była bardziej czerwona, innym razem znowu bardziej niebieska. Gorąca krew pulsowała mu w skroniach. W piersiach czuł zimno. Jensa uratowali ludzie, którzy wybiegli z

sali tanecznej. Uratowali też Peciera. Kiedy schwyciło go trzech chłopów, musiał się poddać. Mgła przed oczyma się rozproszyła. Widział, jak odnoszą gdzieś Jensa.

— Powinien trafić do szpitala...

Peder pochylił głowę. Już nie był zły. Rozpoznał swoich towarzyszy i był im wdzięczny za to, co zrobili.

- Do cholery, on zasłużył na solidne lanie - zauważył jeden z nich. - Prosił się o to od wiosny. Zrobiłeś tylko to, co ojciec albo brat powinni byli zrobić dawno temu.

- On ma trochę za bardzo bezczelne oczy, jeśli chodzi o kobiety - powiedział ktoś inny.

— I za bardzo niecierpliwe ręce — dodał trzeci.

Peder zgadzał się z nimi, ale to niewiele pomogło.

- Zapomniałem się - rzekł niepewnie i poczuł, że boją go wszystkie kości. W piersiach też odczuwał ból. Żołądek skręcał mu się z niepokoju, bo nadal nie wiedział, co się stało z Rozą. Kolegów pytać nie mógł. Jedynym, który wiedział, był Jens. Prawdopodobnie poszła do domu. Miał nadzieję, że tam ją znajdzie. Towarzysze puścili go, żołądek się uspokoił.

— O ile wiem, to Jensowi nic się nie stało — rzeki któryś. - Potraktowałeś go dosyć normalnie.

- Wielu mogło mieć z nim swoje porachunki...

- Nie musisz tego brać na siebie, Peder! Co najmniej tuzin chłopów będzie ci wdzięcznych, i chętnie by ci pomogło...

- Nikt niczego nie widział — powiedział jeden z najstarszych górników. Pracował tu od chwili, kiedy Kopalnia zaczęła działać. Przybył niemal równocześnie z robotnikami z Kornwalii, pierwszymi znajdującymi się na górnictwie w tych stronach. — I trzeba liczyć na to, że Jens też nie będzie trząskał dziobem. Najwięcej osiągnie, jeśli będzie milczał, i dobrze o tym wie. Głupi nie jest!

Pederowi nie podobało się to wszystko. Nie jest przecież honorowe takie podkulanie ogona, ale z bicie

Jensa na kwaśne jabłko to też niewielki honor. Tyle że chętnie zrobiłby to jeszcze raz, gdyby było trzeba. Skinął więc w milczeniu głową. Ludzie widzieli i ludzie będą wiedzieć. Gdyby jednak coś dotarło do uszu zwierzchności, to ludzie będą milczeć. Peder nadal jest jednym z nich.

Musi odnaleźć Rozę. To nie było trudne. Po drodze do domu, w szaroniebieskim mroku spojrzął w dół ku fiordowi. I przystanął. Siedziała na nabrzeżu, na samym skraju. Uniosła głowę, zwróciła twarz ku niebu, jak w modlitwie. Księżyc schronił się za spokojnymi chmurami, jakby nie miał odwagi patrzeć. Gwiazdy jeszcze się nie pozapały. Tylko toczący się nisko nad horyzontem księżyc dawał trochę światła. Obok niej siedział ktoś, kogo Peder zdawał się rozpoznawać. To- mas miał drobniejszą i zwinniejszą sylwetkę niż większość robotników w Kopalni. Włożył na siebie skórzaną kurtkę i jedną ręką obejmował Rozę. To Tomas mówił. Roza słuchała. Była między nimi jakaś niebezpieczna zażyłość.

Czerwona mgła znowu przesłoniła Pederowi wzrok. Słyszał szyderczy głos Jensa. Niemal wyraźnie widział uśmiech tamtego. Powinien był iść do domu, ale to jest jego żona, bez względu na to, czym ta kobieta poza tym jest. Przede wszystkim jest jego żoną i musi iść z nim do domu. Już on o to zadba. Mokra plama po czekoladzie zdawała się teraz bardziej gorąca niż w chwili, gdy Roza cisnęła filiżanką. Buty zadudniły po drewnianej kei. Deski ugiwały się lekko pod jego ciężarem. Morze próbowało przemawiać mu do rozsądku, ale silniejsze sztormy szalały w jego głowie. Wzniecały niebieski i czerwony wiatr. Peder chwycił Tomasa za ramiona. Czuł tylko ten wewnętrzny żar i wiatr, który chłodził rozpaloną skórę. Z przyjemnością zanurzył palce w futrze.

- Peder, czyś ty zwariował? - Roza próbowała ich rozdzielić. Odpychała męża obiema rękami, ale Peder był jak odmieniony. Pocił się i kłął, w oczach miał szaleństwo. Roza dostrzegła, że bił się już przedtem. Ręce miał zakrwawione, skórę poodcieraną. — Peder, przestań! Słyszał ją jakby z oddali. Bliżej znajdował się Tomas z tym swoim ufnym spojrzeniem, jak u dziecka. Peder z pewnością widział, jak on się uśmiecha do Rozy, ale nie potraktował tego poważnie. Myślał, że Tomas jest dla niej kimś w rodzaju brata. No i teraz dostał zapłatę za swoją naiwność! Ale musi im pokazać, że Peder Johansen nie pozwoli wystawiać się na pośmiewisko wszystkich mieszkańców Kopalni. To- mas był niski, ale wytrzymały i zręczny. Mimo to musiał się cofać krok po kroku przed nacierającym Pederem. Ten był wyższy i z pewnością silniejszy. Peder prawie nie potrzebował używać pięści. Właściwie nie bił Tomasa. A już na pewno nie podbijał mu oczu. Nacierał jednak na niego tak, że Tomas zrobił o jeden krok za dużo i runął z kei w dół do fiordu.

Plusk wody był jak cięcie nożem, przyniósł otrzeźwienie. Krople wody rozprysnęły się na twarzy Pedera.. Skądś z dołu, z daleka, docierał głos Tomasa. Gulgotał dziwnie, wzywając pomocy. Peder był oszołomiony, kręciło mu się w głowie jak pijanemu, kiedy zobaczył, że Roza zdejmuje z nóg swoje piękne buty sięgające do pół uda. Nie pojmował, dlaczego ona to robi. Znowu dotarło do niego niewyraźne wołanie o pomoc. Roza ściągnęła z siebie kurtkę i usiadła na krawędzi kei, a potem skoczyła w dół.

Oni chyba wszyscy powariowali! Nie ma już chłopca, który nie byłby stuknięty. Nie wiem, czy sama jestem inna, ale ja nie wpycham swoich przyjaciół do morza. Morze szczyrzy zęby. Opadam na dół. Stapiam się w jedno z zielenią i błękitem. Do dna tu jeszcze daleko. Kąpałam się w tym fiordzie od dziecka. Ojciec wrzucał mnie do wody, ledwo nauczyłam się chodzić. Zdaje mi się, że pamiętam jego śmiech z tamtych czasów.

Ojciec pochodzi ze stałego lądu, krainy lasów i, rozległych pól, ale pływał jak ryba. Nikt nie mógłby wypchnąć go z łodzi w nadziei, że się go pozbędzie. I nas, dzieci, chciał nauczyć tego samego. Kiedy wrzucał mnie cło wody, krzyczałam niemal tak samo głośno jak matka. Potem ona przywykła. W latach kiedy bracia dostawali taką samą lekcję, stała już tylko na brzegu z założonymi rękami. Wtedy ja też się śmiałam. Ale krzyk z mojego pierwszego spotkania z morzem został we mnie na zawsze. Nauczyłam się pływać.

Nasz tata twierdził, że wszystkie dzieci to potrafią. Mówił, że to jest umiejętność, którą mamy w ramionach i w nogach, podobnie jak zwierzęta. Wtedy mama nazywała go bezbożnikiem, bo przecież jest różnica między człowiekiem a zwierzętami i o tym nie powinien zapominać, powtarzała.

Cieszyłam się fiordem każdego lata, dopóki ojciec nie uznał, że jestem za duża, żeby się bawić z dziećmi. To oznaczało, że mogę się kąpać w naszej rzeczce z dziewczętami w moim wieku, nigdy jednak z braćmi czy innymi chłopcami. Byłam wystarczająco dorosła, by pojmować, dlaczego. Ale pływać umiem znakomicie.

Tomas już nie wzywa pomocy. Usiłuje utrzymać się na powierzchni, ale bez powodzenia. Ma niezdarne ruchy, a ciężkie futro ciągnie go w dół. Wypływa, wypływa słoną wodę i stara się zaczerpnąć powietrza, zanim znowu woda go zaleje. Muszę podpłynąć bliżej. To nie więcej niż dwa wyrzuty ramion. Spódnica bardzo mi cięży, układa się wokół mnie jak dzwon.

Oblepia mi nogi. Chce mnie zatrzymać. Spódnica jest niebieska, jak morze. Tomas znowu idzie pod wodę. Brązowy i czarny kolor na tle zieleni. Biały szal na jego szyi macha do mnie. Przez czystą, mokrą ciemność widzę jego oczy. Krzyk, który nie może się wydostać przez krtań, jest w jego oczach. Widzę wyraźnie. Udaje mi się chwycić jego kurtkę pod brodą i trzymam mocno sztywną skórę. Moje palce zdają się tak samo sztywne. Woda jest lodowata, zimno przenika moje ciało niczym ostrza noży. Tomas unosi rękę i łapie mnie za bark. Boję się, że będzie walczył tak, iż wciągnie nas oboje w głębię. Ale on tylko się mocno trzyma. Jest dość daleko ode mnie. Kiedy wyciąga głowę, żeby zaczerpnąć powietrza, czuję jego ból

w piersiach. Mnie też on mało nie rozsądzi, głowa mi pęka. Poruszam nogami, ale płynę wolno, bo moje nogi są spętane. Spódnicą jest jak przylepiona. Tornas ciąży mi, osuwa się dół, potrzebuję więcej siły. Szumi mi w uszach, czuję gorąco w gardle, w nosie. Mam wrażenie, że leci mi

z niego krew. To jakiś niezwykły żar, płynie skądś z moich piersi, jakby się wszystko we mnie rozrywało.

Widzę pęcherzyki powietrza wydobywające się z ust i nosa Tomasa. Widzę, że połyka morską wodę. Czas nagli, ale on jest taki ciężki. Oboje jesteśmy ciężcy i morze usiłuje wessać nas w głąb, morze pożąda naszych młodych ciał, morze nas pragnie...

Peder śledził jej walkę z kei i myślał jaśniej niż kiedykolwiek od wielu lat. Zasłona z iskrzących się, czystych barw została zdarta z jego oczu, kiedy Roza skoczyła do wody. Mało brakowało, a byłby skoczył za nią, ale zdołał się powstrzymać. Nie był, niestety, wielkim pływakiem. W płytkiej wodzie jakoś sobie radził, ale gdyby sprawa szła o życie, nikogo by nie uratował. Widział, jak Roza to idzie pod wodę, to znowu wypływa. Widział, jak wciąga powietrze i zanurza się na powrót tak, że spódnicą układa się na wysokości jej uszu, jak wynurza się razem z Tomaszem, żeby za moment znowu się pograżyć i dalej walczyć z żywiołem. A kiedy się w końcu wynurzyła, ciągnąc za sobą Tomasa tak wolno, że aż Peder czuł ból w piersiach, i obejmując Tomasa ramionami, zrozumiał, że jeszcze nie zwyciężyła. Wtedy naprawdę się ocknął. Do sali tanecznej było za daleko, żeby biec po pomoc. I za daleko, żeby go tam usłyszeli. Był więc sam. Woda leżała nisko, dzieliła go od niej znaczna odległość. I znaczna odległość dzieliła go od schodków, które dochodziły niemal do powierzchni wody. Nie było gwarancji, że Roza dotrze tam z ciężącym jej Tomaszem. Już miał mimo wszystko skoczyć jej na pomoc i raczej ofiarować własne życie, gdyby tylko ona mogła się wydostać na ląd. Bo to przecież on zepchnął Tomasa z kei.

Niczym dar z nieba leżał na kei porzucony hak, używany na łodziach. Bóg jeden raczy wiedzieć, kto i dlaczego wpadł na pomysł porzucenia tego użytecznego narzędzia w takim miejscu. Mogły przecież przyjść dzieci i cisnąć je w morze. To naprawdę wielka rozrzutność! Peder przeklinał ją i zarazem był wdzięczny temu jakiemuś roztargnionemu rybakowi, który tak bez szacunku traktuje swoją własność. Hak miał długość rosłego mężczyzny. Peder położył się na brzuchu na kei ponad Tomaszem i Rozą. Było jej tam coraz ciężej. Wyciągnął hak w jej stronę. Trzymał go oburącz i głośno wykrzykiwał imię Rozy. Żelazny hak był bardzo ostry, można nim było wybić komuś oko i boleśnie skaleczyć, trzeba uważać. Śmiertelnie się bał, że ugodzi któreś z tych dwojga w twarz.

Głowa Rozy znajdowała się we właściwym miejscu. Dziewczyna przytrzymała Tomasa nogami, próbując równocześnie zaczepić hak o jego pasek. Dopiero potem go puściła. Peder klęczał teraz na kei. Ciężar ciała zawieszzonego na haku ograniczał jego ruchy, mimo to udało mu się dojść na kolanach do schodków na drugim końcu kei. Roza popychała Tomasa w wodzie. Kiedy musiała myśleć tylko o sobie, nie miała żadnych problemów z poruszaniem się. Nie było jednak nadziei, że Tomas o własnych siłach zdoła wspiąć się po drabince. Peder musiał ciągnąć, a Roza pchać go od dołu. Zdawało się, że trwa to całą wieczność, w końcu jednak znalazł się na górze. Roztrzęsiona Roza podążała w ślad za nim. Przewróciła topielca na brzuch, uciskała jego kręgosłup. Włożyła mu palce do ust, żeby sprawdzić, czy nie zadławił się własnym językiem. Opukiwała go po plecach, potem odwróciła i uciskała piersi oraz brzuch. W końcu nieszczęśnik zaniósł się kaszlem i zwymiotował. Roza ułożyła go tak, że zwisał nad wodą, ale dzięki temu miała pewność, że nie zadławi się tym, co musiało z niego wyjść.

- Co za cholerna pora na kąpiel - bąknął Peder, gdy Tomas rozdygotany i przemarznięty otworzył oczy. - Ale u nas w domu jest ciepło — dodał. - Nikt nie musi o niczym wiedzieć... Roza stała z butami i kurtką w rękach. Zmarzła tak, że nie była w stanie nawet zarzucić kurtki na ramiona, a nie przyszło jej do głowy prosić Pedera o pomoc.

- Lecę do domu - powiedziała. - A ty przyprowadź Tomasza.

Peder wstydził się okropnie. Kiedy Roza pobiegła, ociekająca wodą i rozdygotana jak jakaś istota z zaświatów, która wyłoniła się z wody, między mężczyznami zaległa grobowa cisza. Tomasowi było straszliwie zimno, ale nie był w stanie się ruszyć.

- Nigdy w życiu bym jej nie okazał, że żywię dla niej jakieś uczucia — wykrztusił, dzwoniąc zębami i starając się patrzeć Pederowi w oczy.

Szczerze mówiąc, Peder nie uważał, że jest coś złego w tym, co Tomas czuje do Rozy, tylko że tego wieczotyle było denerwujących zdarzeń. Nie ze wszystkim umiał sobie poradzić. I jeszcze ten krzywy, szyderczy uśmiezek Jensa. To on go tak rozpałił.

- Musimy cię zaprowadzić do domu, człowieku - powiedział, pomagając Tomasowi wstać. Kiedy Tomas i Peder znaleźli się w kuchni, Roza zdążyła już zderzeć z siebie mokre ubranie i włożyć flanelową nocną koszulę z kołnierzykiem sięgającym jej uszu. Włożyła też grube wełniane skarpety i zimową kurtkę narzuciła na koszulę, ale mimo wszystko dzwoniła zębami. I nic nie pomogło, że siedziała prawie na piecu. Peder zaprowadził ją do sypialni, żeby weszła pod okrycia, a sam szukał ubrania dla Tomasza. Jego ubrania były na Lapończyka za duże, ale przynajmniej suche.

Tomas był skrzepowany, ale co miał zrobić, skoro jego własne rzeczy ociekały wodą.

- Zostaną plamy na podłodze - powiedział przeproszającym tonem. — Tak tu pięknie...

- Lepiej mieć plamy na podłodze, niż żebyś nam zamarzył na śmierć, kolego...

Tomas powiesił mokrą kurtkę na oparciu krzesła. Pod spodem miał wełniany sweter, który teraz szczelnie oblepiał jego ciało. Peder musiał mu pomóc go zdjąć.

Ech, jacy wy jesteście bezradni! — Roza owinęła się szczelnie kołdrą i przybiegła na pomoc.

- Sciągajcie z niego wszystko! Prędko! Chcecie, żeby się rozchorował? Zdejmuj, niech licho porwie plamy na podłodze! Zresztą to nie ja szorowałam ją ostatni raz!

Tomas był chudy, ale żyłasty. Plecy, barki i ramiona miał teraz płomiennie czerwone. Pokryty gęsią skórą parował przy piecu tak, że aż okna zaszyły mgłą.

- Widziałam nagich mężczyzn już przedtem - powiedziała Roza, a Peder spojrzał na nią z ukosa.

- To było niepotrzebne - mruknął.

- Chciałam powiedzieć, że Tomas nie ma niczego, czego bym nie знаła - wyjaśniła. Z uporem patrzyła na obu mężczyzn i to oni poczuli się onieśmieleni. Żaden nie wiedział, co robić. Nie wiedzieli nawet, czy ona żartuje, czy to poważnie tak... Roza zdjęła z siebie wełniany koc i zarzuciła go Tomasowi na ramiona, a potem niemal macierzyńskim gestem potargała mu włosy i powiedziała: - Owiń się tym szczelnie, Tomas! To wszystko z mojej winy. Cisnęłam w Pedera filiżanką czekolady...

Peder pożyczył Tomasowi spodnie. Roza poczuła, że zbiera się jej na śmiech po tych wszystkich wydarzeniach, ale zagryzła wargi. Zresztą sama wyglądała tak samo śmiesznie jak oni obaj. Peder nastawił wodę na kawę. Nie bardzo mieli o czym rozmawiać. Nikt nie czuł się na tyle upokorzony, by go prosić o wybaczenie.

— Nie wiem, dlaczego rzuciłam tę filiżankę - powiedziała Roza nieoczekiwanie.

Peder uważał, że na takie wyjaśnienia będzie czas, kiedy Tomas już sobie pójdzie. Bardzo chciał, żeby mu to wyjaśniła, ale dlaczego takie sprawy roztrząsać w obecności innych osób? Tomas przecież nie należy do rodziny.

— Ty się śmiałeś — stwierdziła Roza wbrew jego życzeniom.

- Z wielu rzeczy można się tam było śmiać - uważał Peder

- Śmiałeś się ze mnie.

On pamiętał, że śmiał się do niej, ponieważ wyglądało na to, że się dobrze bawi, ponieważ była taka wzruszająco ładna z tą filiżanką czekolady w dłoniach, ponieważ dobrze było z nią

tańczyć, ponieważ to była radość zabrać ją na zabawę... Ale tych powodów nie mógł wyjawiać w obecności Tomasza.

- Mylisz się - rzeki tylko.

- Może się mylę...

Potwierdził skinieniem głowy. Dostrzegł, że Roza odpowiada mu takim samym skinieniem, jak echo. Powtarza jego ruchy. Złościło go to, ale nie mógł powiedzieć, żeby przestała, to by było jeszcze gorsze. Nie jest przecież nauczycielem. Tomasz czuł się skrępowany, kiedy tak stał między nimi, ale chłód nadal trawił jego ciało, więc nie mógł wyjść z najcieplejszego miejsca przy piecu.

— Tam w sali zrobiło się strasznie gorąco — tłumaczyła Roza. - W głowie mi się kręciło. A Tomasz powiedział, że przejdziemy się nad morze zaczerpnąć świeżego powietrza. W środku był taki tłok, spociałam się...

- Stała na schodach oparta o futrynę drzwi - wyjaśnił Tomasz sucho. - Błada i zmęczona.

Pomyślałem, że lepiej, jeśli ja się nią zajmę, zanim zrobi to kto inny...

- Jens leży w szpitalu - poinformował Peder.

Wtedy Roza spojrzała na niego z uwagą. Zapach kawy rozchodził się po izbie. Pokrywka na dzbanku zaczęła niespokojnie podskakiwać. Peder wziął pogrzebacz i odsunął dzbanek dalej od ognia. Nie spieszył się. Umieścił fajerki z powrotem na miejscu. A kawa może naciągać na brzegu czarnej płyty.

- Stłukłem go do krwi - wyjaśnił Peder.

Roza nie zapytała dlaczego. Tomasz też nie, ale To- masa to bawiło. W milczeniu pili kawę. W Kopalni panowała cisza. Nastąpiła noc. Księżyc płynął po niebie i pokrywał swoim blaskiem wszystko, co się stało.

- Tomasz opowiadał mi o słońcu i księżycu - oznajmiła nagle Roza. - O córce słońca i synu księżycy, którzy nie mogli być razem...

- ... Oni nie pojawiają się nigdy razem po tej samej stronie nieba - wytłumaczył Tomasz spokojnie. - To tylko taka baśń. Dzisiejszy wieczór jest jak stworzony dla baśni.

- Babcia Lea zawsze opowiada o zorzy polarnej - rzekła Roza rozmarzonym głosem.

— Na zorzę polarną jest jeszcze za ciepło — wtrącił

Peder

- Lea mówi, że powinniśmy być ostrożni z zorzą, bo mamy we krwi polarny blask...

- Jesteś spokrewniona z zorzą polarną? - zdziwił się Tomasz.

Peder musiał spoglądać to na jedno, to na drugie. Rozmawiają chyba o jakiejś ciotce albo co, bo przecież nie o tym zielonkawożółtym i niebieskoczerwonym cudownym blasku, który świeci na północnym niebie w mroźne noce.

- My też mamy rody, które należą do zorzy polarnej - tłumaczył Tomasz. Ważył w dłoniach kubek z kawą. O nowomodny napój zadomowił się w Kopalni.

Ogrzewa i ożywia, ale kręci się po nim w głowie. To pożyteczna mieszanina. - Ale mój ród do nich nie należy - zakończył Tomasz zgnębion.

- Lea mówi, że towarzyszy nam światło. - Roza patrzyła gdzieś obok Tomasza i Pedera. - Ona twierdzi, że los każdego z nas, los wszystkich kobiet z naszej rodziny, związany jest ze światłem. Z różnymi rodzajami światła. Moja mama na przykład z blaskiem księżycy. Babcia Lea i ja należymy do zorzy polarnej...

Słucham własnego głosu i nagle rozumiem. Dawniej to były tylko słowa. Wypowiadałam je sama, ale nie pojmowałam. Może Tomasz zasiał ziarno jasności w mojej duszy, kiedy opowiedział mi swoją baśń. Historię o słońcu i księżycu, które nigdy nie mogą się do siebie nawzajem zbliżyć, mogą się tylko podziwiać, każde trwające po swojej stronie nieba. Jego opowieść stała się jakby kluczem, którym mogę się posłużyć.

Rozumiem, że wszystko się z sobą wiąże, ale nie wszystko może być połączone. Są siły potężniejsze niż to, co ja mogę i powinnam rozumieć. Są sprawy, w które trzeba po prostu

wierzyć. Zrozumiałam, że moje światło należy do nocy. Rozumiem, że ja należę do zorzy polarnej. Wierzę w to. To wszystkiemu nadaje sens. I wiem, że babcia Lea się nie myli: to mieszka również we mnie.

Peder chciał, żeby Tomas u nich przenocował. W kuchni było ciepło, a nocne godziny szybko mijają. Miał dobre intencje, a najlepsza była ta, o której nie wspomniał. Ta mianowicie, że obecność Tomas odsunie wszystko, o czym Peder nie bardzo chciał z Rozą rozmawiać. Jeszcze nie przywykli do mieszkania tylko we dwoje. Tomas jednak wziął swoje na pół jeszcze mokre skórzane ubrania i poszedł w tę jasną księżycową noc do swojego baraku. On też miał swoje powody. Panowała cisza, kiedy Peder i Roza położyli się, żeby się choć trochę zdrzemnąć. Tej nocy nie byli kochankami. Wiele innych spraw wypełniało przestrzeń między nimi.

- Zgubiłam chustkę! - Roza wykrzyknęła słowa głośno w tej samej chwili, w której przyszło jej to do głowy. — Myślę, że zgubiłam ją, kiedy ratowałam Tomasa. Węzeł musiał być luźny. Nie pomyślałam o tym. Taka piękna chustka! Pewnie nigdy więcej jej nie zobaczymy.

— Pewnie nie miałaś jej włożyć więcej, tylko ten jeden raz. — Peder musiał ją pocieszać, ale nie był pewien, czy ona go słucha.

— Na szczęście nikt nie wie o tej kąpieli — westchnęła Roza przed zaśnięciem. — Ojciec by toczył pianę ze złości...

Ludzie wiedzieli o tym, co się stało na schodach przed salą taneczną. Wiadomość rozchodziła się podawana cicho z ust do ust. O ile jednak Pedera klepano po plecach i chwalono, że okazał się największym

Kopalni uwodzicielem, to Rozie posyłano krzywe spojrzenia i na pół ukryte złośliwości.

Kiedy to nic nie dało, kobiety wokół niej po prostu milkły. Dla wielu to było trudniejsze do zniesienia niż najbardziej nawet przykre słowa, ale Roza przywykła do ciszy. Skupiała się na swojej pracy. Kto chce wykonywać normę, nie powinien oczu odrywać od kamieni. Coraz zręczniejsze posługiwała się młotkiem. Już nie miewała pęcherzy na rękach. Skóra zrobiła się gładka i śliska od trzonka. I prawe ramię nie przestawało ją boleć.

Sześć szylingów za jedną kupkę rudy. Człowiek musi się nauczyć kruszyć tyle kamienia, ile powinien. I oddzielać rudę od szarych kamieni. Bezwartościowych skał od pożytecznej miedzi. Czy bolą plecy, czy nie, trzeba po prostu stać.

Po pracy Roza jak zwykle sama schodziła ze zbocza, na którym pracowała. Slizgała się po suchych wrzosach i patrzyła na gromadę kobiet schodzących przed nią. Zawsze starała się iść za nimi, sama. Dni były podobne do siebie, chociaż teraz, wychodząc z kopalni, musiała skręcać w lewo, a nie tak jak przedtem w prawo, w stronę Krety. Nic się właściwie nie zmieniło, odkąd ona i Peder przeszli na swoje.

Na schodach domu czekała na nią jakaś kobieta. Roza na jej widok zwołniała kroku. Nie trzeba jej było mówić, że to nie jest żadna miła sąsiadzka wizyta. Sąsiadzka to może, ale matka Jensa na pewno nie pragnęła widzieć Rozy w tych stronach. Roza nie mogła już zawrócić, tamta widziała ją od dłuższego czasu.

To słaba, chuda baba, która nie panuje nad swoimi dzieciakami, nic mi zrobić nie może.

- Czekam na ciebie — mówi, kiedy się do niej zbliżam.

Zanim doszłam, ona zeszła ze schodów na Ziemię. Głupio zrobiła. Jeśli ją okrążę, mogę wejść na schody. A wtedy będę na nią patrzeć z góry. Nie pomyślała tym, że to ja mogłabym się czuć mała.

— Czekałam na ciebie - powtarza, a jej głos brzmi teraz ostrzej. - Ty kurwo! - dodaje. Pluje mi pod nogi, a ja jestem zadowolona, że nie stoję na schodach. — Czarownica! — mówi ze złością. Ujmuje się pod boki, klucze u jej paska podzwaniają.

Ja też mam klucze, ale nie potrzebuję wymachiwać nimi sąsiadom przed oczyma. Mogę otworzyć drzwi bez tego.

- Słuchaj no, Kozo Samuelsdatter, jesteś wiedźmą i tyle. I nie myśl, że ci to ujdzie na sucho! Ja mam jeszcze gębę i potrafię gadać, powinnaś sobie to zapamiętać! A twoich sztuczek się nie boję, gdybyś chciała ich na mnie próbować.

Uśmiecham się.

— Śmieję się, śmieję, Roza! Taka jesteś szpetna, a rzuciłaś urok na mojego syna tymi swoimi sztuczkami. Bo czy on bez czarów tak by dla ciebie zgłupiał? Mój Jens, najurodziwszy chłopak w parafiach od Talyik do Alty! Mógłby sobie wziąć bogatą gospodarską córkę, gdybyś za nim nie latała. Mój syn jest stworzony do czegoś lepszego! My wszyscy pochodzimy z lepszych warunków niż te tutaj. Widzieliśmy więcej świata, nie tylko tę żalospną odnogę fiordu! Nie przyjechaliśmy na północ, żeby uprawiać tę zamarzną ziemię. Jens będzie miał coś więcej!

Ja się nadal uśmiecham.

- Mówisz, że Jens dla mnie zgłupiał?

- Masz ślubnego męża - wykrzykuje dalej matka Jensa. Ma oczy niebieskie jak woda. Oczy tak samo piękne jak jego, ale skrzekliwy głos, który nie milknie, jest dla mnie obcy. -

Trzymaj się swojego chłopca, Rozo Samuelsdatter! Czy wiesz, co twój chłopiec zrobił wczoraj mojemu Jensowi? Wiesz, jak okropnie go pobił? Czy to ty prosiłaś, żeby to zrobił? Czy nie możesz się nim zadowolić, a mojego syna zostawić w spokoju?

Matka Jensa jest teraz jak drapieżny ptak, który wyciąga do mnie szpony. Rzucą się na mnie. Ma oczy Jensa, ale jest jak polujący jastrząb. Wbijają się szponami w moją twarz. Próbuje wydrapać mi oczy.

— Ja się ciebie nie boję, ty wiedźmo!

Nie mogę się zmusić, żeby jej oddać. Nie jestem w stanie jej bić. Opadam po prostu na ziemię i pozwalam jej drapać i szarpać, wykrzykiwać swoją złość.

Peder znalazł Rozę na schodach. Leżała, obejmując rękami kolana. Twarz ukryła. Włosy wyglądały jak futro lisa. Węzeł, który wiązała mocno przed pójściem do pracy, był rozwiązany. Miedzianoruda chmura spływała jej na plecy, ukrywała ją przed nim. Peder ukląkł. Szukał pod włosami. Odgarnął ostrożnie długą grzywkę. Przemawiał do niej cicho, prosił, żeby otworzyła oczy, żeby na niego spojrzała, podniosła głowę. Całą twarz miała zakrwawioną. Na obu policzkach mnóstwo nierównych zadrapań, na których zaczynały się robić strupy. Niczego nie rozumiejąc, dotykał palcami ran.

- Kto to zrobił? - spytał ze ściśniętym gardłem. Pomógł jej wstać. Wyjął klucze z kieszeni jej sukni. Otworzył drzwi i wprowadził ją do domu. I zastanawiał się, ilu ludzi przechodziło obok, widziało ją, ale nikt jej nie pomógł. - Kto to zrobił? - powtórzył.

- Nikt - odparła. Zamknęła oczy i powtórzyła: - Nikt. Zaprowadził ją do izby, zdjął kurtkę i zakurzoną spódnicę, a potem położył do łóżka tak, jak się kładzie dziecko. Koza nie protestowała.

- To nie mógł być mężczyzna - zastanawiał się głośno Peder, siedząc na krawędzi łóżka i trzymając w rękach obie jej dłonie. Przyjrzał im się uważnie, ale nie zauważył żadnych śladów. Nie przypuszczał, żeby walczyła. Na rękach Kozy był jedynie kurz z kopalni. - Tylko kobiety rzucają się do twarzy - rzucił ze złością. — Dlaczego ją kryjesz? Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, kto to jest?

- Nie musisz mnie ochraniać, Peder - Roza powiedziała to szeptem. - Nie chcę, żebyś to robił. To na- prawdę nie ma znaczenia. Ona nie wiedziała, co czyni...

— Rzuciła ci się do gardła, Roza, a ty ją bronisz!

— To matka Jensa...

Peder z trudem wciągał powietrze. Matka Jensa. A więc to w gruncie rzeczy jego wina. To on stłukł Jensa. Roza dostała za niego!

— Jaki syn, taka matka — stwierdził.

Rany nie bolały. Roza ich nie czuła. Wiedziała tylko, że Jens dla niej zgłupiał!

Rozdział XII

Plotki rozchodziły się błyskawicznie. Krążyły nawet tam, gdzie ludzie nie zbierali się zbyt często, ale najlepszym miejscem, w którym można się dowiedzieć nawet więcej niż to, co naprawdę dzieje się w osadzie, jest jadłodajnia. Nanna milczała, dopóki nie skończyła codziennej pracy. Potem jednak raz jeszcze zlekceważyła przykazania Samuela i nie poszła prosto do domu.

- Jeszcze nie umarłam - przywitała ją Roza. Miała ochotę zatrzaskać drzwi, kiedy zobaczyła, że na schodach stoi matka. Ale wystarczyło, żeby Nanna poprosiła wzrokiem, a robiło się dla niej wszystko, czego chciała. — Pedet nalega, żebym przestała pracować — dodała, starając się możliwie najlepiej ukryć twarz.

Nanna obeszła ją w kółko. Zaraz gdy tylko przekroczyła próg, spostrzegła, że w domu jest bardzo czysto. Pachniało morską wodą. Roza zadała sobie trud, by wyszorować piaskiem podłogi, przy piecu ułożyła jałowcowe gałązki. Wysprzątane jak na niedzielę, a przecież nowy tydzień dopiero się zaczął. Gorszy widok przedstawiały czerwono-brunatne, pokryte strupami pręgi, przecinające lewy policzek Rozy. Pokrywały już i tak nierówną, cieniutką, papierową skórę. Nanna podeszła bliżej, córka się nie cofnęła. Stała nieruchomo. Bez wyrazu, można powiedzieć. Nanna dotknęła drugiego policzka. Też wyglądał paskudnie.

- To się zagoi — powiedziała, a jej słowa zabrzmiały jak prośba. W oczach miała łzy ze współczucia dla córki. To takie niesprawiedliwe. Takie niepotrzebne. — I nie będzie blizn... Roza widziała ból matki. I widziała też, jaka piękna jest wciąż Nanna. Matka cierpiała z powodu tego, co się stało, bardziej niż sama Roza.

— Dlaczego ona ci to zrobiła? W czym jej zawiniłaś? Roza zawsze sobie kpiła z ufności, jaką matka okazywała ludziom. Wierzyła, że wszyscy są dobrzy. Nigdy nawet się nie domyślała, co ludzie gadają za jej plecami. O niczym nie miała pojęcia, dopóki nie znalazła się w jadłodajni.

Roza naciągnęła spódnicę tak, że opinała szczelnie jej brzuch. Fałdy zebrała na plecach. Stanęła tak, żeby matka mogła wyraźnie niewielkie jeszcze wzniesienie na jej brzuchu. To, które Roza czasem wyczuwała, ale . innym razem nie potrafiła dostrzec.

— To — oznajmiła i pogłaskała się po brzuchu.

To był gest pełen miłości, który Nanna dobrze знаła. Kiedy człowiek nagle zobaczy siebie w kimś innym to tak, jakby zobaczył ducha. Nanna zadrżała.

— To jej zrobiłam, mamó. Ojciec tego dziecka jest jej synem...

Nanna była pewna, że Roza nie wie, kto jest ojcem jej dziecka. Ale dobrze wiedziała też, kim jest ta okropna baba. Jej imię było dzisiaj w jadłodajni odmieniane na wszystkie sposoby. Teraz domyśliła się, o którego syna tamtej chodzi. Mógł to być tylko jeden. Ten, który tak się rzuca w oczy.

- To naprawdę on?

- Chcę mieć to dziecko! Ono jest moje! Przede wszystkim to moje dziecko!

Nanna nie sprzeciwiała się.

- Moje dziecko - powtórzyła Roza, unosząc głowę tak, że chyba musiało ją to zboleć. — Moje i teraz Pedera. Będzie nosić jego nazwisko.

Lepiej że dziecko otrzyma iiazwisko łagodnego Pedera, niż gdyby musiało iść przez życie z nazwiskiem tego, który sprowadził je na świat.

— Ja bardzo pragnęłam dziecka Jensa. I mam je. Nanna nie chciała tego słuchać. Nie zapytała więc swojej córki, czy chciała też Jensa, ale go nie dostała. Bała się odpowiedzi Rozy. Bała się tego, co dostrzegała za ogniem płonącym w jej niebieskich oczach. Roza powinna była mieć oczy brązowe! Wtedy Nanna byłaby przygotowana. Przeżyła szok, kiedy dostrzegła Leę i światło, które tamta w sobie ma, w niebieskich oczach, jakie Roza odziedziczyła po swoim ojcu. Kiedy dziecięce oczy córeczki zrobiły się błękitne niczym niebo, Nanna odetchnęła z ulgą. To zapowiadało ratunek. To jakby znak z nieba, że we krwi malej nie ma tamtego. Ze zniknęło, wszystko miało się zakończyć na Lei.

— Matka Jensa nazwała mnie czarownicą — powiedziała Roza i uśmiechnęła się jak ktoś, kto wie.

Ale Nanna wpadła w popłoch:

- Matka Jensa gada głupstwa! - Musiała to jakoś od siebie odepchnąć. Roza nie może zacząć grzebać w tym, co zdaje się między nimi narastać. Roza nie może się do tego za bardzo zbliżyć! - Ja bym jej nie wierzyła za żadne pieniądze, Rozo. A poza tym to przecież Peder wyprawił jej syna do szpitala... - Nanna uśmiechała się szeroko. Lubiła zięcia. I nie mogła się na niego złościć za to, co zrobił.

- Dam sobie radę - powiedziała Roza. - Mama nie jest mi już potrzebna.

Te słowa nabrały zupełnie innego znaczenia, kiedy Nanna biegła do domu. Od najwcześniejszego dzieciństwa Rozy Nanna błagała matkę, żeby jej nie opowiadała tamtych historii. Zdecydowanie prosiła Leę, żeby przestała, skończyła z tym. Chociaż dla niej samej owe historie były może czymś najwspanialszym w dzieciństwie. Ale to ojciec usuwał duchy i wszelkie strachy, które gromadziły się wokół Nanny i dławiły w niej każdą rozsądną myśl. To ojciec dał jej lusterko i prosił, żeby się dobrze przyjrzała odbiciu. On powiedział, że dziewczynka w lusterku to przecież ona. Ranghild Indianne. Nanna. Tylko Nanna. Nie Lea ani żadna z długiego szeregu prababek. I że w niej nie płonie żaden niebezpieczny ogień. Nanna nie jest podobna do Lei.

Ale matka jej nie słuchała. Ona wiedziała wszystko najlepiej i powiedziała, że Roza koniecznie musi poznać te, które w przeszłości wydeptywały dla niej ścieżki. Roza ją przerosła, wiedziała znacznie więcej o rodzinie niż Nanna. To, co Nannę śmiertelnie przerażało, na jej córkę rzucało urok. Roza kochała swoje pozbawione twarzy prababki równie mocno jak babcię Leę. Nanna nieustannie wierzyła, że jej to przejdzie.

Wszyscy zawsze mówili, że Nanna jest niebywale podobna do swojej babki. Gadali, że widzieć Nannę, to jakby widzieć tamtą. Dziwili się, jakie to niewiarygodne. Nanna nie pamiętała babki, która umarła, skończywszy ledwie czterdzieści lat. Zabrały ją suchoty. Mówiono, że pod koniec świadomie się głodziła, żeby prędzej umrzeć. Marja Hansowa była kobietą, którą się pamięta. Piękna i wesoła, gdy chciała. Równie często nieugięta i twarda jak kość. To, że sama była delikatnej budowy, nie oznaczało, że pozwoliłaby komukolwiek o sobie decydować. Z opowiadań Lei wynikało, że jej matka miała licznych konkurentów do ręki, choć przecież nie pochodziła z bogatej rodziny. Marję wychowała jej matka. Żadnego ojca nigdy nie było. Nawet w kościelnych księgach zapisano: ojciec nieznan. Marja nie miała do zaoferowania przyszłemu mężowi niczego prócz samej siebie, ale to widać wystarczało. Wciąż jest pamiętana w swoich rodzinnych stronach.

Nanna bała się opowieści o Marji Hansowej. Najgorsze pochodziły z czasów młodości prababki. Kiedy to Marja odkryła władzę, jaką posiada jej dziewczęca twarz i ciało, śniące się chłopcom po nocach. Lea opowiadała te historie jak baśnie wszystkim, którzy przychodzili jej słuchać w jasne wieczory, a potem Nanna nie mogła w nocy spać. Na wyspach, gdzie mieszkali, nikt tak nie opowiadał jak Lea. Jeden z najbardziej natarczywych wielbicieli Marji za nic nie chciał przyjąć do wiadomości odmowy. Nanna wyobrażała sobie, że był bardzo młody i pełen życia. Historia mówi, że należał do tych, za którymi dziewczęta spoglądają najchętniej i był widocznie z tych, którzy wierzą, że początkowe „nie” zmieni się z czasem w

„tak”. Marja mówiła jednak „nie” i pragnęła się go pozbyć. Gdy zaś chłopak nie chciał jej zrozumieć, gdy nie przestawał się naprzykrzać i nigdy nie dawał jej spokoju, wyszła mu naprzeciwko i zgodziła się z nim porozmawiać. Historia powiada, że Marja ostrzegła kawalera. I to był jedyny sympatyczny fragment tej opowieści. On jednak był pewien zwycięstwa i uważał, że dziewczyna tak się tylko z nim bawi. A to, że w ogóle zaczęła z nim rozmawiać, jest początkiem zmian, które zakończą się jej zgodą. Marja widziała, jak chłopak wsiada do łodzi, żeby popłynąć na drugą stronę fiordu, gdzie służył jako parobek. Miał silne ręce, więc często wracał na jej brzeg. Dziewczyna stała na kamienistym brzegu niczym pień brzozy z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Miała piętnaście lat.

Stała tam, dopóki kawaler nie znalazł się pośrodku fiordu. Wtedy odwróciła się na pięcie i odeszła. Ludzie mówili, że dzień był wtedy piękny. Łagodny, jak to czasem bywa wiosną. I wieczór też był łagodny. Powierzchnia wody tylko się leciutko marszczyła. Gdyby kawaler Marji miał żagiel, nie mógłby go rozpiąć. Było na to za spokojnie. Nikt nie rozumiał, co się stało, kiedy tuż przed łódką młodzieńca morze nagle pobiebiało. Nie zauważono nawet porywu wiatru, który zrywa się nie wiadomo gdzie i zaraz potem znika.

Chłopak znajdował się na środku fiordu, więc ludzie nie widzieli wyraźnie. Nikt nie widział na tyle dokładnie, by mówić, że wie lepiej niż inni. Ale było więcej takich, którzy mogli zaświadczyć, że nagle morze zrobiło się białozółte przed małą łódką. Zagotowało się niczym gęsta kasza, wzburzyło się groźnie i uciekło, zanim się jeszcze na dobre podniosło.

Niechciany kawaler Marji poszedł na dno razem z łodzią w bezwietrzny dzień, kiedy morze było zwierciadłem nieba. Tafla wody leżała nieruchomo, kiedy wypływał, i pozostała nieruchoma, kiedy zniknął. Szukali cztery dni, zanim go znaleźli. Niemal każdy we Wsi widział kiedyś topielca. Ten nie przypominał żadnego z nich. Nigdy nikt nie widział takich nagich kości po zaledwie czterech dniach w morzu. Jakby ktoś pooddzierał ciało od kości, mówili ludzie. Po tym wydarzeniu grupa wielbicieli Marji bardzo się przerzedzila. Nie rozpadła się całkiem, ale najbardziej przewidujący uznali, że lepiej się wycofać.

Mówiono, że Marja nasłała na chłopaka upiory. Gadano, że ma taką siłę. Ona sama nie mówiła nic. Ale rozkoszowała się swoją siłą. Nanna śmiertelnie się bała, że mogłaby być do niej podobna, że będzie mogła władać zmarłymi, duszami nie znającymi spokoju. Wszyscy bowiem powtarzali, że Nanna jest dokładnie taka sama jak Marja.

W trzynastym roku życia miała co najmniej tylu kawalerów, co i Marja w jej wieku. W trzynastym roku życia spotkała Samuela. Potem nie musiała się już niczego bać. Samuel znał wszystkie odpowiedzi i Samuel by nigdy nie pozwolił, żeby przytrafiło jej się coś złego.

Nanna mogła czuć się bezpieczna.

Teraz znowu pojawił się lęk.

Tomas nie był w stanie wracać do baraku zaraz po wyjściu z kopalni. Ciemność i wieczna wilgoć, to jedna sprawa. Druga to ciasne korytarze i pewność, że wokół są tylko kamienie. To wszystko niekiedy całkiem odbierało mu rozsądek. Nie był w stanie przyzwycząić się do kopalni.

Głęboko wciągał powietrze. Do tego smaku soli w powietrzu też nie umiał się przyzwycząić. Nad tamtymi fiordami, w tundrze, powietrze było inne. Nie powiedziałby tego nikomu, bo nikt nie potraktowałby go poważnie, ale Tomas bardzo tęsknił za domem. Kopalnia nigdy nie będzie jego domem, na zawsze pozostanie to klucie w sercu na wspomnienie rodzinnych stron.

Jego krewniacy są pewnie teraz w zimowym obozowisku. Ustawili jurty jedna koło drugiej o dzień drogi od Kautokeino. W Kautokeino jest plac handlowy i kościół. Sąsiedzi powrócili na swoje miejsca. Osiedlili się na zimę. O tej porze roku najłatwiej spotkać znajomych, chociaż zimowe obozowisko nie jest bardziej domem niż obozy zakładane w innych porach roku. Ale właśnie za tym Tomas tęsknił najbardziej. Chociaż gdyby miało się ku wiosnie, to pewnie

najczęściej by marzył o miejscach, w których rodzina zakłada obóz na wiosnę. Kiedy wpełzał rano do kopalni to tak, jakby opuszczał życie.

Nawet Kljord był ciasny i nieba było nad nim za mało. Ale jednak więcej przestrzeni niż w baraku. To- mas unikał swojego mieszkania jak mógl. Tam w tundrze, na zewnątrz jurty, zawsze było dość przestrzeni. Jeśli się nie chce zaczepić o nic wzroku, może on błdzić swobodnie jak chce. Nie ma tam nic stworzonego przez człowieka, co przesłania horyzont. Usiadł na brzegu kei. Nie miał oporów przed ponownym przychodzeniem w to miejsce. Tamte straszne, gorączkowe chwile, jakie przeżył w niedzielny wieczór, skończyły się dobrze. Peder wyrzucił z siebie jakąś część swojego gniewu, przybliżył się do jakiejś prawdy. Spuścił Jensowi lanie, którego ten długo nie zapomni, a Tomas przeżył kąpiel, po której będzie czysty co najmniej do Bożego Narodzenia. Tomas nie wiedział tylko, co dostała Roza. Być może przekonanie, że Peder gotów jest dla niej zrobić wiele. Jeśli to coś dla niej znaczy. Mrużąc oczy, wpatrywał się na dół, w wodę. Nagle drgnął, bo zobaczył, że coś się owinęło wokół jednego pali podtrzymujących keję. To coś było takie czerwone, że aż raziło w oczy. Czerwone z białym, szczerze powiedziaławszy. Gdyby wcześniej tego nie widział, myślałby raczej o żółtym. Gdzie jest ten hak, za pomocą którego go wyciągali? Tomas zachichotał, kiedy spostrzegł, że hak stoi tam, gdzie go Peder wetknął. Utkwił tak mocno, że Tomas musiał użyć całej siły, żeby go wyrwać. Musiał położyć się na brzuchu, żeby podjąć próbę wyłowienia chustki. Oczywiście wyobraźni widział, jak skacze w dół i chwyta chustkę gołą ręką, ale nie, niedzielna kąpiel musi absolutnie pozostać na jakiś czas ostatnią. Chociaż, jeśli się nie uda inaczej, to może... Szło mu nie najlepiej, hak okazał się za gruby do złowienia delikatnej materii. Tomas wykonywał gwałtowne, nagle ruchy, bo trudno było manewrować takim długim kijem z takiej odległości.

Tomas stracił poczucie czasu i nie wiedział, jak długo to trwało, w końcu jednak cienka chustka znalazła się na haku. AJe bał, wokół którego się wcześniej owinęła, był mokry I śliski. Chyba frędzle zaczęły się o niego, tak że trudno było chustkę oderwać. Nie chciał szarpać za mocno, bał się, że ją podrze albo że znowu ześlizgnie mu się z haka. Ale nic takiego się nie stało, po kilku dodatkowych manewrach zaczął wolno podnosić hak z chustką w górę. Leżąc, odsuwał się od brzegu kei. W końcu wyciągnął hak, a po chwili trzymał w ręce mokrą chustkę Rozy.

Palce mu zeszywniały, kiedy zdejmował ją z niezdarnego, trochę zardzewiałego żelaznego haka. Tylko kilka frędzli się zniszczyło, poza tym chustka była cała. I w dalszym ciągu bardzo ładna. Potrzebowała tylko prania. Wycisnął morską wodę. Zwinął w dłoniach, wiedząc, że żadnego prania nigdy nie będzie. Niech zostanie tak jak jest. Przypomina mu to tak wiele.

Nanna nie wyjawiała swoich myśli, dopóki nie wślizgnęła się do łóżka i nie przytuliła do skróconego o połowę ciała Samuela. Robiła się możliwie jak najmniejsza, żeby on miał więcej miejsca. Milczała jeszcze długo po zaciągnięciu niebieskiej zasłony. Trudno było obarczać Samuela wszystkimi zmartwieniami.

W końcu on sam zapytał:

— Co cię dręczy?

I Nanna opowiedziała mu o wszystkim. Niczego nie przemilczała.

A kiedy umilkła, Samuel powiedział:

- Ole musi się przeprowadzić do Rozy i Pedera. Musimy wiedzieć, co się tam dzieje.

Potem Nanna mogła znowu bezpiecznie zasnąć.

Ole przyszedł rano, kiedy górnicy szli do kopalni. Przyprowadził go Hans. Roza była sama i cieszyła się tym, zwłaszcza że już nie miała innych zajęć poza domem.

- To on mnie tu przysłał - oznajmił Ole, kiedy Hans wepchnął go do środka. - Powiedział, że chyba miałaś rację i lepiej będzie, jeśli zamieszkać tutaj.

Hans zniknął równie szybko, jak przyszedł. Wzruszył tylko ramionami i poleciał jak na skrzydłach do kruszenia rudy. Peder już Rozie mówiło tym, że Hans został przyjęty na stałe. Ole przyniósł swoje rzeczy w worku, który stał przy nim na podłodze.

- Nigdzie na dłużej nie zagrzeję miejsca — śmiał się. Było coś tak strasznie samotnego w tym jego śmiechu, że Roza poczuła ból w sercu. Na brata też spadło nieszczęście. Uważała, że to właściwie jej wina. Ole powinien był siedzieć bezpiecznie w Alteidet, mieć nadzieję na ziemię oraz dziewczynę, która zgodziłaby się zostać gospodynią w jego domu.

Ujęła teraz brata pod rękę i pomogła mu usiąść na krześle przy stole. Nie powinien tak stać, była mu winna więcej niż krzesło do siedzenia.

- Ja przecież od początku chciałam, żebyś u nas mieszkał — powiedziała, ale nie potrafiła ukryć zdziwienia, dlaczego to ojciec zmienił zdanie. — Pokłóciliście się?

Ole nie mógł jej wyjaśnić, o co naprawdę chodzi. Nanna płakała i Samuel kazał mu się przeprowadzić. Żeby pilnować siostry. Ole śmiał się z tego jeszcze długo. Oto jest teraz strażnikiem swojej siostry i od pierwszej chwili musi ją okłamywać. Roza nie wiedziała jednak, z czym igrza. Nie zdawała sobie sprawy, jaka groźna może być dla samej siebie i całej swojej rodziny, gdyby nie przestała wywoływać czegoś, co powinno od dawna być martwe.

- A jak on się czuje?

Ole odchylił się w tył tak mocno, aż oparł się o ścianę. Lubił mieć za plecami takie pewne oparcie. Nie musiał już mrużyć oczu, kiedy miał powiedzieć coś kłopotliwego, mimo wszystko jednak to robił.

— Ja myślę, że on gnije — oznajmił.

Roza podeszła do brata, Ole słyszał, że z trudem łapie powietrze. Potem ukucnęła przy jego krześle. Objęła go.

- To nie chodzi o jego ciało - dodał Ole. - On gnije od środka.

- Czasem myślę, że byłoby lepiej, gdyby on umarł - rzuciła nieoczekiwanie Roza. Nie było potrzeby udawania przed bratem. Poza tym on jej i tak nie widzi.

W obecności Olego może mieć taką twarz, jak zechce.

- Słyszałem, że bawi się nożem. Dokładnie wiem, jak oddycha, kiedy przykłada ostrze do skóry. To mógł być nadgarstek...

— Ojciec mówi, że życie jest święte!

Ole powiedział to, co mu pierwsze przyszło na myśl:

- Może to by było najlepsze, Roza! Żeby się naprawdę odważył. Myślę, że to by było najlepsze i dla mamy, i nas, dzieci.

Roza głośno wciągnęła powietrze...

— No — ciągnął dalej Ole. — Może nie dla ciebie, i nie dla mnie. My oboje tkwimy po uszy w tym, co nam los zgotował. Ale dla najmłodszych może nie byłoby to najgorsze, gdyby tata umarł.

- Nie możesz życzyć śmierci naszemu ojcu! I to z własnej ręki! — oznajmiła z zaskakującą stanowczością

Robił to tyle razy, że w końcu stało się to nawykiem. Zaczął układać owe historie. To jest korzyść z tego, że się marzy. Można wymyślić nowe zakończenie, jeśli nie lubi się pierwszego. Albo drugiego. Jego historie nie są podobne do tych, które opowiadała babcia Lea. U niej każda baśń była zawsze dokładnie taka sama, od początku do końca. Niezłomnie trwała przy tym, żeby za każdym razem opowiadać rak samo ze wszystkimi szczegółami. Nawet najmniejszy drobiazg nie mógł być zmieniony. Babcia tłumaczyła, że to dlatego, bo opowiada historie prawdziwe, o prawdziwych ludziach. Ich historie należy opowiadać bez zmian, żeby okazać im szacunek. Nie uznawała niczego innego. Nawet jeśli kazała dzieciom opowiadać fragmenty dawnych sag, zawsze poprawiała, kiedy zapamiętały coś nie tak.

- Ja go szanuję — Ole nie chciał, żeby Roza w to wątpiła. - Ale on niszczy sam siebie i niszczy też mamę, co się dzieje ze średnimi chłopcami, to nawet niechęć myśleć. O najmłodszych się nie boję, u babci i dziadka jest im dobrze. Boję się o Hansa - mówił Ole.
- O Edyarda. O Nikolaja! Bo oni są wystarczająco duzi, żeby rozumieć, co się dzieje w domu.
- Widzieli wszystko - powiedziała Roza.

Ole nie lubił, kiedy Roza mówiła w ten sposób. Przypominała mu wtedy babkę Leę. Babka mówiła, że niezwykle dziedzictwo w ich rodzinie dotyczy wyłącznie kobiet. On nie mógł prosić, by dane mu było przenieść to dziedzictwo w swoim pokoleniu. Nie mógł powiedzieć, że jest dużo lepiej wyposażony niż Roza. On jest tylko synem. Bratem. Mężczyzną. Niewidomym strażnikiem Rozy.

- Porozmawiam z ojcem - rzekła Roza zdecydowanie. Ole nadal myślał obrazami. Wydawało mu się, że potrafi sobie wyobrazić, jak jego szesnastoletnia Siostra tłumaczy ojcu, że życie jest czymś świętym i że trzeba się z nim obchodzić delikatnie. Ze nie wypada, żeby człowiek taki jak Wielki Samuel marzył o zadaniu sobie samemu śmierci w wyniku przecięcia nożem nadgarstków. I że odebranie sobie życia to wielki grzech. Zostałby wtedy pochowany w niepoświęconej Ziemi, a na całą rodzinę spadłby wielki wstyd. Kopalnia przestałaby wypłacać dzieciom zapomogę, gdyby jego już nie było, a pieniądze są przecież bardzo potrzebne.

- Tak, porozmawiaj z nim - powiedział ze smutnym uśmiechem. - On teraz jest sam w domu bardzo długo. Na pewno się ucieszy, jak przyjdiesz z wizytą. Skoro mnie nie ma, nie ma kto poprawiać mu humoru...

- Masz dość własnych zmartwień - powiedział Wielki Samuel.

Roza oczekiwała czego innego, ale to nic, będzie musiał wysłuchać, co ona ma mu do powiedzenia. Teraz nie będzie mógł wyjść ani wbijać w nią spojrzenia, żeby jej przerwać.

- Ole mówi, że w skrzynce przy łóżku trzymasz nóż.

Oboje spojrzeli na pomalowaną na brunatny kolor skrzynkę. Samuel miał ją, kiedy przybył do Norwegii. Roza uważała, że to musi być najdroższa rzecz, jaką ojciec posiada. I tylko on znał jej historię. Jeśli w ogóle taka historia istniała. Traktował ją jednak z taką delikatesnością, z jaką traktuje się nowo narodzone dziecko.

- Twoja matka mówi, że dałaś się ogłupić historiom Lei.

Roza pojęła, o co chodzi. To tłumaczy, dlaczego ojciec zrobił coś tak niesłychanego, jak Zmiana decyzji.

- I dlatego wysłałeś Olego? Żeby miał na mnie oko?

— No, jakie oko... — Samuel się naprawdę uśmiechał.

Policzki Rozy płonęły. Złościło ją to. W dalszym ciągu ojciec sprawiał, że czuła się głupio! Nawet nie potrzebował mówić, że jest beznadziejna. Wystarczyło, że czuła, iż on tak myśli. Odziedziczyła po nim pol-ywczosć. Nogi same ją niosły. A to było dokładnie takie bezmyślne, jak ojciec się spodziewał. Roza bez pytania otworzyła skrzynkę. Zanim Samuel zdążył pojąć, co robi. Dłoń ojca zacisnęła się na jej nadgarstku. Szarpnął. Wieko skrzynki opadło na jej wolną rękę. Przytrzasnęło palce.

- Nigdy nie ruszaj niczego, co należy do mnie!

Nigdy jego spojrzenie nie było takie bezradne jak tej chwili. Nigdy oni dwoje nie byli tak bardzo do siebie podobni. Roza nawet się nie domyślała, że w ojcu jest tak wiele strachu. Uścisk zelżał. Między jego a jej skórą pojawiło się powietrze. Jego ręka opadła na krawędź łóżka. Jak zeschnięty liść.

— Nigdy! — obiecała. Nastąpiły obietnice, które składała przez całe swoje dzieciństwo. Wszystkie obietnice, że będzie grzeczną dziewczynką. Dobrą i posłuszną. Nie zrobi ojcu wstydu.

- Nigdy mi nie mów, co mam robić!

- Nigdy.

- Ja nie mówię, że Lea nie może... W dalszym ciągu Roza nie protestowała. Nie wie — ciągnął jej ojciec. Każde słowo byłoby bolesnym przyznaniem. Nigdy dalej się nie posunął. -nie jest... Wtedy Roza się uśmiechnęła.

- Ale ty nie jesteś Leą - zakończył. - I nigdy nią nie będziesz, moja Rozo. Rallarrosa...

- To jest dziedzictwo! To nasza krew!

Samuel kręcił głową:

- Dziedzictwo, może, moja Rozo. Ale nie krew. To jest duch, którego możesz wpuścić lub nie. Ty decydujesz. To ty otwierasz drzwi albo je zamykasz. W tobie płynie krew twojej matki i moja, córko. Krew Nanny i moja. Ta krew, o której mówisz i której tak bardzo pragniesz, ta krew pochodzi z tak odległej przeszłości, że już w nikim nie płynie. Ona wyschła, moje dziecko. Zmieniła się w brunatne plamy...

Nie mogła tego uznać.

- Czy chcesz żyć tak jak Lea? — Podniósł się i prawie usiadł na łóżku. Ręce nadal miał silne. Nie zwiędły jeszcze. Nie zgniły.

Roza nie rozumiała, o co on ją pyta.

- Ty znasz tylko babcię - mówił z uśmiechem. - Dobrą babcię o łagodnych rękach. Dobrą babcię, której jesteś ulubienicą. Jest wciąż młoda i nadal bardzo ładna. Taka inna od większości babć, że wszyscy muszą ją lubić. Ale pomyśl -. Samuel pieścił Rozę wzrokiem. Był w stanie patrzeć bez bólu na jej twarz. - Pomyśl, czy babcia Lea ma przyjaciół? Czy Nanna jest kochającą córką? Jak ludzie ją traktują? Czy oni do niej przychodzą?

Roza w dalszym ciągu nie rozumiała.

- Ludzie nie wydeptują progów u Lei i Edyarda. I nie jest to wina twojego dziadka, Rozo. Twój dziadek jest najmilszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem. Jest miły i przyjazny, ludzie go lubią i cenią.

Ale w jego domu go nie odwiedzają. Kto taki przychodzi do Edyarda i Lei?

— Ci, którzy jej potrzebują...

- Chorzy, ubodzy, przestraszeni. Ci, którzy nie mają gdzie pójść. Ci, którzy pokonują lęk przed Leą, bo nie mają nikogo innego, by zapytać. Ci, którzy nie są w stanie zapłacić za inną pomoc. Najbardziej nieszczęśliwi wracają wielokrotnie, ale ci, dla których ona potrafi coś zrobić, natychmiast zapominają. Nie dziękują. Nie płacą. Nie zapraszają jej do siebie ani nie przychodzą by zobaczyć, czy ona czegoś nie potrzebuje od nich. Tacy to ludzie kręcą się po domu twojej dobrej babki. U tej, która wie, może, która jest.

Roza nadal nie oponowała.

A Samuel długo obracał w ustach słowa, zanim je wypowiedział:

- U tej Lei, która wpuściła ducha...

Roza była przekonana, że dziedzictwo istnieje we krwi. Ojciec mówi to wszystko po to, by ją przestraszyć. To pewnie należy do tych prób, przez jakie będzie musiała przejść. Jest jedną z nich, jedną w łańcuchu kobiet, srebrną nicią wijącą się przez historię. Jest swoim pokoleniu jedyną dziewczyną. Dziedzictwo przyniosła na świat we krwi. Jest ono darem, ale stanowi też odpowiedzialność. To coś więcej niż otwarcie drzwi. To nie był jej wybór, lecz ona została wybrana. Roza nie mogła obiecać, że zrobi to, o co ojciec ją prosi. Jedyne sposobem, by mogła żyć bez wyrzutów sumienia, to niczego nie obiecywać. Obietnica to mokry powróż, na którym można się powiesić.

— To nie dla ciebie, Rallarrosa. -. On naprawdę tak myślał. - Mam nadzieję, że nie otworzysz przed tym drzwi.

— A ja mam nadzieję, że nie otworzysz skrzynki, żeby wyjąć z niej nóż.

Jest dorosła, choć w oczach Samuela pozostaje małą dziewczynką. Do niego jeszcze nie dotarło, że jest mężatką i należy już do kogo innego. Ze znajduje się pod opieką innego

mężczyzny i powinna wypełniać jego wolę. Ze ktoś inny może być jej bliższy niż ojciec. Poza tym nie jest też głupia. Jej słowa wyraźnie na to wskazują. Miał wszelkie powody, by być z niej dumny, ale on był przede wszystkim przestraszony.

- Nie chcę, żeby Ole węszył w moim domu.

Powiedziała to z wielką godnością. W moim domu...Jego dziecko ma swój dom. I Roza rządzi w tych pokojach, których Samuel nigdy nie widział. Oczywiście mógłby ją tam odwiedzić, ale nie chciał. Nie chciał wystawiać się na pośmiewisko nikogo w Kopalni.

- To odeślij go do domu!

— Ty go do nas przysłałeś, tato — uśmiechnęła się. Ten uśmiech był jak wiosenny ranek.

Roza zawsze zwracała ku ojcu zdrową część swojej twarzy. Pokazywała mu, jaka mogłaby być. Samuel był dumny ze swojej pięknej córki, dopóki nie pamiętał o jej drugim policzku. Dopóki Roza pozwalała mu o tym nie pamiętać.

— Ole zostanie tam, gdzie jest.

Później dzień wydawał się pogodniejszy. To cudowne, jak takie zwyczajne rzeczy mogą oczyścić zatęchłą atmosferę. Roza czuła się, jakby miała skrzydła. Jakby była ptakiem. Jens krajał cienkie piastry mięsa z dużego suszonego udźca. Wyszedł na schody, żeby odetchnąć. W domu było duszno. Pojęcia nie miał, gdzie podzieli się inni. Może pouciekali przed jego złością. Pobił siostrę, która ma dopiero czternaście lat. Uderzył też matkę, ale to już jej wina. Nawet ojciec nie uznał za stosowne się wtrącić. Ojciec tylko na nią popatrzył i zapytał, czego innego mogła się spodziewać.

Wszystko to działo się wczoraj wieczorem. Nie był w stanie spać pod tym samym dachem co oni. Jeden z kompanów pozwolił mu się przespać na podłodze w baraku. A on za bardzo nie zważał na to, gdzie śpi. Na podłodze też można odpocząć. Może powinien wrócić do Rafsbotn. Pod wieloma względami było mu tam lepiej. Był sam. Ale człowiek nie zawsze wszystko rozumie. Jens nie rozumiał wielu rzeczy. Musiał być w Kopalni. Ztym miejscem czuł się związany, do niego należał.

O ostatnich wydarzeniach dowiedział się w jadłodajni, gdzie skierował pierwsze kroki po wyjściu ze szpitala. Wiedział, gdzie zostanie dobrze przyjęty. W środku było tłoczno i mnóstwo śmiechu. Jens zjadł i pozwolił rozwinąć przed sobą historię niczym obrus. Potem, kiedy się najadł i znalazł zajścia lepiej, niż gdyby był ich naocznym świadkiem, poszedł do domu. Proponowano mu kieliszek, ale odmówił. Jego gniew wybuchał z większą siłą, kiedy był trzeźwy. Jens chciał płacić długi, jeśli wiedział, co zrobić. Musiał to pamiętać. Zawsze potem lubił wszystko dokładnie przemyśleć.

Był spokojny, lodowato zimny, wolny od lęku. Gniew wypełniał całe jego ciało. Aż po koniuszki palców. Aż po korzonki włosów. Gniew był w jego głosie, dławił go w gardle i dawał mu ten groźny, ale konieczny spokój. Nie krzyczał. Głos przypominał mruczenie kota w słonecznym ciepłe. Wy tłumaczył im, czego od nich oczekuje. Wy tłumaczył, czego absolutnie nie przyjmie do wiadomości. Wyjaśnił im swoją wściekłość. A oni słuchali.

Powiedział, że słyszeli to już przedtem,

a oni kiwali głowami. Nawet matka kiwała. Mówił im to setki razy. I myślał, że tyle są w stanie zrozumieć. Wyłożył im wszystko wyraźnie, bo są jego rodziną a jedyne, czego żądał w zamian, to żeby zatrzymali jego słowa dla siebie. By mieli szacunek dla tego, co do niego należy. Oni wiedzieli, dlaczego bił. Potem poszedł sobie.

Teraz dom był pusty. Jakby wszyscy się wyprowadzili. Ale suszony udziec wisiał w spichlerzu. Jedzenie brał sobie sam, nikt nie musiał mu podawać. Nie tęsknił za nimi. Czuł się w domu najlepiej, kiedy był sam. Kiedy rodzina istniała tylko we wspomnieniu. I nie żartował nigdy, gdy życzył im nagłej śmierci. Łączyły ich więzy krwi. Dlatego ich znosił.

Nóż zatrzymał się, gdy Jens dostrzegł nadchodzącą Rozę. Niczym powiew przyjaźniejszych wiatrów.

Rozdział XIII

Jeus wsunął nóż do pochwy. Barani udziec zostawił na schodach, niech sobie leży. Nie mógł pozwolić, by Roza tak po prostu przeszła obok z czymś, co należy do niego.

Chciałam biec, ale nogi mnie nie słuchały. Widziałam go na długo przedtem, zanim on zobaczył mnie. Widzę, jak wkłada nóż do pochwy, jaki jest spokojny, kiedy odkłada na schody barani udziec. Nie mogę po prostu przejść obok, jakbym go nie dostrzegą. Czuję pulsowanie w głowie, krew się burzy, tracę rozsądek. On mnie zatrzymuje. Patrzy na mnie. Widzi nowe rany, te, które zadała mi jego matka. Wygląda na to, że wie, co się stało. Jego ręce są ciepłe, kiedy chwytają moje dłonie. Nie mogę sobie przypomnieć, by kiedykolwiek brał mnie za ręce, by robił to w ten sposób. Jest niemal czuły. Zdecydowany i stanowczy, a jednak delikatny. Uśmiecha się tym swoim szerokim uśmiechem i puszcza tylko jedną moją rękę. Pociąga mnie za sobą. Ja nie wiem, czy tego chcę, ale idę za nim, bo czara jeszcze się nie wypełniła. Chcę, żeby się w niej znalazło wszystko. Chcę zaznać wszystkiego. Barani udziec nadal leży na schodach, kiedy on opuszcza skobel za moimi plecami i więzi mnie między drzwiami i własnym ciałem. Mam wrażenie, że stał się wyższy.

Minęło wiele czasu, odkąd dotykał mnie po raz ostatni. Nieskończenie dawno temu na mnie patrzył. Nigdy jeszcze nie było tak, żeby się uśmiechał i równocześnie na mnie patrzył.

Nie wiedziałam, że w tych jego niebieskich oczach jest też ciepło. Widziałam je zawsze jako zimne, czyste jezioro w górach, takie niebieskie, jak to bywa późną jesienią, kiedy wrzosa i wierzby robią się czerwonożółte i zaczynają gubić ścię. Widziałam je niebieskie jak grubo lód. Ale w tym błękitcie jest też ciepło. Jest w nim więcej uśmiechów, niż przypuszczałam.

Podnosi jedno ramię. Nie do ciosu. Dłoń jest otwarta, kiedy głaszcz mnie po włosach.

Podążam za tym ruchem bez żadnej woli. Wszystko we mnie za nim podąża. To jest pieśczoła. Opuszki palców dotykają świeżych ran. Delikatny ucisk. Wstrzymuję oddech, kiedy on kładzie całą dłoń na drugim policzku. Pochylam głowę ku tej dłoni. On mnie ogrzewa, wznieca ogień przy każdym dotknięciu. Jest czulszy, uiz kiedykolwiek mogłam marzyć. Czulszy, niż mógłby być w moich fantazjach. Wyobrażałam go sobie jako księcia od czasu, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Pragnęłam go od chwili, gdy dowiedziałam się, że istnieje. Pojęcia nie miałam, kim jest, ale chciałam go mieć. I nadal chcę. Jestem ślepa jak na wzburzonym morzu. Prawie nie mogę oddychać. Jeśli otworzę usta, utonę...

- Byłam na nią wściekły, kiedy się dowiedziałem - mówi Jens. Teraz tylko koniuszki palców dotykają statych blizn i tych nowych, pokrywających się strupami zadrapań. Gładzi je tak wolno, że zaczyna mi się kręcić w głowie. Opieram się o drzwi pod tym spojrzeniem, w którym jest ciepło. Gładzi to, co zrobiła jego matka.

Stoję jak we śnie. Żaden inny mężczyzna nie dotykał mojego policzka. Nie tego. W żaden sposób. Nikt nie patrzył na niego tak, jak to teraz robi Jens. Modlę się w duchu, żeby nie przestawał, bo się ocknę i wszystko stanie się nierealne. Ręka przesuw się z policzka na włosy, od czoła w górę. Wyciągam szyję. Moja twarz jest odsłonięta i naga przed nim. On na mnie patrzy. Jest taki piękny, że ciemnieje mi w oczach. On jest wszystkim. Przewyższa moje marzenia. Odnajduje drzwi, których nie otwieram przed nikim. Jego żadne zamki nie powstrzymują. Otwiera je wszystkie. To on rzucił światło na najbardziej mroczne marzenia, jakie posiadam. Chcę go mieć

Jens mnie całuje. Usta ma twarde. Dłonią podpira moją głowę. Całuje mnie, aż wargi mi drętwieją. Nie popełniłam błędu, że pragnęłam mieć z nim dziecko tak bardzo, aż mi się spełniło.

Jens całował ją z otwartymi oczyma. Kiedyś wreszcie musiał i to zrobić. Patrzenie na jej oszpecony policzek i jednocześnie całowanie jej dawało mu jakąś szczególną władzę. Jeris nigdy nad nikim nie miał takiej władzy jak nad nią. To dziwne i zarazem rozkoszne. Jakby się powoli upijał, kiedy tak na nią patrzył. Ona ulegała, zanim zaczął ją do tego przekonywać. Przez ubranie czuł, że jest gorąca. Jakby płonęła. W jej ruchach było drżenie. Pograżał się w tym bez pamięci. Nigdy się od tego nie uwolni. Uwolnić się od niej. Mieć dość. Znudzić się. Za każdym razem tego pragnął. Każdy raz miał być ostatnim.

Myślał, że ją zabił. To by była ulga. Mógłby wtedy pójść, dokąd by chciał. Kopalnia nie musiałaby go już ograniczać. Był młody i nic nie powinno go pętać. Ale ona przeżyła. I dziecko przeżyło. Teraz pociągała go jeszcze mocniej, pętała i ograniczała jego władzę nad sobą.

Całował ją i pieścił, a kiedy było po wszystkim, wciąż nie wypuszczał jej z objąć. Czoło oparł o drzwi. Był piękny jak książę z bajki. Roza pragnęła przyglądać mu się bezustannie. Ale on już na nią nie patrzył.

— Powiedziałem jej, że tego nie lubię - wymknęło się cicho z jego ust. — Dowiedziałem się, że na ciebie napadła. I powiedziałem jej, że tego nie lubię. I że nigdy więcej ma tego nie robić. Byłem naprawdę wściekły, Roza. Czasem robię potworne rzeczy, jak jestem zły... Wiedziała o tym...

- Ona nie będzie cię już prześladować. - Wypowiedział to jak obietnicę. A przecież Jens nie musiał jej niczego obiecywać. - To jest moje dziecko. Niczyje, tylko moje. Nie będzie dzieckiem Pedera, chociaż on się z tobą ożenił.

Roza poczuła, że robi jej się ciepło. To było piękne, dobre uczucie. I niepojęte. Pozwalało zapomnieć, że kiedyś protestował i przeciwko niej, i przeciwko temu małżeństwu, które nosiła. Pozwalało zapomnieć, że kiedyś zbił ją do nieprzytomności i zostawił, żeby umarła.

- Skoro jestem żoną Pedera, to dziecko będzie zapisane jako jego...

Gęste brwi ściągnęły się. W oczach pojawił jakiś błysk. Jeden kącik ust zadrżał, jakby Jens miał się rozplakać. Uderzył pięścią w drzwi za nią.

- Oboje dobrze wiemy, że to moje dziecko - oświadczył stanowczo. - Ty to wiesz, Roza, i ja wiem, że jest moje. Nawet twój Peder wie, że to ja je splodziłem. On wziął cię z dzieckiem w brzuchu. To był taki handel, no nie? On wziął ciebie i moje dziecko. A ja dbam o to, co jest moje, Roza. Czy ktoś mówi o tobie Roza Pederowa? Nie, bo dla czego ktoś miałby cię tak nazywać? Ty nie jesteś jego. Zostaliście Połączeni przed Bogiem i ludźmi, ja sam tam siedziałem i byłem świadkiem. Siedziałem z nożem przytkniętym do skóry, żeby się nie zerwać i nie powiedzieć, że nie możesz go poślubić. Mogłem tak postąpić. Mogłem stanąć na ławce i krzyczeć, żeby wszyscy słyszeli, że to ja zrobiłem ci dziecko. Czy wtedy pastor nadal chciałby dać ci ślub z tym głupkiem?

Roza pochyliła głowę.

- Dziecko musi dostać imię po mnie - zażądał. - Do tego potrafisz chyba Pedera zmusić? Nie możesz pozwolić, żeby on wybierał imię dla mojego dziecka. Daj mu poznać chociaż połowę tego, co dajesz mnie, Roza, a będziesz mogła robić z nim, co zechcesz. Jeśli to będzie chłopiec, ma mieć na imię...

— Nie mogę nazwać dziecka Jens!

Jens roześmiał się ochryple.

— Jeśli będzie chłopiec, dasz mu na imię Jakob.

Roza skinęła głową.

- A gdyby urodziła się dziewczynka, to chcę, żeby miała na imię Synneye.

Roza myślała o imionach z własnej rodziny. To piękne imiona, używane w rodzinie od ponad stu lat. I wiążą się z dziedzictwem, Są związane z krwią. Widziała jednak Jensa w tym dziwnym świetle i nie mogła mu odmówić. Może to lepiej wprowadzić nowe imiona. Dać inną twarz jutrzejszemu dniu.

- Jakob albo Synneye - potwierdziła drżącym głosem.

- Matka mojego ojca miała na imię Synneye - powiedział z zaufaniem, o jakim Roza nigdy nawet nie śniła. Nie musiał jej przecież podawać powodów. I tak by zrobiła, jak chciał. - Babcia była bardzo dobra. Babcie są dobre.

— Robię potworne rzeczy, kiedy jestem wściekły - powtórzył ze smutkiem. Ale nawet teraz Roza nie zdobyła się na to, by wyciągnąć rękę i pogłaskać go na pocieszenie. Nic w nim do tego nie zachęcało. I wcale nie dlatego, że okazał jej zaufanie. Roza budziła się wolno z oszołomienia. Zrobiło się późno. Nie ma tu już nic do roboty. Ole czeka w domu sam. Tuzin spraw na nią czeka. Peder musi dostać obiad, kiedy wróci do domu.

Peder nie wspomniał o blasku w jej oczach. Nie po. wiedział też nic o tym, że nuci sobie cichutko, kręcąc się po kuchni. Dobrze było widzieć ją uśmiechniętą i słyszeć, jak się śmieje. Podobało mu się jej śpiewanie. Gdyby zrobił jakąś uwagę, pewnie by przestała.

— Cieszę się, że u nas jesteś, szwagrze — powiedział. Zamiast tego i poklepał Olego po plecach. Nie ulegało wątpliwości, że to brat tak dobrze wpływa na humor Rozy. Powinien był go tu sprowadzić już dawno temu. — Stary cię jednak w końcu puścił?

- On mnie prosił, żebym z wami zamieszkał.

— Tata przysłał Olego, bo chce wiedzieć, co ja robię - Roza przestała śpiewać. - . Potrzebował kogoś, kto by tu był i opowiadał mu prawdę o mnie. On chce wiedzieć, co każdy z nas myśli. Tak nas kocha, że nie może dopuścić, by któreś zrobiło jakiś fałszywy krok.

- To prawda. - potwierdził Ole.

- Dostyc dziwna z was rodzina!

Roza podeszła do niego i położyła mu rękę na ramionach.

— Rzeczywiście, dziwna - powiedziała. — I jesteśmy też twoją rodziną, Peder.

- Matka Jensa nie żyje, znaleźli ją martwą.

Roza upuściła nóż, którym krajała rybę. Schyliła się, żeby go podnieść. Peder spojrzał na nią, zaraz jednak zwrócił oczy na Tomasa.

- Oni mają taką szaloną krowę - powiedział Tomasz.

- Ludzie mówią, że to się musiało stać przy dojeniu. Krowy podniosły straszny hałas, a kiedy stary wszedł do obory, przy drzwiach siedziała Kan i płakała histerycznie. Matka leżała w zagrodzie tamtej krowy, wiadro z mlekiem było wywrócone. Stołek też. Krowa musiała ją kopnąć. Miała ranę na czole i drugą z tyłu głowy. Uderzyła też głową o krawędź ścieku gnojówki.

Roza kroila świeżą rybę na maleńkie kawałeczki. Zupa będzie wkrótce gotowa.

- Może to Kan ją zabiła - powiedział Ole. - Ona jest tak samo szalona jak ta krowa, mogę was zapewnić...

— Kan ma czternaście lat! — Roza nie była w stanie znieść jego podejrzeń.

— Ona spodziewa się dziecka - rzekł Tomasz i zaczerwienił się jak burak. To chyba nie miało nic do rzeczy,

on nie lubił plotkować. Zwykle potrafił trzymać język za zębami...

Ole roześmiał się:

— Czy wy nie wiecie, co ludzie gadają o tej rodzinie? Ty, Roza, też nie wiesz?

— Ja nie słucham plotek!

- Ludzie tam nie chodzą. Oni trzymają się razem. Z wyjątkiem Jensa, oczywiście, ale o tym Roza wie...

- Dość! — warknął Peder. Wstał i objął Rozę w pasie.

Ole słyszał, co szwagier robi. Mógł sobie wyobrazić tę scenę. I właśnie tego dla siostry pragnął. Zeby miała męża, który się za nią zawsze wstawi. Który nie zawaha się jej bronić. — Ludzie gadają, że ten stary to rzuca się na wszystko, co jest mniejsze od niego - upierał się Ole przy swoim. - Najstarsza córka uciekła z domu, podobno z dzieckiem w brzuchu. I już nigdy nie wróciła. Mówią, że stary sam spłodził tego dzieciaka. I teraz znowu gadają, że stary Haldorsen zrobił dzieciaka swojej młodszej córce, Kan.

W izbie zaległa cisza. Roza przymknęła oczy. To na pewno nieprawda. Ludzie tacy nie są. Nikt, kogo zna, taki nie jest. To przeciwko naturze. Czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. - Jens wrócił do Rafsbotn - dodał po chwili Tomas.

— Wczoraj wypuścili go ze szpitala. Widziałem go w jadłodajni. Podobno nocował gdzieś w barakach. Chyba nie był w stanie wrócić do domu.

Roza znowu przymknęła oczy i zacisnęła dłoń na rękojeści noża.

- W domu jest jeszcze trzech braci - rzekł Peder. — Ma kto pracować i ma się kto zająć siostrą.

- Ale wszyscy trzej są mniejsi od starego — zauważył Ole. — Najstarszy jest w moim wieku.

- To wszystko plotki, Ole! - Peder uznał, że powinien coś z tym zrobić. To, co Ole mówił, było takie ponure, że długo się nie otrząsnął z wrażenia. — I nie mają nic wspólnego ze śmiercią starej Haldorsen. Dość i tak. spadło na tę rodzinę, żeby jeszcze ludzkie gadanie miało ich obciążać.

- Masz za dobre serce, Johansen - uznał Ole. - Modliłbyś się za byle kogo... - Brat Rozy wciągnął powietrze. — Ja osobiście uważam, że należałoby całą tę rodzinę posłać do piekła! — Niebezpiecznie jest być takim mściwym, Ole — powiedział Peder.

- A co niebezpiecznego ja mogę zrobić? - zdziwił się Ole. - Nie potrafię postawić dwóch kroków, żeby się o kogoś nie opierać.

— Takie myślenie jest niebezpieczne dla ciebie samego.

Ole zwrócił się do Rozy.

- Jaki cholernie dobry jest ten twój mąż. Nie rozumiem, czym sobie na niego zasłużyłaś. Ale to pewnie krew. Musiałaś sobie życzyć dobrego męża - zawiesił głos.

— Zamknij się! — syknęła Roza. Wsunęła się z objęć Pedera i wróciła do krojenia ryby. Drobila ją tak, że powstawała masa.

- Co to znaczy? - Peder spoglądał to na jedno, to na drugie. Nie pojmował, o czym mówią, skąd nagle ta złość. Ole i Roza zwykle odnosili się do siebie przy jaźnie.

— Nie wiesz, z kim się ożeniłaś, szwagrze...?

— Czy nie prosiłam, żebyś się zamknął?

- ... może ona rzuciła na ciebie urok, Pecier? Może to dlatego zrobiłaś coś tak głupiego, jak ślub ze zwariowaną córką Wielkiego Samuela! Dlatego chciałaś wziąć i ją, i to dziecko, którego Jens Haldorsen nie chciał za żadną cenę!

- On mnie chce! - wykrzyknęła Roza. Peder odwrócił się z wolna i patrzył na nią z powagą. Szukał i szukał jej wzroku, ale ona nie podnosiła głowy. Stała pochylona nad stołem i ścisnęła nóż z taką siłą, jakby od tego zależało jej życie.

- Chciał... - poprawiła się w końcu zgębiona. - Chciał! On mnie chciał!

Ale przecież oni wszyscy słyszeli, co powiedziała przedtem, i żaden nie wierzył, że miała na myśli co innego.

- ... jestem twoja, dopóki śmierć nas nie rozdzieli — wykrztusiła z trudem. - Obiecałam to przed Bogiem i parafią. Dopóki śmierć nas nie rozdzieli...

— Wiedziałaś o dziedzictwie przekazywanym przez kobiety w naszej rodzinie? - zdziwił się Ole cicho.

Peder już dawno pojął, że jedynym sposobem rozeznania się w różnych sprawach jest słuchanie, gdy ktoś mówi. Ich, dzieci Wielkiego Samuela, nie można było prosić o żadne

wyjaśnienia. Oni milczą lub mówią, ale decydują sami. Peder nie znał nikogo, kto potrafi tak milczeć jak oni.

— Ich krew jest bardziej gorąca niż piekło. To kobiety przekazują dziedzictwo z pokolenia na pokolenia. One potrafią robić różne rzeczy. Wiedzą różne rzeczy. To, czego bardzo pragną, spełnia się. Po prostu życzą sobie czegoś i dostają to...

— Prosiłam, żebyś się zamknął, Ole!

— I ty, moja siostrze, wierzysz, że jesteś taka jak tamte. Jak babcia Lea i jej matka, Marja Hansowa, i wszystkie pozostałe razem wzięte! Do diabła, to ty chodzisz tu i odgrywasz wiedźmę!

Roza z całej siły wbiła nóż w blat stołu. Pospiesznie zerwała z siebie fartuch i przebiegła obok Pedera, wyleciała na dwór, zatrzasnęła za sobą drzwi. Peder ztrudem chwycił powietrze.

— To jest prawda - powiedział Ole. — I nic ci nie pomoże, że będziesz się na mnie wściekał, szwagrze. Każde najmniejsze słowo, które wypowiedziałem, jest prawdziwe. Babcia Lea jest znachorką, mądrą kobietą. Roza chce być czymś więcej. I myśli, że już jest. Dlatego tata mnie tu przysłał. Mam przemówić jej do rozsądku, jeśli potrafię. Ja znam te same historie co ona, wiem, co sobie roi. My się o nią boimy.

Peder nie rozumiał ich świata, ale Roza jest jego żoną.

- Pójdę jej poszukać!

- Pozwól, żeby Tomas poszedł - poprosił Ole.

Peder zatrzymał się przed drzwiami. Rad był, że Ole nie może widzieć spojrzenia, które posłał Tomasowi. Wszystkie podejrzenia obudziły się w jego duszy i sprawiały, że wzrok mu się mącił.

- Tomas jest tylko przyjacielem - zapewnił Ole. - Ty jesteś jej mężem. I cokolwiek sobie powiecie, będziecie musieli z tym żyć. Dopóki śmierć was nie rozdzieli...

Peder nie bardzo miał ochotę posyłać Tomasa po Rozę. Walczyło w niej teraz zbyt wiele uczuć. A Peder swoje wiedział.

— No dobrze, możesz iść - westchnął w końcu. - Jako przyjaciel.

Roza wspinała się na zbocze. Tutaj Peder by jej nie szukał. On wciąż próbował się dowiedzieć, kim ona naprawdę jest. J gdyby jej szukał, to na kei. Bo tam poszła poprzednim razem. A on by pewnie myślał, że ona zawsze pragnie tego samego. Roza cieszyła się, że nadchodzi ciemna pora. Ze dnie też będą szare. Ze niedługo nastanie polarna noc. Chciała, by ciemność była częścią niej. Wspięła się tak wysoko, jak tylko mogła. W końcu usiadła na kamiennej półce. Oparła plecy o nagą skałę. Ten, kto chciałby tu do niej wejść, musiałby być mewą albo w ogóle mieć skrzydła. Kiedy więc usłyszała ludzkie kroki podążające po jej śladach, wiedziała, że to Tomas. Roza odsunęła się na bok, robiąc mu przy sobie miejsce na długo, zanim wszedł na górę. Czekwała, drżąc z chłodu. Zwróciła uwagę, że nie woła jej po imieniu. Tomas trzymał w ręce jej kurtkę i chustkę. Podał jej ubranie i usiadł. Włożyła kurtkę, otuliła się chustką, ale nie podziękowała.

- Peder ci to przysyła - powiedział, spoglądając na nią spod oka. Miał przed sobą jej zeszpecony policzek. Znał go równie dobrze jak drugi. Oba należały do niej. Mogła żyć z tą twarzą, jemu nie sprawiało przykrości patrzenie na nią. - Przestraszyłaś wszystkich, kiedyś taka zła wyleciała z domu.

- Ale nóż leży na stole - odparła, podciągając w górę kolana. Dobrze było oprzeć na nich podbródek. Dobrze otoczyć je ramionami.

- Stoi - sprostował Tomas z uśmiechem. - Ucieszyliśmy się z tego, wszyscy trzej. Bałbym się dużo bardziej, gdybyś wybiegła z nożem w ręce.

- A Peder?

Peder już leciał cię szukać, ale twój brat uznał, że będzie lepiej, jeśli ja pójdę. Bo ja jestem przyjacielem. Mnie możesz powiedzieć, co ci się tylko podoba, i nic się nie stanie z tego

powodu. Gorzej, gdybyś zaczęła wykrzykiwać jakieś straszne rzeczy w twarz własnemu mężowi. Którego będziesz miała, dopóki śmierć was nie rozdzieli...

Roza drżała. To ona pierwsza wypowiedziała te słowa, bo miały w sobie coś uroczystego. A ona lubiła powtarzać takie zdania, trochę zawile i sztywne, ale piękne. Teraz jednak zabrzmiały niedobrze.

- Peder by mnie nie znalazł.

— A ja ciebie widziałem. Patrzyłem we właściwym kierunku i wiedziałem, że przecież poziomki nie mogą być takie czerwone, więc musi to być twoja kamizelka. Ciekawe, co by ludzie powiedzieli, widząc, że biegasz w zwyczajny dzień w czerwonych brokatakach?

- Byłam w odwiedziach u ojca. Myślałam, że powinnam wyglądać jak człowiek.

Tomas omal nie wybuchnął śmiechem. Ileż w niej próżności. Sama pewnie nie zdawała sobie z tego sprawy, ale jest podobna do innych młodych dziewcząt. Poczul ciepło w piersi od tych myśli. Zapraǳnął jej powiedzieć, że jest ładna.

- Skąd wiedziałeś, w którą stronę pójdę?

- Bo ty, Rozo, szukasz wiatru...

Skąd tyle o mnie wie? On też? Czy to możliwe, że wszystko mam wypisane na twarzy? Ze jestem dla niego jak otwarta księga? Nie wiem nawet, czy Tomas potrafi dobrze czytać. Ma dziesięćnaście lat. Musiał już być u konfirmacji. W takim razie musi znać katechizm, wszyscy muszą. Trzeba umieć czytać, żeby móc się nauczyć na pamięć wszystkich przykazań, objaśnień i wyznania wiary, i rozdziałów Biblii. I trzeba czytać po norwesku. Nie potrafię zrozumieć, że ktoś mógłby pisać po lapońsku. Tam wszystko jest inne. Czy litery, które znam, starczą, by zapisać, co trzeba?

- Wierzysz w to? - pyta Tomas - Wierzysz, że posiadasz ten dar? - Tomas nie mówi o dziedzictwie ani o wyobrażeniach. Nie marszczy brwi i nie patrzy na mnie, jak bym była wariatką. On tylko pyta, czy ja w to wierzę.

- Może.

- A jak to jest? - Spogląda na mnie szeroko otwartymi oczyma i czeka, że mu odpowiem. - Jak to jest? Co potrafisz? Czy wyraźnie wiesz, że to jest to? Czy tylko w to wierzysz? Umiesz z tego korzystać? Czy musisz się czegoś nauczyć? A może tylko coś przeczuwasz?

Łatwiej jest z ludźmi, którzy mi nie wierzą. Opowiadam mu o matce mojej babki.

Opowiadam mu wszystkie historie o Marji Hansowej, do której, jak ludzie mówią, jestem taka podobna. O jej złości i konkurentach, i o chłopaku, który zatonął w całkowicie spokojnym fiordzie. Mówię mu, że duchy tańcowały dla niej na nadbrzeżnych kamieniach w bezksiężycowe noce. Niektórzy podobno widzieli, że i ona z nimi tańczyła. I mówię o jej bliźniętach, które nie przeżyły. Ktoś mówił, że Marja weszła w pakt z samym diabłem. Miała mu ofiarować, co ma najdroższego, za to, że stanie się mądra i obdarzona wielką siłą. Była młodą dziewczyna, kiedy przeprowadziła ten handel, i wtedy nie myślała, czym trzeba będzie płacić. Jej bliźniaczki umarły i potem Marja nie była już nigdy sobą. Wszystkie opowieści o niej kończą się tym, że umarła z żalu. Nawet babcia Lea ma łzy w oczach, kiedy o tym wspomina. Babcia była pierwszym dzieckiem Marji. Marja urodziła ją w dwudziestym piątym roku życia. Odprawiła tak wielu konkurentów, że musiała długo czekać, zanim zjawił się ktoś na tyle dojrzały, by ją wziąć. Hans był od niej dwadzieścia lat starszy i nie bał się strachów. Miał najładniejszą żonę w całej parafii i nawet jeśli została po nim tylko Lea, to nie miał powodów się skarżyć. Marja umarła przed nim. Umarła z zahi.. Zasnęła, bo nawet nie była chora. Wieczorem czuła się jak zawsze, a rano już nie żyła. I tego samego ranka chmara przepiórek usiadła na dachu Hansowej szopy na łodzie, a było ich tak dużo, że dach się zawalił.

Opowiadam Tomasowi więcej o babci Lei. On już ją polubił. Opowiadam mu o wszystkim, czego babcia mogłaby mnie nauczyć. I że to jest we krwi. Ale że chyba będzie pozbawione wartości, jeśli nie nauczę się tym kierować. Lea nosi w sobie wiedzę, którą zgromadziły

wszystkie pokolenia prababek, dźwigających na sobie dziedzictwo. Ona dalej je rozwijała. Nauczyła się więcej. I właśnie całe to dziedzictwo babcia Lea może mi przekazać. - No a Nanna? Twoja matka. Czy ją ma to ominąć?

— Nie wiem, ale tak myślę. Babcia też tak myśli.

- Jak to jest z tobą?

- Pytasz, co ja potrafisz? Potrafię na przykład tamować krew.

- To urnie wielu ludzi - ocłpowiada Tomas cierpko. - Ja też, jeśli chcę. To nie są czary, Rozo. To umiejętność, którą wielu posiada.

— Jak w coś wierzę, wierzę dostatecznie mocno, to to się spełnia...

Tomas się śmieje.

— I myślisz, że tylko tobie się spełnia? To ma jeszcze więcej ludzi niż umiejętność tamowania krwi, Rozo! Musisz mieć coś więcej, nie tylko to! Naprawdę. — Pociąga mnie na dół, a ja wiem, że Ziemia pod nami jest twarda. On chce, żebym chodziła, nie latała. Sciąga mnie z chmur. W górze jest tyle wiatru. Tyle, by mi się niepotrzebnie zakreśliło w głowie.

- Ja czuję światło — wyznaję. — Czuję w sobie jakieś światło, Tomas. Wiele razy pojawia się poza moimi oczyma, a kiedy indziej znowu czuję je tak, jakby było w moich oczach. Innym znów razem widzę w tym świetle ludzi. Ono należy do mnie. To prawda. To we mnie jest. W mojej głowie. — Domyślam się, że to jest jeszcze mniej rzeczywiste niż wszystko, co mu dotychczas opowiedziałam. To teraz powinien kręcić głową i wyraźnie mi powiedzieć, że brak mi rozumu.

- Twój ród należy do zorzy polarnej - uśmiecha się Tomas. Jest życzliwy i delikatny. — Nie mówiłem ci, że moja rodzina też miała coś wspólnego z zorzą polarną? Ale od dawna nie ma już nikogo, kto by pamiętał jakieś opowieści o tym. W mojej rodzinie mówi się, że nie wszystkie historie powinny być opowiadane. Niektóre najlepiej jest zapomnieć. Ma teraz na wargach ten delikatny uśmiech, który widziałam już wielokrotnie. Tomas tak się uśmiecha, kiedy jest zakłopotany. Kiedy nie jest całkiem zadowolony, ale też nie do końca nieszczęśliwy.

- Ale zdarza się, że to światło migocze przede mną...

— Skala za moimi plecami jest zimna, pochylam się do przodu. Na szczęście mech pod nami jest suchy. Daleko w dole leży Kopalnia i KMjorden, a jeszcze dalej Kreta. — Bywa, że spełnia się to, czego pragnę, jeśli czegoś chcę tak mocno, że wprost trudno to opowiedzieć. Wtedy się spełnia, Tomas...

I teraz zdarza się też coś cudownego, on mnie rozumie.

- Ty nie mogłabyś pragnąć śmierci matki Jensa — mówi, kładąc mi rękę na ramieniu.

Potrząsa mną tak mocno, że wraca mi rozsądek. - Droga Rozo, ty nie masz z tym nic wspólnego! Czy nie słyszysz sama, jak głupio to brzmi? Ludzie nie umierają dlatego, że ktoś inny tego chce. Pomyśl, gdyby tak było, to niewielu by nas chodziło po ziemi!

Marja miała taką moc - powtarzam. - Zwyczajni ludzie nie mają, to prawda. Przecież nie mówię, że byle kto w Kopalni, nie jestem głupia. Ale tacy jak ja. Jak Marja. Przecież ty też wierzysz, że to z jej powodu ten chłopak się utopił.

- Ona była matką twojej babki - tłumaczy Tomas rozsądnie. - Twoją prababką, Rozo. Musiała żyć co najmniej sto lat temu!

— Siedemdziesiąt. Marją Hansowa urodziła się przed siedemdziesięcioma laty.

On, ściągnąwszy brwi, wpatruje się w moją twarz.

Z jakiegoś powodu wiem, że on już nie widzi różnicy między moimi policzkami. Widzi we mnie coś innego. Coś, co znajduje się za skórą, a nawet za oczyma.

- Dokładnie policzyłam - przyznaję.

- Powinienem był pamiętać, że wy młodo zostajecie matkami. Lea nadal jest młoda. - Tomas wzdycha: - W każdym razie, Rozo... nawet jeśli Marja, matka twojej babki, urodziła się siedemdziesiąt lat temu i może nawet przyzywała upiory, kiedy zmęczył ją jakiś wielbiciel, to

jeszcze nie znaczy, że ty możesz nakłonić jakąś krowę, żeby skopała na śmierć matkę Jensa Haldorsena.

Ja nie jestem tego taka pewna.

— Nie wzięłaś tego wszystkiego z powietrza. Ona żyła naprawdę. Pośród ludzi znających się na takich sprawach. I możesz być spokojna, że ona dobrze wiedziała, co robi. Ale ty, ty, Rozo, nie przywołasz ani jednego upiora, nawet gdybyś tego nie wiem jak chciała.

Mogę się z tego śmiać tak, jak on by chciał. Nietrudno się śmiać, kiedy Tomas coś wyjaśnia. To jest jego dar od Boga. On potrafi tak opowiadać i przekonywać, że zaczynasz wierzyć, iż tak to powinno być. On się kryje za słowami.

Mimo wszystko ja się boję.

— I jak to właściwie jest z tobą i Jensem? — Tomas musiał w końcu przeczuć to, czego nie potrafiłam zachować dla siebie. — Spotkałaś się z nim ostatnio?

- Po tym jak wyszedł ze szpitala...

— I on mówi, że cię chce? Teraz?

Tomas też nie może zrozumieć.

- Nie mógł sobie znaleźć lepszego czasu, żeby to mówić. Nie widzisz tego? Czemu nie mówił takich rzeczy, zanim stanęłaś z Pederem przed ołtarzem, żeby mu przysięgać? Czy to jakiś żart z jego strony?

Tomas nie może zrozumieć. To, co istnieje między Jensem i mną, jest takie wielkie i dojmujące, że sprawia mi ból. Nikt nie wie, jakie to trudne. I boję się, że jego matka nie żyje, nie wierzę, że zabiła ją krowa. Boję się, bo życzyłam jej śmierci, a Jens obiecał mi, że ona nie będzie mnie już więcej prześladować.

- No, tak to po prostu jest - mówię.

Tomas jest na mnie zły.

- A co z Pederem?

— Jestem żoną Pedera — odpowiadam prawie tak samo gniewnie jak on. - Jestem jego żoną. I będzie tak jak jest. Obiecuję.

- Peder jest za dobry, żebyś miała mu urządzić takie piekło, Roza. On sobie nie zasłużył, żebyś robiła takie rzeczy za jego plecami. Zresztą to do ciebie niepodobne.

Tomas nagle wie, co jest do mnie podobne, a co nie.

— Nigdy więcej nie zobaczę Jensa - mówię i wydaje mi się, że mój głos brzmi prawdziwie. On nie powinien wiedzieć, że z moich ust płynie kłamstwo. Teraz nie powinien mnie przejrzeć.

— Sama wiesz najlepiej, co robisz. Zawsze tak było.

Chcę się roześmiać i powiedzieć, ile razy ulegam woli innych. Ale się boję.

Tomas rozumiał, że nie może jej namawiać, by robiła to, co jego zdaniem jest najlepsze.

Może ona powinna słuchać Pedera. Na swój dziwny sposób potraktowała poważnie swój ślub z nim. Coś to dla niej znaczy, że przysięgała na wieki. Ale Peder nie powinien o tym wiedzieć. Roza nigdy mu o tym nie powie, a Tomas nie może znieść myśli, że mogłaby Peciera zranić. Tomas włożył rękę do kieszeni na piersiach. Wciąż nie mógł się przyzwyczać do samodzielnych ubrań. Chyba mógłby pokazywać się ludziom w skórzanej kurtce, przecież i tak wszyscy wiedzą, kim jest. Kopalnia nie jest taka wielka, wszyscy znają wszystkich. Ręka odnalazła jej chustkę. Myślał, że ją sobie zostawi. To by była radość, wiedzieć że posiada coś, co należało do niej, ale to chyba nieuczciwe. Wyplukał więc słoń wodę i wysuszył chustkę. Wyprasować będzie ją musiała sama, jeśli zechce. To już nie jego sprawa. Ale zachować chustki nie mógł.

- Znalazłem to - powiedział i położył jej chustkę na kolanach.

Roza najpierw nie rozumiała, o czym on mówi. Nagle rozpoznała zgubę. Kwiecista chustka, którą Peder jej kupił, choć ich na to nie stać.

- Wyłowilem ją z morza — wyjaśnił Tomas ze swobodą. - Zaczepiła się o słup podtrzymujący keję.

- Mam nadzieję, że nie musiałeś wskakiwać do wody?

Roześmiał się. Potrząsnął głową.

Roza wróciła z Tomaszem do domu. Zaprosili go na kolację. Zupa tymczasem się dogotowała i wszyscy najedli się do syta. Kiedy zrobiło się późno i Tomas wrócił do siebie, Roza pościeliła bratu w kuchni. Nadal się ze sobą przekomarzali, ale tylko z wzajemnej sympatii.

Rodzeństwo może sobie powiedzieć wiele, zanim zostaną przekroczone granice tego, co powie— dziane być już nie może.

- Nie ma żadnych meldunków - oznajmiła Roza, kiedy w piątkowy wieczór odwiedziła ich matka. - Ole nie zauważył u mnie niczego niezwykłego. Prawda, bracie?

Ole siedział przy stole i bawił się kartami do gry. To było coś, co wciąż mógł robić, chociaż nie widział.

Nanna nie lubiła kart. Posłała Rozie jedno ze swoich spojrzeń.

- Ta głupia baba powinna jutro być w kuchni u pani! - powiedziała głośno. - Ta głupia baba, która polazła do obory i została śmiertelnie kopnięta przez krowę!

Roza zamarła w bezruchu. Ręce jej zeszywniały. Wszystko stało się jakies powolne.

Zanurzało się

niej jak kamień rzucony do wody. Światło padało jej na twarz. Zadrapania zaczynały się zablizniać, ale wciąż były widoczne.

- Zasłużyła sobie na gorszy koniec! - Nanna wykrzywiła twarz. Roza przyjrzała się matce uważniej. Tamta wyglądała jakoś inaczej, młodziej. — Ja nie żałuję tego, co się stało, ale czy musiała wybrać taki czas? Miała być pomocą w kuchni! Przygotowania zaczynają się jutro wcześniej rano. Trzeba zrobić mnóstwo jedzenia. To wielkie i bardzo eleganckie przyjęcie, dwadzieścia osób. I twoja matka będzie tam główną kucharką. Dla Anglików, dla eleganckich gości z Alty i Hammerfest. Pani wiedziała, co robi, zwracając się do mnie.

Nanna śmiała się, policzki jej się zaróżowiły jak młodej dziewczyny.

Roza wiedziała, co to jest. Matka była jak zakochana.

- Potrzebuję na jutro kogoś, na kim mogę polegać, Rozo. Ty mi nie odmówisz! - Wielkie, brązowe oczy matki błagały, żeby jej Roza pomogła. W przeciwnym razie wszystko pójdzie nie tak i Nanna tego nie przeżyje. A to może być wielka chwila w jej życiu.

- Przecież ja się nie mogę tam pokazywać, kiedy dyrektor i jego żona mają gości!

Nanna przechyliła głowę i patrzyła na córkę.

- Nie będziesz podawać do stołu, moja droga. Potrzebna mi jesteś w kuchni. Tam będzie mnóstwo roboty. Nie spodziewaj się wolnego czasu. Wiem, że trudno ci będzie się zwolnić z pracy, ale...

- Roza odeszła z kopalni - powiedział Peder. Aż do tej chwili milczał. — Roza zajmuje się domem. To właśnie jest jej praca. I tak powinno być, zwłaszcza teraz, kiedy Ole mieszka z nami. Przyjdzie ci pomagać. I myślę, że będzie to dla niej rozrywką.

Roza wolałaby, żeby za nią nie odpowiadał. Oczywiście, że miała ochotę! Nie co dzień człowiek może sobie pójść do The House. Jeszcze rzadziej ma tam jakiś interes. Wiedziała, dlaczego matka jest taka przejęta. To wyróżnienie pracować u dyrektora i Malene Marie, jego żony. To całkiem co innego niż taniec w publicznej sali. Eleganccy ludzie zachowują się w szczególny sposób. A kiedy już się człowiek znajdzie w ich domu, to pewnie będzie okazja zajrzeć i do salonów.

- Naprawdę, nie masz nic przeciwko temu, Roza? Pomożesz mi?

Roza skinęła głową. A potem zapytała, jak się czuje ojciec. Radosne podniecenie Nanny zgasło. Roza wolałaby tego nie widzieć, ale jej oczy dostrzegały teraz wszystko. Także to, czego widzieć nie chciała.

- Przynajmniej zamknął na klucz tę skrzynkę przy łóżku. Już się nie bawi nożem. Chciałabym, żeby tak zostało. Boję się wracać do domu...

Roza wciąż myślała o ojcu i nożu, kiedy wślizgnęła się do Pedera, leżącego już w łóżku. Zużyła więcej czasu niż konieczne na rozmowę z Olem, na dokładanie do pieca, żeby mu w nocy było ciepło. Potem okryła brata szczelnie, jakby nadal był małym dzieckiem.

A Ole prosił ją, by się pospieszyła do męża i dała mu trochę ciepła, zanim zaśnie.

- Ja myślę, że mama to ukrywa - szepnęła Roza do nagiego ramienia Pedera, kiedy już się położyła. -. Jestem prawie pewna, że ona też to ma. Ze rozpoznała w sobie dar. Ona też widzi światło, Pedet, ale woli o tym nie mówić. Całe życie z tym walczyła. Wypierała się tego, jak Piotr zapari się Chrystusa!

- Droga Rozo, nie mieszaj do tych Spraw Biblij! - prosił Peder. Pogłaskał ją po włosach. Zaplotła je na noc, chociaż wolał, żeby tego nie robiła. Jego dłonie tęskniły do ich miękkości. Roza wciągnęła powietrze, zanim wyrzuciła z siebie to, czego bała się najbardziej w życiu: -. Ja myślę, że mama wie, jak się z tym obchodzić. To jest władza, jakiej nie możesz sobie wyobrazić, Peder!

Jeśli o to chodzi, Roza miała rację. Nie umiał sobie wyobrazić.

- O czym my mówimy? - spytał. - O formułkach, zaklęciach, które znają wtajemniczeni i mogą za ich pomocą czarować? Ja znam słowa łagodzące ból. Dobrze jest coś takiego umieć, ale nie nazywałbym tego władzą. I wcale mnie to nie przeraża, chociaż nie wiem na pewno, jak to działa. Może ból by ustąpił i tak, bez tych moich zaklęć?

Roza tłumaczyła to już kiedyś Tomasowi. To, że teraz Peder pyta o to samo, nie wydawało jej się tak samo wzruszające. On powinien być pierwszym, który pytał.

- Reguły są dobre, Peder, dobre. - Roza mówiła szeptem. Tego, co miała mu do powiedzenia, nie trzeba wyklądać głośno. To należy do ciemności. - Ale w nas, w naszej rodzinie, jest wiele mrocznych cech.

- A ja myślałem, że wy należycie do zorzy polarnej - uśmiechnął się, dotykając jej czoła, policzków, ust, które poruszały się wolno jak ślimak.

- Te umiejętności można wykorzystywać również w służbie ciemności - tłumaczyła cierpliwie. — Przeważnie kobiety przede mną korzystały z nich rozsądnie. Z szacunkiem. W służbie dobra. Niektóre z nich jednak dawały się skusić. Obciążone dziedzictwem mają w sobie wielką władzę. I niektóre wykorzystywały ją dla złych celów...

Peder nie mógł się z tego śmiać. Ta nocna rozmowa była dowodem zaufania. Gdyby się śmiał z tego, co mu Roza mówiła, odepchnąłby ją od siebie. Ona sobie na to nie zasłużyła.

Nazywała to umiejętnością. Peder przestraszył się, kiedy określała to jako dziedzictwo lub jako dar. Jak coś, co musiała nieustannie dźwigać.

- Chyba nie myślisz naprawdę, że Nanna chciałaby odebrać Samuelowi życie?

- Może nie., własnymi rękami - rzekła Roza bardzo spokojnie. - Ale myślę, że ona może to zrobić w inny sposób. Jeśli będzie chciała wystarczająco mocno...

Peder objął ją również drugim ramieniem. Suche wargi odnalazły jej usta. Nie zapraszała go, ale on nie chciał czekać w nieskończoność. Może ona sobie życzy, żeby zrobił kilka pierwszych kroków. Może nie potrafi go o to prosić. Peder odszukał usta Rozy i pocałował je. Dotykał ich językiem, zwilżał, zanurzał się w nich i budził do życia. Ssał je, kąsał i delikatnie lizał. Chłodził koniuszkiem języka. Roza wypełniała jego ramiona. Pozwalała, by ją tak właśnie obejmował.

Jej ręce spoczywały na karku Pedera. Mogła je tam złożyć jak do modlitwy. Albo spieść palce. Jego włosy były takie miękkie. I długie, zarastały kark. On trzymał dłonie na jej plecach. Przycisnął delikatnie, żeby ją do siebie przyciągnąć. Jedna jej noga się wyprostowała. Druga spoczywała na jego udzie. Leciutko. Dotychczas wszystko działało się jakby w połowie. Peder chciał być bardzo delikatny. Dawać jej poczucie bezpieczeństwa.

Delikatny i dobry tak, by mogła czerpać z tego radość. Chciał widzieć na jej twarzy, że jest jej z nim dobrze. Chciał wiedzieć, że potrafi taki dla niej być. Dać jej to. Nie chciał tego zagadać. Ręce były ostrożne, kiedy głaskał ją przez nocną koszulę. Zapinała ją na ostatni guzik. Zawsze. Wzruszało go, że jest taka nieśmiała. Wsunął rękę za rządę guzików pod brodą. Rozpinał jeden po drugim. Roza leżała z przymkniętymi oczyma i bladym uśmiechem na wargach. Peder pragnął, by otworzyła oczy. Roza ma takie piękne oczy. Chciał patrzeć, jak jej spojrzenie się odniienia. Ale jej o to nie prosił. Zamiast tego zaczął całować jej szyję. Te same delikatne pocałunki, które przedtem jak krople deszczu spadały na jej wargi. Przesuwał się wolno w dół, aż dotarł do wycięcia koszuli. Roza napinała mięśnie pod jego pocałunkami. Podawała mu i szyję, i usta. Peder miał wrażenie, że jej uśmiech się teraz zmienił, ale trudno to było stwierdzić z całą pewnością. Sam był tak podniecony i rozpalony, że mógł widzieć wszystko, co chciał zobaczyć.

Jedno kolano wsunął między jej uda. Powoli naciskał. Skóra przy skórze. Była niczym delikatne kleszcze, a jego kolano wsuwało się w te kleszcze coraz bardziej. Powoli, ale z tęsknotą, nad którą nie był w stanie zapanować. Podciągał jej koszulę nieco wyżej. Za każdym razem trochę więcej. Obejmował dłońmi jej biodra. Miękkie, okrągłe wypełniały jego ręce. Potem głaskał koniuszkami palców jej plecy. Łaskotał. Dotarł pod koszulą do barków. Zaczął zdejmować jej koszulę, ściągając przez głowę.

To piękne, że on mnie prawie nie dotyka. Teraz chcę, żeby stało się coś więcej. Czekam na to, co nadejdzie później. Obejmuję jego kolano, zamykam je. Jest bezlitosne i twarde i robi, co chce. A ja obejmuję je tak delikatnie, że chyba ledwo to zauważa. Nie marznę, kiedy on odsuwa koszulę w górę. Obserwuję to spod przymkniętych powiek. Wiem, jaki jest podniecony. Czuję jego dotyk na brzuchu. Równie stanowczy jak kolano, które wciąż ponisza się między moimi kolanami. Jest coraz wyżej. Czekam na więcej, ale on wciąż nie dotyka mnie naprawdę. Ściąga ze mnie nocną koszulę. Protestuję. Tłukę zaciśniętą pięścią jego piersi. Nie mogę na to pozwolić! Peder mnie puszcza. Siadam na posłaniu, koszulę mam zadartą, sięga mi do pasa. Chowam twarz w dłoniach. Łokcie oparte na kolanach. Wstrząsa mną płacz. To dobrze, że jest ciemno, bo za płaczem całkiem ukryć się nie mogę. Jest w nim zbyt wiele błysków światła.

Peder przez jakiś czas leżał bez siły, potem usiadł, objął Rozę i kołysał. Przytulał policzek do jej głowy i czuł tłumiony szloch. Głaskał ją po włosach i ramionach, po plecach, całował po karku. Przemawiał uspokajająco. Roza płakała.

- Co ja zrobiłem nie tak? - spytał, kiedy największy płacz ustal.

Potrząsnęła głową.

- Coś jednak musiałem zrobić, Roza!

Nie odpowiadała.

— Przecież wiesz, że ostatnie, czego chcę, to sprawić ci ból.

— Wiem.

Głos Rozy nikał gdzieś w zwiniętej kołdrze. Sprawiał, że wydawała się jeszcze mniejsza.

Peder wciąż ją obejmował i kołysał w ramionach. Całował jej włosy. Nie chciał wypuścić.

- Jeżeli czegoś nie lubisz, to możesz mi powiedzieć. Wydawało mu się, że Roza zaczyna się śmiać. Ale śmiech nigdy nie wydobył się z jej gardła. Utonął w krtani, pozostał tylko namiastką czy czymś takim.

- Może posuwam się za szybko?

Roza powoli potrząsnęła głową.

Peder westchnął z ulgą. Nie powiedziała ani słowa, ale to jednak jest jakaś odpowiedź. Nagle przyszła mu do głowy nieoczekiwana myśl:

- Czy chodzi o koszulę?

Milczenie.

— Czy to dlatego, że chciałem ją zdjąć? — Usiadł przed nią. Ciemność nie była taka gęsta, mógł widzieć żonę jako jaśniejszy cień na tle szarego tła. Peder wyciągnął rękę i ujął jej podbródek. Długo trwało, zanim Roza zdecydowała się spojrzeć mu w oczy. — Chciałbym poznać twoją skórę, Rozo. Tęsknię za tym. Chcę czuć ciepło twojej skóry przy mojej. Całe twoje ciało... To nie jest nieprzyzwoite ani nienaturalne, zobaczysz, to bardzo piękne...

Zdecydowanie potrząsnęła głową.

Peder był ciekaw, dlaczego ona tak stanowczo odmawia.

- Chciałbym, żeby między nami panowało zaufanie, Roza. Żebyśmy mogli na sobie nawzajem polegać. Ja wiem, że nie jestem twoją wielką miłością, ale wierzę, że możemy się oboje lubić. I wierzę, że kiedyś będziemy się też kochać...

Roza słyszała jego głos. Słyszała, jaki jest przekonujący. To odmieniało jej myśli. Było takie kuszące. Czułaby się bezpieczna, gdyby nareszcie pozwoliła, żeby to się stało.

- Nie będzie zaufania, jeśli nie potrafimy ze sobą rozmawiać — powtarzał Peder przy jej uchu.

Roza ujęła koszulę i ściągnęła ją przez głowę. odrzuciła od siebie. Koszula upadła gdzieś na podłogę, ale Roza na nią nie patrzyła. Siedziała po prostu przed nim całkiem naga.

Wystawiona na jego spojrzenia. Siedziała tak, że mógł jej dotknąć.

Peder poczuł, że oddycha z trudem. Nie od razu zrozumiał, dlaczego ona tak się upierała, nic nie widział, dopiero kiedy dotknął lewego ramienia żony, pojął. Musiał przyjrzeć się dokładniej. Musiał poznać najgorsze zgrubienia i nierówności, jakie były. A ona przez cały czas nie spuszczała zeń wzroku. Ich twarze znajdowały się tak blisko siebie, że widać było wszystko.

- O mój Boże! - jęknął Peder. - On mi mówił, dlaczego zniszczył twoją twarz, dlaczego cię oparzył... Ale o tym nie wspomniał!

Jej bark pokrywała taka sama cieniutka i bliznowata skóra, jak ta na policzku. Tylko dolna część ręki była normalna. Tak samo gładka jak reszta skóry Rozy.

- Mój ojciec jest dokładny - powiedziała Roza cichutkim głosem. - Użył wrzątku.

Peder drżał. Ale to było zaufanie. Błagał ją i zmusił do tego. Nie mógł teraz udawać, że to nic nie znaczy. Powoli zamknął ją w ramionach.

- Mimo wszystko i tak jesteś bardzo ładna, Roza - zapewniał. Pieścił dłońmi oba barki. Kiedy już o tym wiedział, mógł jej dotykać bez oporu. Tej zniszczonej skóry też. Pierwszy lęk, pierwszy, lekki dreszcz minął.

Nie rozczulał się nad nią. Delikatnie ułożył ją na posła. niu. Potem zdjął z siebie ubranie.

Powinien być dokładnie taki sam jak ona. Takie same reguły wobec obojga. Pieścił ją.

Zasypywał mnóstwem leciutkich dotyków, gorących pocałunków. Pokrywał nimi całą skórę. Całował lewy policzek. Wyczuwał nierówności wargami, ale zdążył już do nich przywyknąć.

Była to coraz mniejsza i mniejsza część Rozy. A kiedy się na niej położył i wziął ją z wielką czułością, nie pamiętał, że jej lewy policzek czymkolwiek różni się od prawego.

Zasnęli przytuleni do siebie. Jego kolana znajdowały się w zagłębieniu jej ugiętych kolan.

Jego ręce obejmowały jej talię. Twarz wtulił we włosy Rozy. Sztywny warkocz się rozplótł, bo Peder wielokrotnie zanurzał w nim palce.

W nocy przyszedł przymrozek. W porannym blasku szron pokrywał wszystko, co jeszcze poprzedniego dnia mieniło się barwami.

KONIEC.